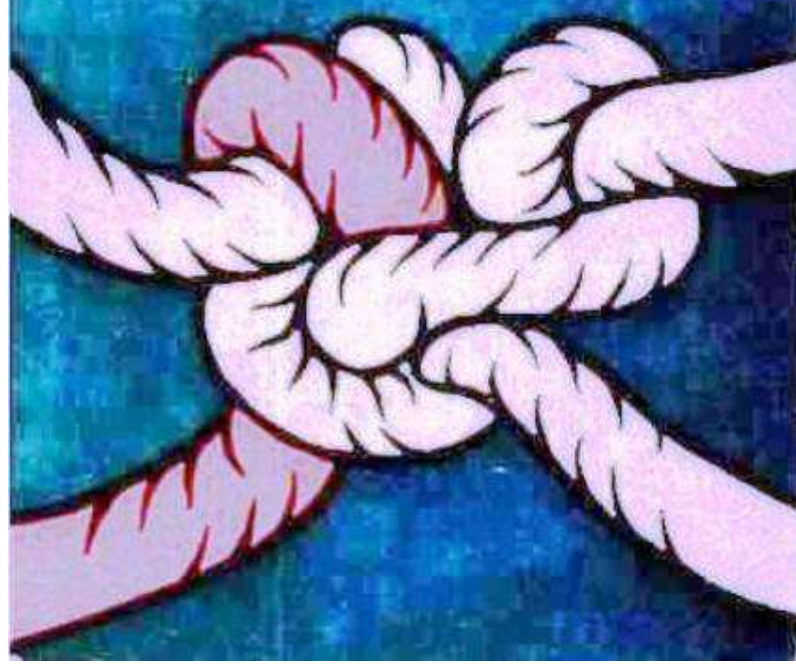




Krystyn Ziemski

ogniwa zbrodni



Krystyn Ziemiński

**ogniwa
zbrodni**

**WYDAWNICTWO
MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ**

Okładkę i stronę tytułową projektowała

MARIA OHANOWICZ

Redaktor

WANDA STEFANOWSKA

Redaktor techniczny

ANNA BARANOWSKA

*Pleć tysięcy sześćset siedemdziesiąta
czwarta publikacja Wydawnictw MON*

Printed in Poland

Wydawnictwo

Ministerstwa Obrony Narodowej

Warszawa 1975 r.

Wydanie I

Nakład 120 000+350 egz.

Objętość 8,82 ark, wyd., 7,5 ark, druk.

Papier druk, sat. V kl. 6S g, z roli 53 cm
z Zakładów Papierniczych w Myszkowie.

Oddano do składania 31.V.1975 r.

Druk ukończono w październiku 1975 r.

Wojskowe Zakłady Graficzne w Warszawie.

Zam. JOT 4762

Z dn. 2.06.75 r.

Cena zł 13,-

Rozdział I

Wiatr zacina deszczem. Jest zimny, przejmujący, prawie listopadowy. Marszczy powierzchnię kałuż gęsto rozsianych po chodnikach i jezdniach bielańskich ulic. Wszędzie pustki. Psia pogoda odstręcza od wędrówek po mieście

W panującej ciszy głośnym echem odbija się krok zapóźnionego przechodnia. Idzie wolno, jakby nie czuł smagającego twarz deszczu. Pogwizduje. Kolejny, silniejszy poryw wiatru zrywa mu kapelusz z głowy. I oto czarny, pilśniowy krążek toczy się po jezdni, wpada do kałuży. Gdy właściciel podnosi go i sprężystym ruchem otrzepuje wodę, światło latarni pada na twarz. Spokojną, pogodną twarz czterdziestoparoletniego mężczyzny. Trzyma w ręku kapelusz i rusza dalej nie przyspieszając kroku. Jeszcze jeden zakręt. Zaraz będzie w domu.

Inżynier Karol Lityński przeżywa dobrą passę. Zaczęło się to chyba od otrzymania nagrody resortowej – myśli. Nie, znacznie wcześniej. Od publikacji uznanej

za rewelację w dziedzinie elektroniki. Później była nagroda. A dziś – 1 września – spotkało go nieoczekiwane wyróżnienie. Z rana powiadomiono go, że ma być o dwunastej u naczelnego dyrektora zarządu. Stawił się nie wiedząc, o co chodzi. Zaskoczyło go miłe przyjęcie. Sekretarka powitała go z atencją i wprowadziła do gabinetu. Dyrektor wstał z fotela, żeby się z nim przywitać. Wyjaśnił, że zaprosił go jako eksperta w dziedzinie elektroniki stosowanej. Byli tam i inni. Same asy. I on wśród nich. Po raz pierwszy poczuł rangę zdobytej z trudem pozycji. Później kolejna niespodzianka. Dyrektor wyróżnił go wyraźnie w tym wąskim, pięcioosobowym gronie. Prosił, bardzo prosił, aby zechciał przyjąć nominację na głównego konsultanta do spraw inwestycji o ważkim znaczeniu dla gospodarki krajowej.

– Projekt – stuknął palcem w rozłożone na stole konferencyjnym plany – zrealizujemy w kooperacji ze szwedzką firmą „Vipro”. Jednak najważniejsze rozwiązania będą nasze, polskie.

Już samo zaproszenie na tę konferencję – ocenia teraz Lityński, to dowód wyróżnienia i zaufania. Zaufania, bo całe przedsięwzięcie jest otoczone tak ścisłą tajemnicą, że, jak dotąd, żadne wzmianki na ten temat nie dotarły do jego zawodowego otoczenia. On sam, mający nie najgorsze rozeznanie w resortowych „nowościach”, nie przypuszczał nawet, że opracowuje się tego rodzaju plany, nie miał pojęcia o toczących się negocjacjach w sprawie zakupu licencji. Nominacja i propozycja,

aby on, Karol Lityński, wyjechał do Szwecji zapoznać się z tajnikami tej licencji i ostatecznie rozstrzygnął o jej przydatności, zaskoczyły go. Przymiotniki „zasłużony”, „wybitny” mile łechtały ucho.

Ależ będą mi zazdrościć – myśli o kolegach, znajomych. W dodatku ten niespodziewany wyjazd do Szwecji!

Pogwizduje otwierając furtkę własnej willi. Kiedyś – przed kilku laty – uważał, że dorobienie się własnego domu jest miernikiem pozycji życiowej. Teraz ma już wyższe aspiracje. Nie tylko willa i samochód. Kiedy się je ma, nie cieszą one tak bardzo. Sława, jaką przynosi miejsce w czołówce, daje dopiero prawdziwą satysfakcję.

Przywiozę małej ze Szwecji jakieś lalkowe чудо – myśli. I już, natychmiast, chce się z nią podzielić radośną nowiną. Jest pewien, że Ania powita go w hallu.

Ale w hallu nie ma nikogo. Zdejmuje ociekający wodą płaszcz, przyczesuje czarne, gładko przylegające do skroni włosy i dziwi się, że córka nie wybiegła na jego spotkanie.

– Gdzie jest mała? – pyta gosposi, która usłyszawszy trzask drzwi wejściowych zjawiała się na schodach.

– Jest u koleżanki. Niedawno telefonował jej ojciec, zawiadamiając, że Ania zostanie u nich na kolacji, a potem on sam ją odwiezie do domu. Podawać kolację?

– Naturalnie. Jestem głodny jak wilk. Pani Janino – mówi wesoło – przez trzy tygodnie będzie pani głową

domu. Niedługo wyjadę do Szwecji.

– O Jezu! Tyli szmat drogi! I my z Anią same na gospodarstwie?

– Ano tak. Jak się pani postara, żeby wszystko grało, przywiozę pani coś ładnego. Ale teraz chcę jeść.

– Ja gadam, a pan głodny. – Gosposia znika w kuchni.

Po chwili wkroczyła do jadalni z dymiącym, półmiskiem w dłoni,

– Zrobiłam zrazy z kaszą. Wiem, że pan je lubi. Pani zawsze mi mówiła... – urywa na widok spochmurniałej nagle twarzy inżyniera.

Lityński nakłada jedzenie na talerz. Gosposia dotknęła niechący bolesnego miejsca. Halina. Gdyby wiedziała, jakie głupstwo zrobiła odchodząc. Czy ja naprawdę byłem takim złym mężem? – zastanawia się po raz któryś z rzędu. Wyciągnąłem ją z biedy, dałem jej wszystko, o czym marzy każda kobieta... Willa, samochód, stroje, możliwość przyjmowania, czy to się nie liczy? Wszyscy zazdrościli jej męża, standardu życiowego. A jednak odeszła. Rzuciła mnie. I to dla kogo? Dla jakiegoś tam malarzyny, klepiącego biedę, golca młodszego od niej o kilka lat. Dlaczego tak się stało? Nie mógł tego pojąć do dziś. Nigdy nie spróbowała mu wyjaśnić przyczyn tej nagłej decyzji. Podczas procesu rozwodowego przyjęła winę na siebie. Zostawiła mu córkę, którą bardzo kochała. „Lepiej jej będzie u ciebie – stwierdziła. – Ona czuje się dobrze w tym domu, a ja

nie”. Co miała wówczas na, myśli? Niewiele czasu im poświęcał. To prawda. Niełatwo było piąć się ze szczebla na szczebel, niełatwo było zdobywać laury w zawodzie. Wszystko wymagało pracy. Ale właśnie ta praca zapewniała jej komfort codziennego bytowania, poczucia stabilizacji, spokój, które, wydawało się, tak bardzo ceniła. Nie krępował jej, nie ograniczał znajomości, cieszył się, gdy brylowała na urządzanych w domu przyjęciach. O cóż więc chodziło? Czego szukała, czego jej zabrakło w domu, który sama stworzyła? Nieraz się nad tym, zastanawiał, nieraz analizował trwający siedemnaście lat małżeński związek. Na oko wszystko grało. Żadnych scen, awantur, żadnych sygnałów świadczących, że coś się psuje. Żadnych? Stosunki między nimi ostatnio stały się nieco chłodniejsze, bardziej oficjalne. Kładł to wówczas na karb swego pracowania. Do domu wracał późno, wypompowany. Po kolacji, podczas której czytał gazety, siadał przed telewizorem, żeby się trochę rozprężyć. Później szedł spać, zadowolony, że Halina nie obarcza go domowymi kłopotami, że nie musi się do niczego wtrącać. Żona była jak zwykle pogodna, spokojna, zrównoważona. Te cechy pociągały go zawsze, zadecydowały zresztą o wyborze. Cenił spokój domowy. W rodzicielskim domu stale bywały kłótnie. Matka zasypywała wracającego z pracy ojca lawinami pretensji. Wymawiała mu brak troski o dom, narzekała na brak pieniędzy. Mówiła, co trzeba kupić dzieciom, chciała, by zajmował się tysiącem błahych spraw, wytykała, że wszystko zwala

na nią. Ta atmosfera wymówek i wiecznego niezadowolenia udręczała ojca, sprawiała, że pod byle jakim pretekstem ulatniał się z domu. U mnie będzie inaczej – postanowił już wtedy. Pod tym kątem dokonał wyboru. I wybór okazał się trafny. Miał spokój w dobrze zorganizowanym domu. Halina wprawdzie musiała zrezygnować z pracy zawodowej, zrazu mówiło się, że na okres przejściowy, dopóki nie urządzi się domu, później – dopóki nie odchowa dziecka. W końcu przestali mówić na ten temat. Ania była chorowita, potrzebowała opieki. Wzrastająca zamożność czyniła jej projekt powrotu do pracy bezsensownym. Zaangażował gospozię, by jej oszczędzić i domowego trudu. Miała wszystko. Teraz urabia sobie ręce po łokcie – myśli, wyobrażając sobie, jak Halina po pracy, podjęła bowiem pracę zawodową, wraca do domu umęczona wystawianiem w kolejkach, obciążona zakupami i zabiera się do gotowania, sprzątanania, a rano zrywa się, by zdążyć do pracy. Robi wszystko. Musi. Jest w tej myśli i gorycz, i żal, i jakaś zła radość, że oto ma za swoje. Że tak płaci za lekkomyślną decyzję. Decyzję, która była dla niego wstrząsem.

– Nie żałuj, nie potrafiła cię docenić – mówiły mu nieraz znajome, usiłując, na razie bez powodzenia, zająć jej miejsce. Dostrzegał ich wysiłki. Rozumiał, o co im chodzi. I zwlekał, choć zdawał sobie sprawę, że prędzej czy później ożeni się powtórnie. Raczej później. W głębi duszy liczył jeszcze, że Halinie znudzi się prymityw

aktualnego bytowania, że wróci do niego. Był gotów pogodzić się z nią. Zapomnieć. Ania potrzebowała matki, dom pani. Ania – patrzy na zegarek.

Dwudziesta trzecia. Dlaczego jej jeszcze nie ma?

– Pani Janko – woła. – Jak się nazywa ta koleżanka, u której jest Ania?

– Zosia Kowalska. Mieszkają gdzieś na Nowolipkach.

Szuka numeru w książce telefonicznej.

– Mówi Karol Lityński – przedstawia się uzyskawszy połączenie. – U państwa jest moja córka, Ania. Chciałbym ją zabrać do domu. Nie ma i nie było?!

Jest zdumiony.

– Czy państwo mają córeczkę, Zosię, która chodzi do szkoły podstawowej numer trzynaście?... Nie? Bardzo przepraszam. Widocznie po dano mi zły adres i telefon.

Znów grzebie w książce telefonicznej. Oddycha z ulgą. Są i inni Kowalscy mieszkający na Nowolipkach. Znów wykręca numer. Tym razem trafił. Mają córeczkę o tym imieniu, ale Ani u nich nie ma. Nikt jej nie zapraszał, bo Zosia od dwóch tygodni przebywa na wsi u babki.

Czyżby gospościa coś pokręciła z nazwiskiem?

Wypytuje ją szczegółowo. Ale ona przysięga, że ten pan podał właśnie takie nazwisko. Jest już zdenerwowany. – Gdzie ona jest? Może coś się stało?

Wydzwania do pogotowia, komisariatów, szpitali. Nikt nic nie wie. Zrywa się, chce jechać, szukać, ale

gdzie? Nie zna jej koleżanek, ich nazwisk, adresów, nie zna nazwisk nauczycieli. Wszystko załatwiała Halina. Halina! Może to ona zatrzymała dziecko? Gorączkowo szuka jej nowego adresu. Bezskutecznie.

Wyrzuca na podłogę papiery z biurka. Przegląda kartkę po kartce. Od tego zajęcia odrywa go sygnał telefonu. Podnosi słuchawkę. Niski, męski głos. Ton rozkazujący: „Proszę natychmiast wyjąć list ze skrzynki”. Trzask odkładanej słuchawki.

Rozdział II

Brzeg listu wystaje ze skrzynki zawieszanej na ogrodowej furtce. Lityński wyciąga białą kopertę. Pod palcami czuje twardy przedmiot. W hallu nerwowo drze papier. Brzęk. Coś spadło na podłogę. Schyla się. Podnosi mały płaski kluczyk. Trzymając go w ręku, czyta tekst: Sprawa jest poważna. To nie żarty. Chodzi o pańską córkę. Niech pan natychmiast jedzie na Dworzec Główny i ze skrytki bagażowej nr 231 wyjmie list. Kluczyk do skrytki w kopercie.

Chwilę tkwi nieruchomo z kartką w ręku. To nie żarty – powtarza machinalnie. Czuje, jak zimny pot zrasza mu czoło. Coś stało się z dzieckiem! Chwyta palto pod pachę, biegnie do garażu. W kilka minut później jest na dworcu. Otwiera wskazaną w liście skrytkę. Jest list. Gwałtownym ruchem rozrywa kopertę, przebiega oczyma po białym zadrukowanym dużymi literami

papierze. Córka pana jest w naszych rękach. Zakazujemy kontaktu z milicją. Proszę przygotować pięćset tysięcy złotych w używanych banknotach i czekać na dalszą wiadomość. Niewykonanie tego polecenia lub kontakt z milicją pozbawi pana dziecka na zawsze.

Stoi jak osłupiały. Pobladła twarz, drżące ręce. Ramieniem opiera się o ścianę.

– Coś się stało? Czy pan źle się czuje – podchodzi do niego mężczyzna w kolejarским mundurze. – Może pomóc?

Opanowuje się z trudem.

– Nic mi nie jest – mówi nieswoim głosem.

Machinalnie wsuwa list do kieszeni i zataczając się rusza w kierunku wyjścia.

– Spił się czy co? – mruczy do siebie kolejarz.

Lityński wsuwa się za kierownicę i bezwładnie opada na siedzenie. Jest oszołomiony. Nie może się poruszyć, nie może zebrać myśli. Tkwi tak czas jakiś, sam nie wie jak długo. Nagłe ocknięcie. Wpada w panikę. Ania! Jak ją ratować, co robić? – kłębią się bezładne myśli. Oni każą czekać. Ale czy powinien, czy musi się podporządkować? Buntuje się przeciw biernemu oczekiwaniu. Czuje nagły przypływ energii. Trzeba działać, kogoś się poradzić. Ale kogo? Szybko dokonuje przeglądu przyjaciół, znajomych. Nie, to na nic – odrzuca kandydaturę za kandydaturą. Musi to być człowiek dyskretny, mądry, mający praktykę w tego rodzaju sprawach. Tylko Bolek Kwaśniewski. Decyduje się jechać do przyjaciela, adwokata z zawodu.

Kwaśniewski mieszka na Mokotowie. Droga pochłania cenne minuty.

– Ratuj, sam nie wiem, co robić – mówi już w progu.

Kwaśniewski wprowadza go do pokoju. Nie pyta, co się stało. Jedno spojrzenie na bladą, ściągniętą twarz postarzałego nagle człowieka wystarcza, by zrozumieć, że niebagatelna sprawa ściągnęła go tutaj o tak późnej porze.

– Siadaj –, komenderuje. – Wypij – podsuwa kieliszek koniaku. – A teraz mów, o co chodzi.

Lityński grzebie gorączkowo w kieszeniach.

– Masz. Czytaj! – Podaje mu dwa listy.

Kwaśniewski przebiega je wzrokiem.

– Natychmiast wracaj do domu, czekaj na dalszą wiadomość. – Twarz jego jest poważna. – Ja ubieram się i zaraz przyjeżdżam do ciebie. Wtedy pogadamy.

Lityński nie sprzeciwia się. Jest mu trochę łatwiej. Ma nadzieję, że Bolek coś wymyśli. Pełnym gazem wjeżdża do garażu. Zostawia wóz, nie troszcząc się o zamknięcie bramy. Wpada do domu, budzi gospozię.

– Nie było do mnie telefonu? – pyta.

Rozespana kobieta kręci głową przecząco.

– Przywiózł pan Anię?

Ona myśli, że ja pojechałem po Anię! Już, już ma powiedzieć prawdę. Opanowuje się jednak.

– Ania wróci jutro – mówi spokojnym głosem. – Zaraz przyjdzie do mnie kolega. Sam mu otworzę. Niech się pani nie zrywa. Dobranoc. – Zamyka za sobą drzwi.

Schodzi cicho do gabinetu mieszczącego się na parterze. Tu czeka.

– Jest – wzdycha z ulgą na widok znajomej sylwetki. Otwiera cicho drzwi.

W chwilę później siedzą już w gabinecie. Kwaśniewski raz jeszcze ogląda listy. Trzyma je ostrożnie. Kładzie na biurku.

– Trzeba, żebyś wiedział, że porwanie dla okupu – mówi wolno, z namysłem – to rzadki u nas rodzaj przestępstwa. Z paru tego rodzaju wypadków, które wydarzyły się u nas, i z doświadczeń zagranicznych wynika, że porywacze często, bardzo często, nie dotrzymują warunków umowy. Zdarzają się wypadki zabójstw porwanych ofiar. Zabezpieczają się w ten sposób przed możliwością rozpoznania ich.

– Myślisz, że grozi to Ani? – głos się nagle Urywa.

– Nie chcę cię straszyć. W tym wypadku może być inaczej. Ale musimy brać pod uwagę wszystkie ewentualności, aby się przed nimi zabezpieczyć. Uważam, że powinieneś natychmiast nawiązać kontakt z milicją. Będą musieli działać ostrożnie, ale tylko oni mogą uratować małą. Masz kogoś znajomego w komendzie? Najlepiej byłoby pogadać z kimś takim.

Lityński potrząsa głową przecząco.

– Może ty masz tam znajomości?

Kwaśniewski zastanawia się przez chwilę.

– Mam. Kapitan Korcz. To dobry fachman i mądry człowiek. Potrafi działać w sposób dyskretny. Uprzedzę

go zresztą. Ściągnę go do nas. Zgadzasz się?

– Jeśli uważasz, że to niezbędne. A może jeszcze zaczekać? – W oczach inżyniera udręka.

– Nie, czekanie nic nie da. Im prędzej, tym lepiej. O następnym kontakcie z porywaczami powinna już wiedzieć milicja. A nie wiadomo, kiedy się oni odezwą.

– Dzwoni po niego. Niech przyjdzie. Ale jeśli oni obserwują dom i zauważą...

– Jest tu jakieś boczne wejście?

– Brama od strony garażu. Jest otwarta. Tamtędy najlepiej.

Kwaśniewski nakręca znajomy numer. Rozmawia krótko.

– Za pół godziny przyjdzie – rzuca odkładając słuchawkę. – No, weź się, chłopie, w garść – dodaje ciepło. – Trzeba działać, a nie rozpaczać.

– Jak działać? Przecież nic nie wiemy. Kto mógł ją porwać, jak to się stało?

– Trochę już wiemy. – Kwaśniewski stara się uspokoić przyjaciela. – Spójrz na te listy. Pierwszy składa się z liter wyciętych z gazety, drugi jest wydrukowany za pomocą dużych czcionek. Można je kupić w każdym kiosku Ruchu, a są używane w biurach do stemplowania akt personalnych. Wniosek prosty: autorzy listu zabezpieczyli się przed rozszyfrowaniem. Są przeczni. Czy dysponujesz wymienioną w liście kwotą? – Adwokat zmienił temat.

Lityński spojrzał mu prosto w oczy.

– Tak, właśnie tyle mam na książeczce oszczędnościowej.

– Kto z twego otoczenia wie, jakie masz oszczędności?

– Chyba gosposia No, i Halina. Chociaż nie. Gdy się z nią rozwodziłem, miałem trzysta tysięcy. Nagrodę i premię wpłacałem później. Po rozwodzie. Mogła wiedzieć i Ania. Nieraz myszkowała w gabinecie. Książeczkę trzymałem w otwartej szufladzie. Przed kim miałem ją zamykać?

Dzwonek przerywa rozmowę. Przez otwarte drzwi wślizguje się raczej niż wchodzi ciemno ubrany mężczyzna. Bez słowa idzie za gospodarzem do gabinetu.

– Cóż to za pilna sprawa? – ścisza dłoń mecenasa.
– Kogoś zamordowałeś, że ściągasz mnie o tej porze? – pyta żartobliwie. – Zabójstwa to moja specjalność – rzuca pod adresem Lityńskiego.

– Paskudna sprawa Przeczytaj – adwokat wskazuje ręką leżące na biurku listy.

Oficer pochyla ciemną, krótko ostrzyżoną głowę. Przebiega wzrokiem tekst. Twarz mu tężeje.

– Kiedy to się stało? Od kiedy nie ma dziecka w domu?

– Ania rano wyszła do szkoły. Wraca zwykle o czternastej. Dziś nie wróciła. Jak przyszedłem, około dwudziestej drugiej, jeszcze jej nie było. Gosposia mówiła mi, że Ania jest u koleżanki. Dzwonił jej ojciec. Mogę ją obudzić. Niech sama powtórzy rozmowę.

– Nie trzeba jej nic mówić. Na razie. Wie o tych listach?

- Nie.
- To dobrze. Pytał pan o córkę w szkole?
- Ja – bezradnie rozłożone ręce – raz tylko byłem w tej szkole. Zawsze załatwiała to moja żona, a potem gospościa... Nie. Nie przyszło mi to do głowy.
- Co na to pańska żona?
- Rozwiodłem się z nią. Wyszła za mąż za malarza. Nie mogę odnaleźć jej adresu.
- A może to ona zabrała dziecko? Czy były między wami jakieś nieporozumienia na tym tle?
- Nie. Żona opuściła mnie w czasie mojej nieobecności. Dziecko zostawiła u swojej matki. Córce powiedziała, że zostawia ją u babki, bo musi wyjechać. Na długo. Gdyby to ona... wiedziałbym na pewno, że małej nic nie grozi...
- Trzeba będzie to sprawdzić – stwierdził Korcz, wynotowując potrzebne mu szczegóły. – Jak mała była ubrana?
- Znów te bezradnie rozłożone ręce.
- Nie wiem, nie widziałem jej rano. Zawsze ubiera ją gospościa.
- Na razie nie będziemy wtajemniczać gosposi. Niech pan da mi fotografię dziecka.
- Zegar z kukułką wybijał pół do szóstej, gdy Korcz zbierał się do wyjścia. Stał w drzwiach i nagle się cofnął.
- Tam coś leży – wskazał inżynierowi białą plamę na ścieżce. – Proszę przynieść.
- Lityński wrócił po chwili, trzymając w ręku małe,

owinięte w biały papier pudełeczko. W środku złożony we czworo papier. Nowy list. Czytają go w hallu. *Na murze cmentarza Powązkowskiego, zaraz za czwartą bramą, wypisze pan z rana kredą od lewej strony bramy numer telefonu, pod którym czeka pan na kontakt z nami. Nikt prócz pana nie może znać tego numeru. Ma być czytelny i widoczny z odległości dwudziestu metrów.*

Krótką rozmowa. Korcz wysuwa się bezszelestnie. Lityński jest bardzo blady.

Rozdział III

– Trzeci list znaleźliśmy na ścieżce przed domem już po moim przyjeździe. Najprawdopodobniej przerzucono go przez furtkę. Pudełeczko obciążono uwiązaniem do niego sporym kamieniem – referuje sprawę szefowi kapitan Andrzej Korcz.

– Jeśli ktoś obserwował dom – mówi wolno major Antoni Żurek – mógł cię zauważyć.

– Nikogo nie widziałem. Wchodziłem przez bramę prowadzącą do garażu. Od tyłu posesji. Przed wyjściem obserwowałem ulicę z okien willi. Kwaśniewski zaparkował swego trabanta dwie przecznice dalej. Jest ostrożny. Nie chciał zwrócić uwagi.

– Coś z nimi ustalił?

– Omówiliśmy dokładnie każdy ruch Lityńskiego – wyjaśnił kapitan. – Pojedzie on na Powązki własnym samochodem. Ma tam być kilka minut po dziewiątej. Wypisze na murze numer telefonu Kwaśniewskiego

i natychmiast uda się na Odyńca. Tam będzie oczekiwał na kontakt. W ten sposób my będziemy mieli kilka godzin na przygotowanie operacji. Wyobraź sobie, że inżynier zaproponował podłączenie do aparatu telefonicznego własnego magnetofonu. Chciał mieć nagraną rozmowę. Gdyby nam udostępnił taśmę, co chyba zrobi, mogłoby to pomóc w późniejszym zidentyfikowaniu rozmówcy. Ja wyraziłem zgodę, Kwaśniewski też.

– Dobrze pomyślane. – Żurek rzadko chwali podwładnych, a jeśli już to robi, to tylko wtedy, kiedy jest naprawdę zadowolony z ich, jak mawia, pomysłu. – Przejmiesz tę sprawę. Do grupy operacyjnej ściągniesz najlepszych ludzi. Natychmiast pchnij wywiadowców na Powązki. Trzeba ich sensownie rozstawić. Paru niech się kręci koło czwartej bramy. Kilku musi obstawić wloty i wloty ulic i notować numery wszystkich przejeżdżających na tym odcinku samochodów. Dziesięciu ludzi wyposażonych w aparaty do fotografowania z ukrycia obstawi autobusy.

– Jak to sobie wyobrażasz!

– Ruch wahadłowy. Będą kolejno wsiadać do nadjeżdżających czerwoniaków i fotografować pasażerów przechodząc z przodu wozu do tyłu. Każdy z nich wsiądzie dwa przystanki przed czwartą bramą i wysiądzie dwa przystanki za interesującym nas odcinkiem. Powrót najbliższym autobusem jadącym tą trasą. Na czwartym przystanku wysiadka i w następny. I tak w kółko aż do odwołania. Zakładam, że sprawca pojawi się w tym rejonie, by odczytać numer wypisany na murze. Inaczej

nie życzyłby sobie, aby był on widoczny z odległości dwudziestu metrów. I jeszcze jedno: fotografować wszystkich przechodniów. Zarządzisz też obserwację Lityńskiego. Od zaraz. Trzeba mu dać obstawę. Być może już pod bramą dojdzie do bezpośredniego kontaktu. Każ natychmiast zebrać informacje o ludziach z jego najbliższego otoczenia. W tej grupie szukałbym sprawcy czy sprawców. Świadczy o tym dokładność informacji o jego oszczędnościach. Była żoną z amantem na widelec. W pierwszej kolejności. Gdyby to była ona...

Obaj wzdychają. Gdyby... Wówczas mieliby pewność, że chodzi o wyłudzenie pieniędzy. Nic by nie zagrażało dziecku. A jeśli nie ona... Obaj mają blisko dwudziestoletni staż pracy w milicji. Niejedno widzieli. Wiedzą, że porywacze w takich sytuacjach nie oszczędzają ofiary. Tylko jej śmierć jest gwarancją ich bezpieczeństwa. Obaj mają dzieci i są bardzo przejęci tą sprawą.

– No, ruszaj już do roboty – Żurek rubasnością pokrywa zdenerwowanie. – Natychmiast wyślij listy do Zakładu Kryminalistyki. Muszą nam zrobić ekspertyzę papieru, ekspertyzę językoznawczą, no i te linie papierne. Niech też ustalą, z jakiej gazety wycięto litery, oraz typ i markę maszyny, na której został napisany trzeci list. Za godzinę zameldujesz się u mnie. Ustalimy szczegółowiej plan gry.

Korcz znika w drzwiach, a Żurek podnosi słuchawkę.

– Za pół godziny dostaniecie listy z żądaniem okupu
– mówi do kierownika Zakładu. – Chodzi o porwanie dziecka. Każ wykonać natychmiast ekspertyzy.

Dzwonek telefonu.

– Korcz zabiera mi ludzi. Nie mogę się na to zgodzić. Zawali się robota – melduje któryś z podkomendnych.

– To mój rozkaz. Wykonać! – Odkłada słuchawkę.

Znów telefon i znów ta sama odpowiedź tylko nieco ostrzejszym wypowiedziana tonem. Żurek jest głuchy na żale podwładnych. Myśli tylko, kogo by tu jeszcze podrzucić Korczowi. Prawda, Janik. Bystry chłopak. Umie zmieniać skórę.

– Proszę wezwać Janika – poleca sekretarce.

– Zameldujcie się natychmiast u kapitana Korcza – mówi do stojącego na baczność młodego podporucznika – Trzeba w dyskretny sposób zebrać informacje. Tu macie nazwiska – podsuwa mu kartkę. – Pamiętajcie, to musi być zrobione bezszmerowo. Dobierzecie wywiadowców pod tym kątem.

Major raz jeszcze analizuje wydane polecenia. Modus operandi – sposób działania. Sprawdzić w kartotekach, czy nie było podobnego wypadku – notuje Sposób działania świadczy o inteligencji, przezorności. Skąd tak dokładne rozeznanie?

Korcz wpada do gabinetu o pół do dziewiątej. Śniada twarz nosi ślady nieprzespanej nocy.

– Wszystko już gotowe – melduje.

– Łączność – mówi wolno Żurek. – Musimy mieć łączność z Lityńskim. Nie tylko telefoniczną. Dostarczysz mu radiostację. Ale nie osobiście. Spróbuj przez tego adwokata. Gdzie on może być teraz?

– Pewnie w sądzie. Mówił, że o dziewiątej ma wyznaczoną sprawę. Zanotowałem numer sali.

– Jedź tam zaraz. Z radiostacją. Trzeba go nauczyć, jak się ją obsługuje. On zawiezie ją do swego mieszkania i nauczy Lityńskiego. Kazałeś już obstarwić oba mieszkania?

– Tak.

– Kto będzie dyżurował przy radiostacji?

– Ja. Będę tu tkwił do chwili nawiązania kontaktu z Lityńskim. Potem, gdybym musiał wyjechać, zastąpi mnie porucznik Piątek. Trudno cokolwiek przewidzieć. Wszystko zależy od nich. Oni mają inicjatywę.

– Odbitki zdjęć dziecka już zrobione? Kiedy przekażecie je do komend dzielnicowych?

– Zdjęcia są gotowe. Wysłałem już chłopaków. Gorzej z ustaleniem, jak mała była ubrana pierwszego września. Ojciec nie wie, a gosposi nie chciałem na razie wtajemniczać. Wzięła ze sobą tornister. Nie ma go w jej pokoju.

– Dobrze. Jedź.

Korcz z neserem, w którym znajduje się radiostacja, wskakuje do czekającego na podwórzu radiowozu. Sądy są blisko, ale szkoda każdej sekundy.

Zna jak własną kieszeń mroczną, długie korytarze.

Trafia bezbłędnie. Z daleka dostrzega znajomą sylwetkę. Kwaśniewski właśnie rozmawia z klientem. Tę przewiesił przez rękę.

Na widok Korcza adwokat opuszcza swego rozmówcę.

– Witaj – Korcz ściska rękę przyjaciela. – W tym – pokazuje nesoser – jest radiostacja. Po kontakcie z kidnaperami Lityński ma natychmiast nawiązać z nami łączność. Chodź, zaraz ci pokażę, jak to się robi...

Kwaśniewski uśmiecha się.

– Zapomniałeś, że przechodziłem przeszkolenie wojskowe w tej branży? Jaka częstotliwość? Reszty sam go nauczę. O której mam ją dostarczyć?

– Liczę, że będzie u ciebie między dziewiątą trzydzieści a dziewiątą czterdzieści pięć. Powinien mieć od razu to pudło pod ręką. Ty masz sprawę na wokandzie. Czy będziesz mógł?

– Jakoś sobie poradzę. Zastąpi mnie kolega. Zaraz to z nim nagram. Cześć!

Korcz zbiega po schodach, skupiony, napięty. W myśli analizuje plan działania. Czy czegoś nie przeoczył, nie zapomniał? Prawda! Czas i miejsce porwania nie ustalone. Ktoś musi pogadać z koleżankami Ani. Na pewno razem wychodziły ze szkoły. Może kogoś widziały. Tylko kto nadaje się do takiej roboty? Gdyby któryś z chłopaków miał w tej szkole dziecko! To byłoby najprostsze. Zaczyna mu się podobać ten pomysł.

Dzwoni do żoliborskiej komendy. Z rezultatów ustaleń jest zadowolony. Trzech funkcjonariuszy ma dzieci

w tej szkole. Córka Żaka chodzi do tej samej klasy co Ania.

– Przyślijcie go do mnie natychmiast! – poleca. – Nie ma go na miejscu? Niech go zaraz odszukają. Pali się.

Kategoryczny ton skutkuje. W pół godziny później melduje się u Korcza starszy sierżant Władysław Żak.

Korcz bez wstępów przechodzi do interesującej go sprawy.

– Macie córkę w szkole numer trzynaście?

– Tak. – Żak jest zdumiony, ale nie okazuje tego. Dziesięć lat pracy w milicji wystarczy, by człowiek przestał się dziwić czemukolwiek.

– Czy koleżanki córki przychodzą do was do domu?

– Czemu nie?

– Wasza mała musi zaprosić do domu dzieci ze swojej klasy Przyjęcie na nasz koszt. Chodzi o... – w tajemnicza Żaka w szczególności. – Może uda się wam coś konkretnego ustalić. O której wyszła, czy kogoś spotkała, jak była ubrana. Każdy szczegół jest ważny – podkreśla. – Może i ja wpadnę. – Korcz umie rozmawiać z dziećmi. Nie chce polegać tylko na Żaku.

– Kiedy to zorganizować?

– Jak najszybciej. Oczywiście w granicach możliwości. Za dzień, dwa. Potem mogą zapomnieć.

Żak wychodzi. Korcz patrzy niecierpliwie na zegarek. Dziewiąta piętnaście. Lityński powinien wkrótce opuścić cmentarz.

Rozdział IV

Zegar z kukułką wybija ósmą. Lityński jest gotów. Neseser z niezbędnymi rzeczami stoi przy drzwiach.

– Pan wyjeżdża? – W oczach gosposi niepokój. Coś dziwnego dzieje się w tym domu. Ani nie ma, a pan taki zmieniony, jakby nie z tego świata.

– Wyjeżdżam. Na krótko. Może wrócę dziś, a może za parę dni. – Lityński mówi bezbarwnym głosem. – Ania jeszcze parę dni zostanie u koleżanki.

– Co mówić, jak by kto dzwonił?

– Że mnie nie ma. Niech pani zanotuje nazwiska i telefony. Jak wrócę, zaraz się odezwę.

– Czy pan aby nie chory? – Pani Janina ryzykuje pytanie. Co mu się stało? Z dziesięć lat mu przybyło przez jedną noc. Coś musiało się stać! W gabinecie pełno niedopałków. I brudne kieliszki po koniaku. Nigdy po nocach gości nie przyjmował.

– Nic mi nie jest. Nie ma o czym mówić – wzrusza ramionami.

Uruchamiając samochód spogląda na zegarek. Piętnaście po ósmej. Jeszcze czas. Korcz nie chciał, żebym przyjechał wcześniej niż o dziewiątej. Nie ma się co spieszyć. Prawda! Kreda! Wpada w panikę. Nie mam kredy. Skąd ją teraz wziąć? Sklepy są czynne od jedenastej. Kto może mieć kredę? Myśl pracuje gorączkowo. Biuro? Nie mają, bo i po co? Szkoła? Tak. Ale jego

przyjazd i taka prośba wywoła szum. Korcz kazał szumu unikać. Nagle przypomina mu się, że Ania lubi rysować Ma kredki. Wsiada z samochodu, biegnie z powrotem do domu. Gospoia na jego widok ma okrągłe ze zdziwienia oczy.

– Zapomniałem – mruczy wyjaśniająco.

Idzie do pokoju córki. Jak tu cicho! Jej książki, zabawki. Czuje nóż w piersi. Gdzie jest, czy jeszcze żyje? Powaga, z jaką Kwaśniewski i Korcz podeszli do sprawy, słowa, zachowanie się – wszystko to świadczy, że życie dziecka jest zagrożone. Trzeba je ratować. Kredki, gdzie te kredki? Wyrzuca na podłogę zawartość szufladek. Otwiera kolejno zgromadzone w nich pudełeczka. Jest! Cała paczka kredek. Tyle że kolorowe! Będzie gorzej widać. Zegarek wskazuje ósmą czterdzieści pięć. O Boże, tak późno! Błyskawicznie wsuwa do kieszeni pudełko z kredkami i pędzi do samochodu.

– Panie, czyś pan zwariował, tak zatarasować ulicę! To ci kierowca z Psiej Wólki! Takiemu dać prawo jazdy! – krzyczy szofer ciężarówki.

W pierwszej chwili Lityński nie bierze tych słów do siebie. Dopiero potem dostrzega, że jego fiat stoi przednimi kołami na jezdni, tylnymi na chodniku. Tak go przecież zostawił. Na środku ulicy. Kluczyki tkwią w stacyjce. Gdyby go ukradziono, jak dojechałbym na cmentarz?! – zastanawia się dodając gazu.

Z ulicy Krasińskiego wyskakuje w lewo, w Powązkowską, cudem unikając zderzenia z autobusem nadjeżdżającym z przeciwnej strony. Niemal nie zauważa

tęgo, pochłonięty myślą: prędezej. Stary cmentarz. Parkuje wóz w bocznej uliczce. Czwarta brama. To musi być gdzieś blisko.

– Panie, gdzie jest czwarta brama? – pyta sprzedającego kwiaty młodego mężczyznę.

– A tu. Właśnie przy niej stoję.

Zaabsorbowany czekającym go zadaniem nie dostrzega bystrych, śledzących jego ruchy, oczu sprzedawcy. Nie zauważa gestu. Młody człowiek wyciąga właśnie z koszyka bukiet. Trzyma go w ręku. Inny sprzedawca cmentarnych kwiatów, starszy mężczyzna, zaczyna kuśtykać w kierunku bramy.

„Od lewej strony bramy”. Lityński cofa się o parę kroków. Przystaje. Rozgląda się wokoło. Po drugiej stronie jezdnii widzi kobietę z koszykiem i mężczyznę stojącego przed wystawionymi na widok publiczny kamiennymi nagrobkami. Obok dwóch odwróconych tyłem, zajętych rozmową, sprzedawców. Ramieniem opiera się o mur, wypisuje numer. Jeszcze tylko dwie cyfry. Kredka się łamie. Odrzuca ją. Sięga do pudełka. Nie ma tego samego koloru. Chwyta jasnoniebieską. Gotowe – oddycha z ulgą. Czy numer jest czytelny? Miał być widoczny z odległości dwudziestu metrów.

Przechodzi na drugą stronę. Przez chwilę widok zasłania mu autobus, który tu właśnie, naprzeciwko czwartej bramy, ma swój przystanek. Już odjeżdża. Lityński patrzy na swoje dzieło. Cyfry są wyraźne – ocenia. Czy jednak ktoś ich nie zetrze, zanim... – budzi się lęk. A wtedy? Co wtedy? Więc przypilnować na

miejscu? Ja będą tkwił tutaj, a oni w tym czasie zadzwonią?

Wraca do samochodu. Przejeżdża obok bramy. Chce sprawdzić, czy nikt nie ściera mozolnie nakreślonych cyfr. Na ulicy nic się nie dzieje. Wygląda na to, że nikt nie zwrócił na niego uwagi. Sprzedawcy stoją, jak stali.

Uspokojony jedzie na Odyńca. Nie wie, nie domyśla się nawet, że w ślad za nim na falach eteru płyną meldunki. Był. Napisał. Odjechał. Nikt do niego nie podszedł.

O dziesiątej wchodzi do kawalerki Kwaśniewskiego. Zaskakuje go widok adwokata.

- Co, jeszcze jesteś w domu?
- Dopiero przyjechałem. No i jak? Nic się nie stało?
- Zrobiłem, jak kazano. Bolek, czy oni się odezwą?
- Jestem tego pewien. Przywiozłem ci radiostację. Jeśli zatelefonują, natychmiast dasz znać Korczowi. Popatrz, jak to się uruchamia...

Obaj pochylają się nad wyjętym z nesesera pudełkiem. Kwaśniewski demonstruje.

- Teraz ty wypróbuj! – mówi. – Tak, to ten klawisz Teraz przejdź na odbiór. Dobrze. Jeszcze raz. Połącz się z komendą.

Głos kapitana Korcza.

- Wszystko u was w porządku? – Przed chwilą właśnie odebrał ostatnie meldunki wywiadowców z obstawy inżyniera. – Magnetofon już pan podłączył?
- Tak – odpowiada Lityński. I od razu dzieli się

swoją troską: – Czy ktoś nie zetrze tego numeru?

– Niech się pan nie boi. Proszę zostawić klawisz do nadawania włączony...

Korcz się wyłącza. Kwaśniewski musi już wracać do sądu.

– Bądź spokojny – rzuca wychodząc.

– Bądź spokojny – Lityński machinalnie powtarza słowa adwokata. I nagle opanowanie pryska. Inżynier trzęsie się jak w febrze. Siada zakrywając twarz rękoma.

Jest sam. Zamknięty w czterech obcych ścianach. Radio gra cicho. Pewnie Kwaśniewski zapomniał wyłączyć, a może sądził, że uprzyjemni mu w ten sposób oczekiwanie. Muzyka rozsadza głowę. Trzask wyłącznika odczuwa jak uderzenie. Teraz jest cicho. Słyszy tylko przyspieszony oddech i bicie serca. Trudno wytrzymać. Minuty ciągną się jak lata. Dopiero dwadzieścia pięć po dziesiątej. Ile jeszcze? A jeśli źle odczytali numer? A może się pomyliłem? Przysuwa do siebie stojący na biurku aparat. Patrzy na plakietkę. Te same cyfry. Jest mokry od potu. Nie ma sił i chęci, by odsunąć aparat na stare miejsce. Nie może oderwać oczu od czarnego, ebonitowego pudełka.

Sygnal telefoniczny sprawia, że cały drętwieje. Przez sekundę czuje się jak sparalizowany. Wreszcie drżącą ręką chwyta za słuchawkę.

– Jestem – mówi zdławionym głosem.

– Czy to pan mecenas Kwaśniewski?

– Nie, to nie on... – kładzie słuchawkę na widełki, przerywając połączenie z intruzem, który blokuje mu

linię może właśnie w tej decydującej chwili.

Znów przeciągły sygnał. Ten sam niski głos i telegraficzny styl: „Proszę natychmiast jechać na Poczcie Głównej. Na poste restante jest list na pana nazwisko”. Trzask odkładanej słuchawki. Koniec połączenia.

– Telefonowali – łączy się z Korczem. Informuje o treści polecenia. – Co robić?

– Niech pan tam jedzie. Proszę wziąć taksówkę.

Pędzi na dół zapominając o istnieniu windy. Otwiera drzwi swego wozu i przypomina mu się polecenie Korcza. Rozgląda się. Taksówka. Skąd ją wziąć! I nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, w pobliżu zatrzymuje się samochód. Wsiada.

– Poczta Główna, Świętokrzyska – rzuca adres kierowcy.

Całą drogę milczy, trawiony na przemian niepokojem i nadzieją. Wyskakuje przed pocztę. Rzuca na siedzenie pięćdziesiąt złotych.

– Panie, weź pan resztę – woła kierowca.

Nie słyszy. Przepycha się przez tłum ludzi. Oczyma szuka gorączkowo właściwego okienka.

Jest list. Chwyta go gwałtownie, niemal wydziera z ręki urzędującej w okienku dziewczynie. Odchodzi na bok Rozrywa kopertę. List jest dłuższy, zawiera nowe polecenia: *Żądaną sumę w używanych banknotach zapakować w kartonowe pudełko wielkości małego neseserka. Pudełko owinąć w biały papier i trzymając je w ręku przyjąć o 16.00 do kawiarni „Roksana”. Tam usiąść przy stoliku w pobliżu drzwi wejściowych.*

*Trzymać pudełko na kolanach w sposób widoczny.
Czekać na kontakt.*

Lityński patrzy na zegarek. Jedenasta piętnaście. Jeszcze tyle godzin! Chowa list do kieszeni i wolnym krokiem wychodzi z gmachu. Na chodniku, tuż obok, parkuje taksówka. Wsiada.

– Jedziemy do Pekao – zwraca się do kierowcy.

Nieoczekiwanie słyszy znajomy głos:

– Proszę przeczytać mi list.

Rozgląda się zdumiony. Za kierownicą kapitan Korcz.

– Tak, to ja – mówi. – Niech pan czyta. Wolno. – Słucha w napiętym milczeniu. – List niech mi pan włoży do kieszeni. Ma pan przy sobie książeczkę Pekao?

– Tak.

– Odwiozę pana do Rotundy. Wysiadając, każe mi pan czekać. Proszę mówić głośno. Będę czekał. Pan podejmie tę kwotę w używanych banknotach. Niech się pan postara, aby wypłatę pieniędzy zauważyło jak najwięcej osób. Może pan na przykład przeliczyć banknoty po odejściu od kasy. Potem schowa je pan do wewnętrznej kieszeni marynarki i wróci do taksówki. Wszystko musi wyglądać zupełnie naturalnie. Resztę ustalimy po drodze na Odyńca.

Taksówka staje. Lityński wysiada, znika w obrotowych drzwiach Rotundy. Po dwudziestu minutach wychodzi, wsiada do samochodu.

– Zrobiłem wszystko, jak trzeba – szepcze.

– To dobrze. Pojedziemy teraz do Bolka. Tam będzie pan czekał. Za godzinę przyjdzie do pana nasz człowiek. Na wszelki wypadek przyniesie biały papier i pudełko. Sfotografuje numery banknotów. Proszę być w „Roksanie” punktualnie o szesnastej... Należy się czterdzieści złotych – mówi głośno, zatrzymując wóz przed domem Kwaśniewskiego.

Rozdział V

O szesnastej akcja w „Roksanie”. Każdy jej szczegół musi być starannie obmyślany, zaplanowany, wykonany. Tu nie może być pudła.

Szczegółowy plan pomieszczeń kawiarni wisi już na ścianie, gdy Korcz rozdziela zadania.

– Wasza grupa obstawia kawiarnię od wewnątrz – mówi wolno, dobitnie. – „Roksana” ma trzy wyjścia. To od strony podwórka – pałeczka zatrzymuje się przy tylnym wyjściu z kawiarni – was nie interesuje, zabezpiecza je grupa Strzelczyka. Już pojechali na miejsce. Muszą być dużo wcześniej, by dobrze upozorować swoją obecność. Wy pilnujcie wejścia z szatni i drugiego, od strony tarasu. Powinniście zająć stoliki w tych miejscach – pałeczka wskazuje punkty na planie. – Stąd będziecie mieli dobre pole obserwacji. Lityński ma usiąść w tym rejonie. Będzie trzymał na kolanach białe pudełko, znak rozpoznawczy dla człowieka, który podejmie okup. Wy musicie natychmiast podjąć obserwację

szantażysty. W sposób niedostrzegalny. I, oczywiście, sfotografować. Tego, który nadejdzie, i innych gości. Nie można wykluczyć, że facet o szesnastej będzie już siedział na sali, że zbliży się do Lityńskiego wychodząc z kawiarni. – Korcz omawia szczegółowo różne warianty akcji.

Dlaczego zażyczyli sobie, by okup był w pudełku o określonych wymiarach? – zastanawia się po odprawie. I ten biały papier? Znak rozpoznawczy, umożliwiający szybką identyfikację Lityńskiego? Jeśli przyjąć takie założenie, ten, który ma odebrać okup, nie zna inżyniera. Ale ten znak rozpoznawczy ma przecież sporo minusów. Człowiek, który weźmie do ręki pudełko, też jest niejako oznakowany. Nawet jeśli zaraz schowa je do przyniesionej w tym celu torby, musi to zrobić na oczach wielu ludzi. Chyba liczą się z ewentualnością, że Lityński nas zawiadomił i kawiarnia jest pod obserwacją. Więc jak o pogodzić z charakterystyczną dla ich dotychczasowych posunięć przezornością. A może to mistyfikacja, mająca na celu zmylenie śladów?! Nie można odrzucić i takiej hipotezy.

Jeszcze raz analizuje wydane dyspozycje. Czy przewidział wszystko? Czy na początku gry – odpowiada sam sobie, można z góry przewidzieć wszystkie posunięcia nieznanego przeciwnika?! Później, to co innego. Każdy kolejny krok zdradza metodę, a ta, jak odcisk linii papilarnych, charakteryzuje sprawcę, umożliwia coraz pełniejsze, prawidłowsze wnioskowanie. Metoda. Pod tym kątem jego ludzie badali kartoteki. Fiasko.

Notowani w kartotece sprawcy tego rodzaju przestępstw działali w sposób raczej prymitywny. Ci muszą tkwić w otoczeniu inżyniera – utwierdza się w swoim przekonaniu. Są znakomicie poinformowani. Ten stan oszczędnościowego konta... Kiedyż Janik zdobędzie wreszcie informacje! Niecierpliwi się, choć wie, że podporucznik i jego ludzie dwoją się i troją, by zdobyć je w dyskretny, nie zwracający uwagi sposób. Przez pół dnia? Nie ma cudów...

Pije małymi łykami czarną jak smoła herbatę. Jest zmęczony. Właśnie zamierzał odespać ostatnio zarwane noce, gdy wezwał go Kwaśniewski. Czuje piasek pod powiekami. Przesuwa odruchowo ręką po oczach. Nie pomaga, nie może pomóc.

Radiostacja milczy, więc nic się nie dzieje. Lityński tkwi na Odyńca. Wyjedzie stamtąd dopiero piętnaście po trzeciej. Jeszcze prawie dwie godziny do rozpoczęcia akcji.

– Będę ją nadzorował osobiście – melduje zwierzchnikowi. – Jadę na miejsce.

Taksówkę parkuje na placu przed Cedetem. Jest tu postój. Jeszcze jedna taxi nie zwraca niczyjej uwagi. Idzie wolno, lustrując uważnym spojrzeniem zatłoczony chodnik. Z przewalającego się tu tłumy wyłuskuje swoich. Ocenia rozstawienie. Przechodzi przez jezdnię, mija interesujący go narożnik. Przez oszkloną ścianę kawiarni widać wyraźnie jej wnętrze. Para zakochanych. Dwóch gestykujących, pochłoniętych dyskusją, młodych ludzi. Starsi panowie delektujący się smakiem

kawy. Wejścia postanawia obejrzeć później. Teraz tyły kawiarni. Bramą prowadzącą na podwórko tarasują dwie drabiny. Malarze poprawiają szyldy. Na podwórku, przy odprowadzającej ścieki studziencie, majstruje dwóch robotników. Spod opuszczonych powiek obrzuca ich uważnym spojrzeniem. W porządku. Wszystko gra. Wraca. Wchodzi do kawiarni. Z namysłem wybiera stolik w głębi, przy ścianie. Siada wygodnie. Wyjmuje gazetę. Kątem oka obserwuje salę. Przy pierwszym z brzegu stoliku młoda dziewczyna wpatruje się bez przerwy w wiodące do kawiarni drzwi. Zapewne czeka na swego chłopaka, a ten się spóźnia. Drugi stolik w tym rzędzie jest zajęty przez dwóch mężczyzn i dziewczynę. Robią wrażenie urzędników, którzy wpadli tu na plotki. Do Korcza docierają urywki zdań. Krytykują jakiegoś zwierzchnika.

W kawiarni jest pustawo. O tej porze pomału wyludniają się biura i tłum ludzki okupuje chodniki, oblega przystanki tramwajowe i autobusowe. Kobiety z siatkami w rękach znikają we wnętrzach sklepów, zajmują miejsca w pęczniejących wciąż kolejkach. Kawiarnie zapełnią się później, znacznie później, o osiemnastej, dziewiętnastej, dwudziestej, gdy spieszący teraz do domów znów wyruszą do miasta.

Dłaczego właśnie o tej porze? Z jednej strony łatwiej zająć określony stolik, ale z drugiej w pustej kawiarni jest się na widoku, trudniej umknąć niepostrzeżenie – zastanawia się Korcz.

Robi wrażenie człowieka całkowicie pochłoniętego

studiowaniem zawartych w gazecie wiadomości. A przecież nic z tego, co dzieje się na sali, nie uchodzi jego uwagi. Nieostrzegalnie zerka na zegarek. Za dziesięć czwarta. Lityński powinien już być. Czeka z napięciem. Drzwi wejściowe są wprowadzie z wybranego miejsca niewidoczne, skryte za ścianą, przy której tkwi, ale każdy ich trzask jest zapowiedzią wejścia nowego gościa. Dziewczyna właśnie płaci rachunek. Na ładnej buzi wyraz rozczarowania. Ktoś ją zawiódł, nie przyszedł. Kolejny trzask. Dziewczyna wlepia oczy w drzwi z niemym oczekiwaniem. Nie on. Gwałtownym gestem zamyka torebkę. Podrywa się od stolika. Przy wyjściu mija się z Lityńskim, niemal ociera się o niego.

Lityński siada przy zwolnionym przez dziewczynę stoliku. Rozgląda się. Odwraca. Raz i drugi zmienia pozycję. Teraz uplasował się niemal w samym przejściu. Tarasuje je tak, że każdy wchodzący musi się o niego otrzeć. Pudełko położył na kolanach. Jedną ręką przytrzymuje je nieporadnie, drugą sięga po papierosa. Jest tak zaabsorbowany tymi czynnościami, że nie dostrzega stojącej przy jego stoliku kelnerki.

Pytanie: „Co panu podać?”, wywołuje nieoczekiwaną reakcję gościa. Wstrząsa się. Białe pudełko zsuwa się z kolan. Podnosi je gwałtownym ruchem i przytrzymuje obiema rękami. Papieros pada na podłogę.

- O co pani chodzi? – pyta.
- Co pan zamawia? – powtarza kelnerka zniecierpliwionym tonem.
- Kawę albo herbatę. Wszystko mi jedno.

– No więc kawę czy herbatę? Co mam podać?

Gość robi wrażenie nieprzytomnego. Spił się, a może zmęczony? Tacy często ulatniają się nie zapłaciwszy rachunku. Zaraz od niego zainkasuję pieniądze – myśli dziewczyna. Siedzi za blisko drzwi.

– Proszę o kawę – decyduje się Lityński.

Kelnerka podchodzi do bufetu. Zamawia kawę. Wy-pisuje paragon.

Korcz obserwuje inżyniera tkwiącego nieruchomo na krześle. Napięcie rośnie z każdą minutą. Kto do niego podejdzie? Jak ten czas wolno płynie!

Wciąż nic się nie dzieje. Kelnerka podaje kawę, inkasuje pieniądze. Lityński patrzy tępo na stojącą przed nim filiżankę.

W drzwiach pojawia się dwóch mężczyzn. Jeden trzyma w ręku dużą skórzaną teczkę. Przechodzi tuż obok Lityńskiego. Róg teczki zahacza o pudełko, które spada na ziemię. Teraz nachylają się obaj. Obaj chwytają pakunek. Lityński zwalnia uchwyt. Pudełko jest w ręku tamtego.

Korcz spręży się jak do skoku. Odczuwa niemal namacalnie napięcie, z jakim jego ludzie śledzą tę niemałą scenę.

Pan z teczką prostuje się. Podaje pudełko Lityńskiemu. Ten patrzy na niego ogłupiałym wzrokiem.

– Bardzo pana przepraszam – mówi mężczyzna odkładając białą paczkę na stolik. – Idziemy – zwraca się do kolegi.

Przechodzą do drugiej sali.

Nie ci. Dlaczego spóźnia się ten umówiony? Może obserwuje, czy na sali nie ma milicji?

Czas się wlecze. Jakaś pani. Potem facet. Dwie dziewczyny. Znów jakiś mężczyzna. Nikt się nie zbliża do stolika zajętego przez inżyniera.

Może to ten! Wysoki, szczupły, w ciemnych, zasłaniających pół twarzy okularach, z lotniczą torbą w ręku... Tak! Już podchodzi. Staje przy stoliku Lityńskiego. Rozgląda się. Korcz widzi, że jego ludzie niemal niedostrzegalnie unoszą się z krzeseł. Sam jest znów sprężony, napięty.

Mężczyzna odchodzi od stolika Lityńskiego. Podchodzi do siedzącej w pobliżu Korcza kobiety. Wita się. Przeprasza za spóźnienie. Zdejmuje okulary. Młoda opalona twarz. Znów omyłka. Rozluźniają się mięśnie.

Do stolika Lityńskiego zbliża się szatniarz. Nachyla się, coś mówi. Inżynier wstaje, wychodzi z pudełkiem w ręku. Za nim wysuwa się dwóch ludzi. Jeden staje w wejściu. Rękę przykłada do ucha.

Korcz już rozumie. Nawiazali kontakt przez telefon.

Rozdział VI

– Szatniarz miał poprosić do telefonu pana, trzymającego w ręku białą paczkę. Odnalazł go bez trudu. Gdy Lityński podszedł do telefonu, usłyszał parę krótkich zdań: „Dworzec autobusowy – Żytunia. Stanowisko

numer pięć. Pod spodem kosza na śmieci jest przyklejony list z instrukcją, co ma pan robić dalej”.

Korcz odbiera tę informację już w wozie przez radiostację.

– Jedziemy na dworzec autobusowy Żytunia – rzuca kierowcy. – Będziemy tam pierwsi. Przed nim – zwraca się do siedzących z tyłu funkcjonariuszy.

Kierowca nie żałuje gazu. Gwałtownie hamuje za dworcem.

Korcz i jego ludzie wtapiają się w tłum pasażerów. Giną w nim. Wyłaniają się za chwilę na wysepce oznakowanej piątką. Nie ma tu autobusu. Z wypisanego na słupie rozkładu wynika, że jego odjazd nastąpi dopiero za godzinę. Tylko paru pasażerów przyszło tak wcześnie. Dwie kobieciny z koszami, dziadek z laską i mężczyzna o wyblakłej, zniszczonej twarzy.

Kosz stoi na uboczu. Korcz spaceruje chwilę. Podchodzi do kosza. Oslaniają go przed oczyma czekających dwaj funkcjonariusze. Z ręki wypada mu zapalniczka. Schyla się, by ją podnieść. Błyskawiczny ruch i trzyma w ręku białą kopertę. Otwiera ją, ukryty za plecami współpracowników. Wąski, napisany na maszynie pasek listu-instrukcji. *Pojedzie pan na Wybrzeże Kościuszkowskie. Przy pomniku Syrenki od lewej strony jest w postumencie szczelina. W niej instrukcja.*

– Powtarzamy operację.

List zostaje wsunięty do koperty. Koperta na poprzednie miejsce.

– Trzeba wyprzedzić Lityńskiego – decyduje Korcz. Siedząc już w samochodzie wydaje dyspozycje kierowcy „taksówki”, którą ma tu przyjechać Lityński. Ściąga jeszcze dwa wozy. – Obstawić pomnik Syrenki – poleca.

– Lityński jedzie na Żytnią – odzywa się radiostacja. – Co potem?

– Pojedziecie za nim – poleca obstawie, po czym łączy się z wozem, którym jedzie inżynier. – Znamy treść polecenia. Odbierze pan instrukcję i odda ją kierowcy. Wszystko zrobić zgodnie z instrukcją.

Znów wywołuje radiowozy.

– Działajcie dyskretnie – powtarza polecenie. – Jeśli dojdzie do kontaktu, podjąć obserwację.

Jeszcze trzeba odwołać grupę Strzelczyka. I to już wszystko.

– Staniesz na Tamce koło kościoła – poleca kierowcy.

Jest zdenerwowany. Odsyłania z miejsca na miejsce nie przewidział. Pomnik Syrenki. Dobrze wybrali. Nie ma gdzie się ukryć. Każdego widać tam z daleka. Wystarczy usiąść w pobliżu na ławce i obserwować. Cholera! Łatwo zauważą obstawę. Żeby tylko chłopaki nie poszkapili. Żeby potrafili się rozstawić w sposób nie rzucający się w oczy. Niełatwe zadanie. Nie to co w kawiarni. Nowi goście nie zwracają uwagi. Żeby tylko potrafili – wzdycha.

– Nasi tam będą jak na widelcu – mówi któryś, jakby odgadując trapiące go myśli. – Niedobre miejsce.

Bezradnie rozkłada ręce.

– Nie ma innego wyjścia – rozmyśla głośno. – Puścić przodem Lityńskiego? W sekundę zabiorą pieniądze. I znikną. Szukaj wiatru w polu. Musimy podjąć obserwację, inaczej prowadzenie wymknie się nam z rąk. Tu przecież nie chodzi o pieniądze...

Stawką jest bezpieczeństwo dziecka. Pieniądze, wiadomo, prędzej czy później się odzyska. Doprowadzą do sprawców jak po sznurku. Ale dziecko... Świadek, który potrafi rozpoznać miejsce i ludzi?!

– Będziecie mnie osłaniali, gdy będę wyjmował ten list – mówi Korcz wysiadając z wozu. – Idźcie pierwsi. Sprawdzę, czy nasi już są.

Są. Rozpoznaje zaparkowany w pobliżu samochód. Gdzie inne? Jeden stoi niemal naprzeciw pomnika. Kierowca pochylony nad otwartą maską coś dłubie przy silniku.

Korcz idzie wolno, spacerowym krokiem. Sprawdza rozmieszczenie ludzi. Ten z dziewczyną tkwi na ławce. Nieźle wybrane miejsce. Dobra widoczność. Ławkę z drugiej strony zajął jakiś pijak. Ktoś tkwi oparty o barierę tyłem do pomnika.

Trochę kręci nosem, ale co można innego wymyślić? Krokiem spacerowicza zbliża się do pomnika. Ogląda go z zainteresowaniem z bliska i z daleka. Dostrzega szczelinę w postumencie. Wąska, ledwie widoczna rysa tuż przy ziemi. Znowu trzeba się schylać. Gest zwracający uwagę... Obok staje dwóch mężczyzn. Osłona przed

okiem intruza. Korcz błyskawicznie schyla się, wyciąga małą w czworo złożoną karteczkę.

Znów to samo maszynowe pismo. Pojedzie pan do Łazienek. Pod dwudziestą sztachetą, licząc od strony głównego wejścia naprzeciw pomnika Szopena, w trawie pod krzakiem jest puszka po konserwach, w niej dalsza instrukcja.

W sekundę kartka wraca na miejsce. Wodzą za nos?! A jeśli kartka to mistyfikacja, mająca na celu odciążenie ewentualnej obstawy dalej, pod inny adres. My pojedziemy, a oni tutaj odbiorą mu forse. Część ludzi musi zostać do chwili odjazdu Lityńskiego – decyduje.

Chwilę jeszcze spaceruje przed pomnikiem. Potem przystaje pod kioskiem. Pije piwo. Idzie wolno w stronę Tamki. Wsiada do wozu. Odbiera meldunki. Lityński jest w drodze na Wybrzeże.

Do środka wskakują funkcjonariusze.

– Znów na widelcu! – mruczy któryś, usłyszawszy o nowym punkcie. – Cholera, cwaniaki... A może i na Łazienkach nie skończy się ta trasa...

Korcz nie odpowiada. Myśli to samo. Mistyfikacja? Chęć zmylenia śladów? Gdyby teraz puścić Lityńskiego przodem i pójść jego śladem? Nie – odrzuca ten projekt. Wówczas nie ma szans na podjęcie obserwacji. A jeśli nas dostrzegli? Jeśli w Łazienkach siedzi ich człowiek, wyjęcie puszkę nie ujdzie jego uwagi. Problem wydaje się nie do rozwiązania.

– Podjedź pod boczne wejście, od strony Belwederu

– poleca kierowcy. – Nie będziemy paradować przez bramę główną.

Boczną furtką wchodzą na teren parku. Stąd do głównego wejścia jest spory kawałek drogi. Idą szybko. Czas nagli.

Dochodząc do głównej alei zwalniają kroku. Tu już można łatwo obserwować spacerujących. Od strony parku i od strony ulicy.

Skręcają w prowadzącą wzdłuż sztachet alejkę. Korcz idzie teraz bardzo wolno. Wzdłuż sztachet pas zieleni. Na nim, jak plamy krwi, krzaki czerwonych róż.

Kapitan staje. Dwudziesta sztacheta. Wzrok sunie po murawie, omiata krzaki. Wykrywa bez trudu miejsce, gdzie trawa jest lekko wgnieciona. To musiało być tu. Musiało być, ale już teraz nie ma puszki. Tylko ten ślad na trawie.

Pomału przechodzą dalej. Każdy z nich wraca do wozu inną drogą. Są zgnębieni. Zniknięcie puszki świadczyć może tylko o jednym – zostali dostrzeżeni.

Rozdział VII

Lityński tkwi nieruchomo w fotelu. Napięcie opadło jak płaszcz zrzucony w przedpokoju. Jest w stanie kompletnego odrętwienia. Nie czuje rozpaczy. Nie czuje nic. Polecenia Korcza: „Niech pan wraca do domu i tam czeka” – dotarły do niego jak przez mgłę. Czeka w domu. W swoim gabinecie. Pod ręką telefon, milczące

czarne pudełko. I radiostacja, która się nie odzywa.

Jest sam. Gospościa przywitała go pytaniem: „Co z naszą Anią?” Odpowiedział jej... Co jej właściwie odpowiedział? Chyba jakoś tak, że Ania zginęła, ale pewnie ją znajdą. Może tak, może trochę inaczej. I dodał chyba, żeby przestała zawracać głowę. Sam wie, co robić. Poczerwieniała, potem zbladła, spojrzała z oburzeniem, coś burknęła pod nosem i wyszła ostentacyjnie trzaskając drzwiami.

Odetchnął z ulgą. Na inną rozmowę nie było go stać. Nawet tych kilka zdawkowych słów wydusił z trudem.

Wzdryga się na myśl o czyjejkolwiek obecności. Chce być sam. Jest niezdolny do podjęcia najprostszego działania. Jak sparalizowany. Obok telefonu pozostawiona przez gospozię informacja, że dzwonili z biura, pytali o zdrowie. Prosili o telefon. Spogląda na kartkę obojętnie. Wszystko wydaje się takie dalekie, nieważne. Czego oni chcą ode mnie? – myśli niechętnie. Kapitan obiecał przecież, że dostarczy im zwolnienie lekarskie. Czy dostarczył? Powinien spytać Korcza. Ale mu się nie chce. Nie kojarzy faktu, że skoro dzwonią i pytają o zdrowie – znaczy, że załatwił. Nie kojarzy nic.

Trzask drzwi wejściowych działa jak uderzenie obuchem. Odczuwa je niemal namacalnie.

Słyszy kroki. W hallu. Na schodach. Potem na górze. Kroki cichną. Zapewne wróciła gospościa. Pewnie znowu tu wlezie, będzie pytać. Ma ochotę gdzieś ją wyprawić. Na tydzień, dwa. Byle się tylko nie kręciła, nie

dopytywała. Ale jak jej wytłumaczyć? Nic sensownego nie przychodzi mu do głowy. Wreszcie rezygnuje. Skoro realizacja pomysłu wymaga tak wielkiego wysiłku, to moi nie warto?

Dzwonek przy furtce, jak wystrzał karabinowy, wywołuje uczucie paniki, chęć ucieczki przed zetknięciem się z drugim człowiekiem. Kim by on nie był.

Trzask drzwi wejściowych. Obcy, niski głos. Ciężkie kroki zmierzają do gabinetu.

Opanowuje się z trudem. Wolno podnosi się z fotela, idzie na spotkanie nieznanego. Drzwi otwierają się. Staje w nich funkcjonariusz w mundurze.

– Inżynier Karol Lityński? – pada pytanie zadane urzędowym tonem.

– Tak, to ja – potwierdza machinalnie.

– Dowód proszę.

Lityński nerwowo szuka dokumentu w bocznej kieszeni marynarki. Wyciąga portfel. Grzebie w nim nieporadnie.

– Proszę – podaje zielony prostokąt milicjantowi.

Dzielnicowy ogląda go starannie. Trzymając dowód w ręku, pyta:

– Stan cywilny?

– Jestem rozwiedziony.

– To czemu w dowodzie figuruje „żonaty”?

Lityński patrzy na milicjanta nieprzytomnymi oczyma. Nie odpowiada.

– Pytam się, dlaczego zapis nie został zmieniony

po rozwodzie? – powtarza tamten szorstko.

– Tak jakoś – bąka niepewnie.

Milicjant obserwuje go spod oka.

– Zmiana stanu cywilnego wymaga zmiany zapisu – mówi urzędowo. – Obywatelski obowiązek. Pan ma dziecko?

Lityński blednie.

– Czy mam? Mam córkę – mówi nieswoim głosem.

– Ile lat?

– Jedenaście – stwierdza machinalnie, pochłonięty myślą o dziecku.

– Gdzie przebywa pańska córka?

– Żebym to ja wiedział! – wyrywa mu się bezwiednie.

– Jak to, pan nie wie? Wyszła, wyjechała, jest u rodziny?

– Nie wiem – zwiesza głowę na piersi. – Nie wiem, co się z nią stało.

– To dlaczego nie złożył pan meldunku o zaginięciu dziecka? – Dzielnicowy jest usposobiony podejrzliwie. Rację miała ta gosposia. Coś w tym musi być, że on ten fakt ukrywa. Może sam się pozbył dzieciaka albo działa z kimś w zмовie. Nagle dostrzega radiostację. Oczy robią mu się okrągłe ze zdumienia. Przestępcza organizacja?! Pozbyli się dziecka, żeby nie mogło zasypać?! Ogarnia go podniecenie Wyobraża sobie minę komendanta, kiedy się u niego zamelduje z taką rewelacją. Premia murowana. A może i awans?

Sierżant Janusz Klocek marzy o awansie. Ale jak dotąd nie zanoszą się na zrealizowanie tych marzeń. Dzielnica spokojna, willowa. W jego rejonie nie ma kłopotów z „elementem”. Mieszka tu wprawdzie paru pijaczków, kilka prostytutek, jeden recydywista-złodziejasek. Ale nie zakłócają spokoju. „Pracują” w innych dzielnicach. Może to i lepiej, nie ma przynajmniej z nimi kłopotów. Nie trzeba pisać raportów ani zbierać wywiadów. Nie przeprowadza rozmów ostrzegawczych, profilaktycznych. Roboty mniej. Ale gdy przychodzi do ocen, mówi mu w Komendzie: „Ty, Klocek, masz święte życie. W czepku się widać rodziców, że przydzielili ci taki rejon. Inni się naharują, a ty raz i drugi obchód zrobisz i po krzyku! Możesz spać spokojnie. W domu. Nie narobisz się. Nie musisz mobilizować cieciów w zimie, żeby posprzątały chodniki. Właściciele willi sami o to dbają. Wynajmują ludzi. Pilnują ich”.

Święte życie – myśli z ironią. Wytykają człowiekowi nieróbstwo, pomijają przy premiach i awansach. Zbrzydło mu to gadanie. I on chciałby się wykazać, ale nie ma możliwości. Dopiero ta gosposia, Janina Pyć. Trzęsła się cała ze zdenerwowania. Trafiała na jego dyżur. „Panie władzo – mówiła z przejęciem. – Zaginęła nasza Ania, a mój pan jak gdyby nigdy, nic. Jakieś facety do niego przychodziły nocą. Ani chybi zrywali się, żeby dzieciaka usunąć. Mówił, że do Szwecji jedzie. Może ucieka?” Niewiele z tej opowieści zrozumiał. Pyciowa mówiła nieskładnie, chaotycznie. Wypytywał ją

szczegółowo. Podejrzanie to wszystko wygląda – ocenił. Zaraz po skończonym dyżurze wybrał się dokonać wywiadu.

Miałem nosa – myśli teraz na widok radiostacji.

Odwraca głowę w drugą stronę. Niech sądzi, że nie zauważyłem. Nakryję go na gorącym uczynku – postanawia. Po raz drugi pyta o dziecko

Lityński milczy. Zastanawia się nad odpowiedzią. Dzielnicowy nic nie wie – to jasne. Inaczej by nie pytał. A skoro Korcz go nie wtajemniczył, to i on nie ma prawa nic tłumaczyć.

Gdyby się porozumiał z kapitanem? Na nic – dzielnicowy zauważy radiostację. Może narobić szumu, zanim się rzecz wyjaśni. Cofa się więc tyłem, zasłaniając ciałem stojące na biurku pudełko. Trzeba go zawiadomić, ale dopiero wówczas, gdy dzielnicowy opuści dom. Tylko jak go do tego skłonić. Lityński czuje się jak zwierzę W potrzasku.

– Pytałem o dziecko. – W głosie dzielnicowego zniecierpliwienie. – Dlaczego nie złożył pan meldunku?

– Istnieje prawdopodobieństwo, że Ania jest u koleżanki – zbawcza myśl wpada mu do głowy.

– U jakiej koleżanki? – pada następne pytanie.

– U Zosi Kowalskiej. Dowiedziałem się, że babka Zosi zabrała je obie do siebie, na wieś – mówi podtrzymując tę wersję, która pozwala mu zyskać na czasie.

– Sprawdzimy, wszystko sprawdzimy. Za wprowadzenie w błąd władzy grozi kara aresztu do lat...

Dzielnicowy chce jak najszybciej zawiadomić przełożonych o swoim odkryciu. Nie trzeba go spłoszyć – decyduje. I zmiękcza tonację.

– Dziękuję, panie inżynierze – mówi uprzejmie – za te wyjaśnienia. Sam pan rozumie, że... skoro otrzymaliśmy sygnał, musieliśmy sprawdzić na miejscu.

Zmierza ku wyjściu.

Chwilę później Lityński włącza radiostację. Referuje Korczowi szczegóły nieoczekiwanej wizyty.

– Zaraz się tym zajmę. Niech pan czeka nadal na kontakt. Jeśli go nawiązą, proszę porozumieć się z nami natychmiast.

– Czy nawiązą? Może obserwowali dom i zauważyli milicjanta?

Opada ciężko na fotel.

Rozdział VIII

Odprawa poświęcona analizie nieudanej akcji trwa już kilka godzin.

– Musieliście coś schrzanić na trasie: dworzec autobusowy – pomnik Syrenki – ocenia major Żurek. – Nie wzięliście chyba pod uwagę możliwości obserwacji zorganizowanej przez nich. Zakładam, że was zauważyli i dlatego przerwali łączność.

– Chyba masz rację. – Korcz nie ma zamiaru szukać usprawiedliwienia. Zgnębiony niepowodzeniem, próbuje

znaleźć jego przyczyny. – Błąd tkwił w naszych założeniach. Najpierw sądziłem, że odbiorą okup w „Roksanie”. Że szantażysta, który zjawi się po pieniądze, nie zna Lityńskiego i dlatego potrzebny jest znak rozpoznawczy w postaci pudełka. Dopiero w ostatniej chwili zrozumiałem, że oni wcale nie zamierzali finalizować sprawy w kawiarni, że był to tylko kolejny punkt odbioru instrukcji. Że ów znak tożsamości miał umożliwić szatniarzowi odszukanie właściwego gościa. Kolejnym błędem, jak się okazało, była zastosowana przez nas taktyka wyprzedzania Lityńskiego na kolejnych odcinkach wyznaczonej trasy. Ale zależało nam na podjęciu natychmiastowej obserwacji odbierającego okup człowieka. Nie przewidziałem obserwacji z ich strony, nie wziąłem pod uwagę warunków terenowych. – W głosie kapitana brzmi nuta usprawiedliwienia. – A przecież, widzę to teraz wyraźnie, że wyprzedzając Lityńskiego nie mogliśmy wyprzedzić ludzi, którzy tę trasę z góry zaplanowali. To oni decydowali o wyborze miejsc, w których trudno działać w sposób niewidoczny. Zakładając – ciągnie Korcz dalej – że po okup zgłosi się ktoś nie znający Lityńskiego, nie przewidziałem, że trasę może obserwować człowiek znający go osobiście. Sądzę, że zostaliśmy zauważeni na wysepce autobusowej. Staliśmy we trzech koło kosza z przyklejonym od spodu listem. Ja się schylałem, chłopaki mnie zasłaniali. Ale na wysepce było pusto. Widać nas było z daleka. A telefon pod ręką, taksówki także. Pod Syrenką byłoby

im znacznie trudniej przerwać łączność. Telefon w promieniu trzystu metrów, taksówki mniej więcej w takiej samej odległości. Plus ryzyko, że ich wyprzedzimy w Łazienkach. A tam, sądzę, miało dojść do bezpośredniego kontaktu.

– To tylko hipoteza. Z równym prawdopodobieństwem można założyć, że trasa prowadziła do nikąd. Wniosek jest oczywisty. Musicie działać dyskretnie. Wbij to do głów swoim ludziom – major zamknął tę część dyskusji. – Jakie są wyniki akcji przeprowadzonej na cmentarzu drugiego września? – Żurek zwrócił się do porucznika Ziomka.

Młody oficer trzyma przed sobą gęsto zapisane kartki.

– Rozpoczęliśmy obserwację przechodniów, samochodów i autobusów o godzinie ósmej trzydzieści – zaczął. – Zakończyliśmy o dwunastej. Zgodnie z rozkazem. Sfotografowaliśmy dwustu jedenastu przechodniów i pasażerów osiemnastu autobusów przejeżdżających tamtędy w krytycznym czasie. Mamy spis wszystkich jadących tamtędy samochodów osobowych, ciężarowych i furgonetek. Zgodnie z poleceniem dokonaliśmy wstępnej eliminacji. Odrzuciliśmy zdjęcia przechodniów, pasażerów autobusów i numerów rejestracyjnych pojazdów wykonane przed godziną dziewiątą i po jedenastej. Z grupy przeznaczonej do identyfikacji usunęliśmy także zdjęcia tych pasażerów autobusów, którzy podczas jazdy na krytycznym odcinku zajmowali

miejsca z przeciwległej do powązkowskiego muru strony. Stamtąd nie można było odczytać wypisanego na murze numeru. Od dziewiątej, to znaczy od chwili gdy inżynier Lityński wypisał numer, do jedenastej, o tej godzinie porywacze telefonowali do niego, na interesującym nas odcinku kręciło się stu dwudziestu trzech przechodniów, przejechało sto dwanaście samochodów, w tym czterdzieści ciężarowych, osiemnaście furgonek, pięćdziesiąt cztery osobowe, i czternaście autobusów. Odbitki są już wykonane.

– Przygotujcie natychmiast zestawy zdjęć, dołączając do nich i te wykonane w „Roksanie” – poleca major Żurek. – Warto też sprawdzić, czy wśród sfotografowanych są tacy, którzy figurują w naszych kartotekach. Zestawy prześlemy przede wszystkim dzielnicowym i komendom powiatowym. Później sprawdzimy w działach kadr tych zakładów pracy, które położone są w pobliżu Powązek. Następnie zastanowimy się, jak ustalać personalia ludzi, których nie uda się zidentyfikować w ten sposób. Będziemy ewidencjonować wszystkich, którzy się przewinęli w tej sprawie, a wśród nich także pracowników Pekao, mających dostęp do stanu kont. Ze zidentyfikowanymi przeprowadzicie krótkie rozmowy i nagrać je na taśmy. Lityński przekazał nam taśmę, z nagraniem głosem porywacza, będziemy więc mogli dokonać badań porównawczych. – Major przerywa, zapala papierosa i ciągnie dalej: – Być może uda się z tej grupy wyłowić ludzi, utrzymujących

kontakt z Lityńskim, z jego zakładem pracy, z jego najbliższym otoczeniem, a więc z byłą żoną, jej mężem, gosposią... Informacje o znajomych inżyniera miał zebrać porucznik Janik. Co zrobiliście w tej sprawie? – major zwraca się do siedzącego pod oknem Janika.

– Ustaliłem, że pierwszego września Halina Lityńska, aktualnie Jasińska, wraz z mężem, Stanisławem, wyjechała do Londynu na zaproszenie krewnych Jasińskiego. Samolot odleciał z Okęcia o siedemnastej czterdzieści pięć. Paszporty obojga są ważne dwa miesiące. Pierwszego września, koło południa, widziano Jasińską z jakąś dziewczynką w cukierni na Freta.

– Trzeba przeprowadzić rozmowy z nauczycielami i dziećmi ze szkoły, do której chodzi Ania. Oczywiście, konieczna jest ostrożność i dyskrecja. Musimy ustalić czas i miejsce porwania.

– Z dziećmi przeprowadzi rozmowy starszy sierżant Żak z żoliborskiej komendy dzielnicowej. Ma córkę w tej klasie – wtrącił Korcz. – Już z nim rozmawiałem na ten temat. Ma, zorganizować przyjęcie dla dzieci z klasy Ani. Oczywiście na nasz koszt.

– Dobrze. W takim razie Janik zajmie się personelem szkoły i kontaktami Lityńskiego oraz jego byłej żony. – Ty – zwraca się do Korcza – przesłuchasz gosposię Lityńskich i pogadasz z inżynierem. Być może w jego życiorysie uda się znaleźć jakąś nitkę, prowadzącą do kłębka. Czy otrzymałeś już ekspertyzy anonimów?

– Tak. Niestety, nie zawierają żadnych rewelacji. Litery wykorzystane w pierwszym z listów zostały wycięte z „Życia Warszawy”. Gatunek papieru, na który je naklejono, a także papieru użytego do napisania późniejszych anonimów określono jako trzecią klasę. Pochodzi z serii wyprodukowanej w ubiegłym roku przez Wrocławskie Zakłady i rozprowadzonej w całym kraju; używany do pisania na maszynie, ogólnie dostępny. Ujawniono również ślady przecięcia dokonane ostrym narzędziem. Koperty są znormalizowane, powszechnie dostępne, sprzedawane w sklepach papierniczych. Podczas badań daktyloskopijnych ujawniono ślady linii papilarnych. Osobiście sądzę, że należą one do Lityńskiego bądź Kwaśniewskiego. Sprawcy są zbyt przezorni, by zapomnieli o takim szczególe. Jeśli chodzi o maszynę, której użyto do napisania listów, jest to typ portable marki „Consul”. Te maszyny są masowo sprowadzane do kraju. Badany egzemplarz posiada cechy charakterystyczne: czcionki „e”, „m” wyskakują w górę, czcionki „g”, „h”, „f” – są lekko skrzywione.

– Nadaj zaraz po odprawie dalekopis do wszystkich komend – przerwał Żurek. – Chodzi o to, by nasi funkcjonariusze, zauważywszy maszyny tej marki, pisali na nich krótkie teksty i razem z próbką pisma maszynowego przesyłali notatki zawierające datę produkcji, numer konkretnej maszyny, adres miejsca, w którym się aktualnie znajduje, nazwisko i adres jej właściciela. A teraz mów dalej o wynikach badań.

– Ekspertyza językoznawcza jest dość lakoniczna. Ekspert wydał opinię stwierdzającą, że listy pisał człowiek z co najmniej średnim wykształceniem, mający pewną wiedzę wojskową. Mógł odbyć przeszkolenie wojskowe, mógł działać kiedyś w konspiracji, niewykluczone, że jest to były harcerz lub człowiek, który ma doświadczenie z zakresu pracy milicji. Świadczą o tym zwięzłe i kategoryczne sformułowania oraz precyzja w określaniu punktów terenowych. Prawdopodobnie jest mieszkańcem Warszawy. Trasa kontaktów świadczy o doskonałej znajomości miasta. – Korcz milknie na chwilę. Nikt nie zadaje pytań, więc ciągnie dalej. – Widzimy więc wyraźnie, że ekspert z zakresu językoznawstwa określa pewien krąg ludzi. Niestety, jest on bardzo szeroki, obejmujący co najmniej kilka tysięcy osób. Dokonanie wstępnych eliminacji na tej podstawie będzie trudne. Przy ewidencjonowaniu trzeba oczywiście brać pod uwagę i te dane. To wszystko...

– Przypominam o potrzebie dyskretnego działania. Chodzi o życie małej – podkreśla na zakończenie odprawy major Żurek, zatrzymując jeszcze na chwilę Korcza. – Jeśli założyć, że wytyczanie takiej trasy miało na celu ujawnienie milicyjnych działań – mówi trochę do niego, trochę do siebie – to zwiększyliśmy być może zagrożenie małej.

W głosie brzmi powaga i troska.

– Sam się tym gryzę. – Korcz ma ściągniętą, zmęczoną twarz. – W dodatku gospościa Lityńskiego poleciała

na posterunek z meldunkiem o zaginięciu dziecka. Ściągnęła dzielnicowego. Przyszedł w mundurze. Jeśli obserwowali wówczas willę... – Urywa. Bezradnie rozkłada ręce.

Rozdział IX

– Nie odzywają się. Co robić? Czy jest jeszcze jakaś nadzieja? – W oczach Lityńskiego rozpacz.

Nadzieja Korcz rozumie, że szanse dziecka kurczą się z każdą minutą. Przetrzywanie jedenastoletniej dziewczynki zagraża bezpieczeństwu sprawców. Może ją ktoś rozpoznać, ona zapamięta miejsce i ludzi. Hipoteza, że sprawcy działali z polecenia matki, właściwie nie może być brana w rachubę. Z meldunków wynika, że Halina Jasińska nie wywiozła dziecka za granicę. W odlatującym do Londynu samolocie w ogóle nie było żadnego dziecka. Mogła je wprawdzie ukryć u przyjaciół czy znajomych, prosząc, by się małą zajęli do czasu jej powrotu, ale wówczas ktoś by ją zauważył. Zdjęcia zostały rozesłane po całym kraju. Dysponują nimi wszyscy funkcjonariusze.

Ponoć Lityńska w dniu wyjazdu spotkała się z córką. Ale nie ma pewności, czy dziewczynka, z którą zauważyła ją dozorczeni, była Anią. Kobieta ta nie zna Ani, oglądając jej zdjęcie nie potrafiła nic stwierdzić kategorycznie. „Widziałam ja z daleka. Za szybko cukierni.

Miała na sobie jakiś kolorowy płaszcz z kapturkiem”. Czy właśnie taki płaszcz włożyła tego dnia Ania? Korcz przed spotkaniem z Lityńskim przesłuchał jego gosposię.

Pani Janina Pyć, lat 48, wdowa po hydrauliku, który, jak mówiła, zginął tragicznie kilka lat temu, pracowała u Lityńskich od czasu śmierci męża.

– Panią znałam od dawna. Jej rodzice mieszkali w sąsiedztwie. To byli skromni ludzie. Ona i po ślubie niewiele się zmieniła. Chciała iść do pracy. Męczyła się w domu. Przyszła do mnie po radę. Usłyszawszy, że jestem sama jak palec, zaczęła mnie prosić. „Niech pani zajmie się domem. Będzie pani dobrze u nas”. Prawdę powiedziała. Dobrze mi było. Dopokąd ona rządziła. Ostatecznie nie poszła do pracy, pan się sprzeciwił. Obie zajmowałyśmy się domem i Anią. Dom duży, pan wymagający. Chciał, żeby wszystko szło jak w zegarku. On sam niczym się nie interesował. Tylko dawał pieniądze. Myślał, że mojej pani pieniądze wystarczą. A ona, jak to kobita, chciała, żeby pomyślał o niej, o dziecku. Zatroscopył się. Pieniądze życia rodzinnego nie zastąpią! Żyłyśmy obie jak rodzina. Nic nie skrywała przede mną. Było jej źle. Skarżyła się na samotność. „On o mnie nie dba – mówiła nieraz. – Jestem jak cenny sprzęt domowy, a nie człowiek. Chciałabym żyć inaczej”. Chyba potem kogoś poznała, bo poweselała nagle i coraz częściej wychodziła z domu. Zaczęła się stroić. Pan nawet nie zauważył. Żonę widywał przy kolacji, a

Anię co parę dni. Na oko wszystko było dobrze. Rok temu będzie, jak pani oświadczyła, że rzuca męża. Błągała, żeby zająć się Anią jak własnym dzieckiem. Odeszła. Zaglądała tu czasem, jak pana w domu nie było. Ani przynosiła zabawki, mnie prezenty.

– Czy pani Lityńska była tu przed wyjazdem?

– A jakże. Przyszła pierwszego września z rana. O wszystko się wypytywała, a najbardziej o Anię. Wyglądała mizernie. Pytałam, czy aby nie chora? Pokręciła głową: „Mam kłopoty” – mówiła. Ani nie było w domu, więc powiedziała, że zajdzie do niej do szkoły pożegnać się, bo wyjeżdża z mężem za granicę i pewnie nieprędko wróci.

– Jest pani pewna, że było to właśnie pierwszego września?

Pyciowa zastanawia się długo.

– No tak. To było tego dnia, kiedy Ania do domu nie wróciła.

– Jak ubrane było dziecko?

– Miała granatową spódniczkę, białą bluzkę i białe pantofelki. We włosach granatową kokardę. Początek roku w szkole jest zawsze uroczysty, więc ją wystroiliłam. A że z rana padało, założyłam jej czerwony płaszczyk z kapturkiem.

– Tornister wzięła ze sobą?

– A jakże. Miała mieć dwie lekcje. Zapakowałam jej książkę od polskiego, od rachunków i zeszyty. Miśka też wsadziła do środka. Odkąd go dostała od pani, nie rozstawiała się z nim.

- Niech mi pani opisz tę zabawkę.
- Taki brązowy niedźwiadek z jednym białym uchem i językiem wysuniętym do przodu. Piszczą, jak mu się nacisnęło brzuszek. Oczkami przewracał. Oczki takie miał jak lalka. Same się zamykały i otwierały.
- O której Ania wracała ze szkoły?
- To był pierwszy dzień, nie miała jeszcze planu. Sądziłam, że ze szkoły wyjdzie koło południa.
- Nie była pani zaniepokojona, że Ania tak długo nie wraca?
- Wie pan, uroczystość mogła się przeciągnąć. Zresztą pani wybierała się do szkoły, mogła ją zabrać do siebie, a potem do cukierni. Ania bardzo lubi słodczyce. Później zadzwonił pan Kowalski, że Ania jest u nich i sam ją odprowadzi.
- Czy pamięta pani, o której telefonował?
- Musiało być koło szóstej, może trochę później. O szóstej, pamiętam, przyszedł mleczarz po pieniądze na następny miesiąc. Spytałam go, dlaczego zjawia się tak późno. Zwykle przychodzi z rana. On mi na to odpowiedział, że dopiero szósta. Kowalski zadzwonił już po jego wyjściu.
- Niech mi pani powtórzy dokładnie, co mówił.
- Uprzedzał, że Ania jest u nich, że sam ją do domu odprowadzi. Powiedział, żeby się nie niepokoić. Pan wrócił późno i spytał o Anię. Zaraz powtórzyłam. Kazał sobie podać książkę telefoniczną. Chyba tam telefonował, bo mówił, że wszystko w porządku. Dziwny jest

ten mój pan. Niby kocha dziecko, a go nie szuka, nie melduje, jakby go to wszystko wcale nie obeszło. Tom sobie w końcu pomyślała, że ja powinnam się za to wziąć. Poszłam na posterunek zameldować. Czy jest nadzieja, że Ania się znajdzie? – pyta nieśmiało.

Co miał jej odpowiedzieć? Milczał. A teraz to samo pytanie zadaje Lityński.

– Jest nadzieja – oświadcza spokojnie. – Jeśli nam pan pomoże. – Proszę rozważyć, czy to porwanie nie jest wynikiem jakiejś zemsty? Czy wśród kolegów, krewnych, znajomych jest ktoś, kto miałby do takiej zemsty powody?

Lityński zastanawia się długo.

– Halina, moja była żona – dodaje wyjaśniająco – twierdziła, że jestem nijaki. Nie potrafię wzbudzać ani miłości, ani nienawiści. Letni człowiek, pochłonięty robieniem kariery. Taka była jej ocena.

– Czy prawdziwa?

– Nie wiem. Niełatwo zdobyłem pozycję. Zapracowałem na nią ciężko.

– To zdobywanie, pozycji mogło wywołać czyjąś zazdrość, a nawet nienawiść. – Korcz ogłędnie formułuje to zdanie. Niejeden idzie w górę po trupach.

Sens pytania nie dociera do Lityńskiego. Opowiada dość chaotycznie o wysiłku, nagrodzie, sukcesach.

– Pierwszego września zaprosił mnie dyrektor nauczelnny... Zostałem mianowany głównym konsultantem do spraw poważnej inwestycji. Powierzono mi sfinalizowanie rozmów z kooperantem, szwedzką firmą

„Vipro”, która ma zająć się wyposażeniem specjalistycznych oddziałów. Kupujemy od nich licencję. Jadę do Szwecji i Londynu, tam mają filię. Wyróżnienia zawsze wywołują zawiść. Ale starałem się nikomu nie wchodzić w drogę.

– Kto, oprócz pana, ubiegał się o nagrodę w tej specjalności⁹

– Zespół inżyniera Adama Białka. Dostali wyróżnienie. Odniosłem wrażenie, że byli tym usatysfakcjonowani. Miałem większe szanse, bo i większy dorobek. Proponowane przeze mnie rozwiązania znajdą zastosowanie właśnie przy realizacji tej inwestycji.

– Słowem uważa pan, że zawiść i zemsta nie mogą być motywami, którymi kierowali się porywacze.

– Chyba raczej nie. Ja zresztą nie starałem się nawet o ten wyjazd. Dyrektor sam wysunął moją kandydaturę, prawdopodobnie byli i inni kandydaci, ale ja o tym nic nie wiem.

– Czy miał pan w pracy jakieś poważniejsze nieporozumienia, sytuacje konfliktowe?

– Kilka lat temu starliśmy się z inżynierem Białkiem. On wówczas dążył do „rewolucji” personalnej w naszym zarządzie. Uważał, że niezbędna jest rotacja kadr. Ja wolałem „stare porządki”. Zmiany kadrowe to komplikacje, rozróbki, zamęt, chaos. O niepowodzeniu jego przedsięwzięcia zdecydowała moja opinia. Zostałem awansowany. Jemu nikt nie wyrządził krzywdy. Pozostał na dotychczasowym stanowisku. Nie, nie mogę

uwierzyć, żeby to ktoś z tych kręgów.

– A pańska była żona, zdaniem pana, nie wchodzi w rachubę? Mogła gwałtownie potrzebować pieniędzy i... – zawiesza głos.

– Halina kocha małą. Nie, ona na pewno tego nie zrobiła... Panie kapitanie, w jaki sposób znów nawiązać ten kontakt?

– Da pan następujące ogłoszenie w prasie: „Pana, z którym ostatnio rozmawiałem pod pomnikiem Syreny i z którym miałem się spotkać w Łazienkach, proszę o nawiązanie kontaktu”. Podpisze pan to pełnym imieniem i nazwiskiem, poda swój telefon.

– Myśli pan, że to poskutkuje, że się, odezwą?

– Być może – mówi Korcz zegnając inżyniera.

Rozdział X

Lityński raz jeszcze przebiega wzrokiem treść listu: *Ostatni raz podejmujemy próbę poważnego załatwienia sprawy. Niech pan pamięta – jeden milicjant i nigdy więcej nie usłyszysz pan o nas i o córce. Oto instrukcja. Pieniądze włożyć do teczki i 11 września o 18.00 wyjechać z domu własnym samochodem. Przez godzinę krążyć po mieście, tak aby zgubić ewentualną obstawę. Potem jechać szosą prowadzącą do Modlina i zaraz za lasiem młocińskim skręcić w kierunku Wisły. Przy samym brzegu rzeki będą uwiązane dwa kajaki. Do jednego włożyć teczkę z pieniędzmi, samemu wsiąść do*

drugiego. Wypłynąć na środek rzeki, puścić kajak z pieniędzmi, nie oglądając się wrócić na brzeg i puścić z prądem drugi kajak. Potem odjechać. W ciągu dwóch dni córka wróci do domu.

Kwaśniewskiego niepokoi determinacja malująca się na twarzy przyjaciela.

– Co właściwie zamierzasz zrobić? – pyta już po raz drugi.

– Co mam zamiar zrobić? Oczywiście wykonam ich polecenia. Za godzinę wyjadę z domu.

– Proszę cię, zawiadom o tym Korcza. Oni nie cofną się przed niczym. Możesz stracić pieniądze i życie, a dziecka i tak nie odzyskasz – Kwaśniewski mówi tonem ostrym, nie owijając rzeczy w bawełnę. Jak go przekonać – myśli gorączkowo. Jakich użyć argumentów? Ba, argumenty. W tym jest sęk. Dwa dni temu otrzymał anonimowy list. Adresowany na jego, Kwaśniewskiego, nazwisko i domowy adres. Wewnątrz znajdowała się druga, tym razem adresowana do przyjaciela, koperta. Przywiózł mu ją zaklejoną i razem przeczytali tekst. *Nie zastosował się pan do naszych poleceń. Uprzedzaliśmy, by ściśle wykonywać instrukcje i nie zawiadamiać milicji. Wybrał się pan na spotkanie z nami w otoczeniu orszaku tajniaków. Dajemy ostatnią szansę: czekać na następne polecenie, wykonać je samemu. Może pan się posłużyć adwokatem Kwaśniewskim, w żadnym wypadku nie zawiadamiać milicji. Nie używać taksówek, tylko swego samochodu.*

Lityński zzieleniał.

– Gdybym cię nie posłuchał i nie zawiadomił milicji,

może by się udało... Ania wróciłaby zdrowa i cała do domu – wyrzucił Kwaśniewskiemu. – Zauważyli milicję. Sprowadziłem na jej głowę niebezpieczeństwo. Teraz będę już działał sam. Bez niczyjej pomocy.

On, Kwaśniewski, próbował już wówczas wyperswadować Karolowi działanie w pojedynkę. Tłumaczył, że właśnie dzięki obstawie dziecku włos z głowy nie spadnie.

– Będą wodzili cię za nos. Nie ma żadnej pewności, że w zamian za okup oddadzą dziecko.

Nie pomogły tłumaczenia. Inżynier podjął decyzję i nie myślał jej zmieniać.

– Będę działał sam – powtarzał z uporem.

Jak przelamać ten upór? Kwaśniewski boi się o życie inżyniera. Jest pewien, że Karol wpadnie w jakąś pułapkę. Nie bez kozery wybrali takie odludne miejsce, późną porę... Postawili warunek: własny samochód Taksówkarz może sobie przypomnieć pasażera, trasę, kogoś zauważyć. Pomóc w razie czego. A tak... jest zdany tylko na ich łaskę. Nagle rodzi się pomysł:

– Piszą, że możesz mną się posłużyć. Pojadę zamiast ciebie. Mam doświadczenie, praktykę. Mnie nie wystrychną na dudka.

Lityński odrzuca tę propozycję bez wahania.

– Dziękuję ci, ale to moje dziecko i mój obowiązek – mówi twardo. – Zrozumiałem, że właściwie dotąd zaniedbywałem rodzinę. Halina miała rację. Ostatnio dużo o tym myślałem. Zawiniłem. Muszę ponieść konsekwencje.

Kwaśniewski zgadza się w duchu z tym wywoodem.

Na jego miejscu tak samo by postąpił. Cokolwiek się stanie, Lityński będzie miał świadomość, że zrobił wszystko, co do niego należało, wszystko, co było w jego mocy. Przez chwilę zastanawia się, czy nie zawiadomić Korcza. Potem uświadamia sobie, że z pewnością Lityński ma przydzieloną obstawę. Chyba nie uda mu się ich zgubić? I tak pojedą mu na ogonie. Robi mu się lżej na myśl, że tamten nie będzie sam

Ledwie za adwokatem zamknęły się drzwi, Lityński zaczyna szykować się do drogi. Wciąga ciemny wełniany sweter, wkłada sportowe buty. Pieniądze wrzuca do teczki. Nie liczy. W ostatnich dniach leżały w otwartej szufladzie biurka. Gdyby jakiś włamywacz... Nieoczekiwanie uświadamia sobie, że chyba po raz pierwszy w życiu nie przywiązuje większej wagi do pieniędzy, do materialnego dorobku. Zawsze pysznił się widomymi oznakami powodzenia. Dziś o stracie swoich ciężko zapracowanych oszczędności myśli obojętnie. Wydaje mu się, że zrozumiał Halinę. Chciała żyć po prostu przy boku kochającego ją męża, a nie automatu do robienia pieniędzy.

Wyprowadza wóz z garażu, rusza w objazd. Obserwuje przez lusterko jadące za nim wozy.

– Wyjechał z domu. Kluczy po mieście, wygląda, że chce nas zgubić – meldują Korczowi załogi radiowozów.

– Trzymać się z daleka, ale nie spuszczać go z oczu – poleca kapitan. – Czekam na dalsze meldunki.

Po półgodzinie radiostacja odzywa się znowu.

- Jedzie w kierunku Gdańska.
- Skręca w boczną drogę za laskiem młocińskim prowadzącą w kierunku Wisły... Droga jest pusta. Może nas zauważyć.

- Zachowujcie dystans. Jeśli zatrzyma się i wysiądzie, zostawić wozy i iść za nim. Dyskretnie obserwować. Podjąć obserwację człowieka, z którym się spotka

Korcz jest zaniepokojony nieoczekiwanym rozwojem wydarzeń. Chyba nawiązali z nim kontakt. Tylko dlaczego mnie nie zawiadomił? Przyczyna może być tylko jedna. Poinformowali go, że dostrzegli obstawę. Przestał nam wierzyć. Ale w jaki sposób go zawiadomili? Powinienem o tym wiedzieć. Willę obserwujemy bez przerwy. Nikt obcy nie kręcił się. Lityński z domu nie wychodził. Tylko jego gosposia. Po sprawunki. Nikt obcy się do niej nie zbliżał.

Korcz raz jeszcze starannie przerzuca meldunki z obserwacji willi. Jest wyjaśnienie. Obserwatorzy sygnalizowali dwie wizyty Kwaśniewskiego. Jasne, kontakt został nawiązany przez niego. Ale w jaki sposób? Dlaczego Kwaśniewski nas nie zawiadomił? W pierwszej chwili myśli z urazą o kumplu. A jeśli Lityński zobowiązał go do zachowania tajemnicy? Nie miał wówczas prawa działać na własną rękę. Musiało tak być, jest niemal pewien. Kwaśniewski wie, że obstawiamy willę. Ma prawo liczyć, że wywiadowcy tropną się sami. Że ruszą w ślad za inżynierem. Nie omylił się. Nie dali mu się zgubić. Żeby tylko zdążyli podjąć obserwację. Kontakt nad brzegiem Wisły! Fatalne miejsce. Zna dobrze

ten teren. W dwóch kolejnych sprawach prowadził śledztwo w sprawie zabójstw, które się tu zdarzyły. Teren odkryty, trudno się tam poruszać w sposób niezauważalny, a jeszcze w taką noc. Spogląda na jasny sierp księżycy. Jak oni sobie poradzą? – myśli z troską o swoich chłopakach Czy aby nie sfajczą?!

Wywołuje kolejno radiowozy. Odzywają się kierowcy.

– Obserwowany zaparkował samochód nad brzegiem Wisły. Wysiadł. Trzyma jakiś przedmiot w ręku. Wywiadowcy z radiostacjami o bliskim zasięgu ruszyli za nim. Jak dotąd nie porozumiewali się.

Wywiadowcy obserwują Lityńskiego. Najpierw spoza krzaków. Ta osłona szybko się kończy. Dalej płaski teren. Trzeba się czołgać. Ruszają, rozrzućeni w niewielkim promieniu. W tym czasie Lityński schodzi coraz niżej. Głowa jest jeszcze widoczna, potem i ona znika.

Posuwają się wolno. Każdy nieostrożny ruch może zmącić panującą ciszę. Wiedzą, że nie mogą zdradzić swojej obecności. A tu jak na złość wszystko się przeciw nim sprzysięgło. Teren równy, tylko nieliczne kamienie i osty. Najpierw trzeba wymacać przed sobą drogę, potem przesunąć ciało. Jeszcze pięćdziesiąt metrów do końca urwiska, za którym zniknął obserwowany. Co się z nim dzieje? Może tam na dole już na niego czekają. Przestrzeń kurczy się wolno, zbyt wolno.

Trzask. Co to za trzask? Teraz plusk wody. Topią

go?! Dlaczego nie krzyczy? Znowu plusk j ciche uderzenia wiosel o wodę. Prędeż, prędeż... Pot zalewa czoła. Ciała sprężone. Myśl skoncentrowana na przyspieszeniu ruchów.

Kiedy wreszcie zlni potem docierają do opadającego ku rzece urwiska, widzą dwa płynące kajaki. W jednym mężczyzna, czarna na tle rozsrebrzonej wody sylwetka. Chyba Lityński. Drugi kajak wydaje się pusty, nie widać w nim nikogo. A jednak sunie w ślad za tym. Czyżby mężczyzna holował pusty kajak? Po co? Może ktoś leży na dnie? Jak to sprawdzić? Są bezsilni.

– Niech Korcz zaalarmuje komisariat rzeczny – nadają przez radiostację. – Nie mamy możliwości bliższej obserwacji.

Tkwią przy brzegu, nie spuszczać oczu z obu kajaków. Już są prawie na środku rzeki. Przeprowia się na drugą stronę? A może właśnie tu, na środku rzeki, nastąpi oczekiwany kontakt? Rzeką nic nie płynie.

Czarna sylwetka wiosłującego człowieka jest nadal widoczna Mężczyzna przyciąga do siebie drugi kajak. Jakby się nad nim pochylił. Znów chwyta za wiosła. Zawraca? Tak, zawraca. Drugi kajak kołysze się wolno na środku rzeki, raptem zakręca, ściągany prądem spływa w dół Wisły.

Dwóch wywiadowców czołga się wzdłuż brzegu, starając się nie stracić z oczu płynącej łupiny. Dwóch innych czeka na człowieka, który za chwilę dobieje do skarpy.

Brzeg jest pusty. Gdyby tak dopaść do nadpływającego kajaka?

Nie wolno im stąd odejść. Muszą zidentyfikować wioślarza.

A ten już wolno wychodzi na brzeg. Wsiada do samochodu. Teraz nie mają żadnych wątpliwości, to inżynier. Cofają się do wozu. Pojadą za nim. Pozostali poczekają, aż inżynier odjedzie. Może kajakiem, z którego wysiadł, uda się dogonić znikający z pola widzenia, malejący wciąż punkcik.

Zbiegają nad sam brzeg. Nie ma i drugiego kajaka. Puszczony wolno płynie w ślad za tamtym.

Rozdział XI

– Nic mnie bardziej nie męczy niż ta przymusowa beczynność. Zdalne sterowanie zza biurka. – Korcz jest znużony oczekiwaniem na meldunki o wynikach akcji.

– Właśnie z tego miejsca – major Żurek puka palcem w stół – widzisz wszystko dokładnie, masz wszystkie nici w ręku. Dostrzegasz błędy, wąskie gardła, masz możliwość natychmiastowej interwencji, przegrupowania sił, uzyskania dodatkowych informacji.

Korcz milczy. Nie zgadza się ze zwierzchnikiem. Być może Żurek ma rację, ale to jest sprzeczne z jego, Korcza, usposobieniem, sposobem działania, temperamentem. On lubi osobiście obejrzyć teren, pokierować akcją. Znajomość warunków pobudza wyobraźnię, umożliwia prawidłowe oceny, a więc i trafne decyzje. Na odległość...

– Najlepiej kieruje się na odległość – ciągnie dalej Żurek, jakby odgadywał myśli kapitana. – Bezpośredni udział w działaniu i związane z nim emocje zaciemniają obraz. Dlatego przecież schrzaniłeś akcję na trasie wyznaczonej przez porywaczy.

Schrzaniłem – myśli Korcz. Sam jest tego zdania. Czy jednak dlatego, że od początku do końca brałem w niej bezpośredni udział? Czy gdybym sterował ludźmi stąd, osiągnąłbym lepsze rezultaty. Skoro błąd tkwił w założeniach? – zadaje sobie po raz któryś z rzędu pytanie. I nie potrafi na nie znaleźć odpowiedzi.

Stąd, zza biurka, kierował ruchami radiowozów jadących w ślad za Lityńskim. Wydawał polecenia, opierając się na ich meldunkach. Zanim jego ludzie obstawili oba brzegi Wisły, zanim w dół rzeki ruszyły łodzie patrolowe, upłynęły cenne minuty, z których każda zwiększa szansę sprawców, szansę umknienia z miejsca zdarzenia, zatarcia za sobą śladów. Czy wywiadowcy nie pomylili się, informując, że w kajaku, do którego Lityński włożył prawdopodobnie teczkę z pieniędzmi, nie było nikogo? A jeśli inżynier wyholował na środek rzeki kajak z leżącym płasko człowiekiem, zdołał porozumieć się z nim podczas drogi, i zgodnie z poleceniem puścił kajak z prądem? A wtedy tamten, odczekawszy jakiś czas, by zdobyć pewność, że nikt go nie może dostrzec, chwyta za wiosła i płynie do upatrzonego wczesniej miejsca. Mogło być jeszcze inaczej. Nie Lityński, a tamten wyholował kajak z tkwiącym w pozycji

leżącej inżynierem. A potem zamienili się rolami. Wywiadowcy widzieli tylko sylwetkę. Gdybym pojechał na miejsce – zastanawia się, być może lepiej oceniłbym sytuację. Może niezbędne były dodatkowe decyzje? Gdyby ciocia miała wąsy – karci sam siebie, próbując skoncentrować się na wywodach zwierzchnika, który usłyszawszy o nowych wydarzeniach przyjechał do komendy. Tkwí teraz na krześle w pokoju kapitana i razem z nim czeka na dalsze meldunki.

– Może posłać kogoś do Lityńskiego? Na gorąco przeprowadzić z nim rozmowę? – proponuje.

Korcz kręci głową przecząco: – Nic nam to nie da. Jeśli dogadał się z szantażystami, nie powie ani słowa w obawie o życie dziecka. Gdy okaże się, że jego rachuby zawiodły, przyjdzie do nas sam. Nie chciałbym być złym prorokiem, ale jestem pewien, że to nastąpi szybko, bardzo szybko...

Major Żurek schyla głowę nad szklanką świeżo zaparzonej kawy.

– To nie są nowicjusze – mruczy pod nosem. – Masz już wyniki badań dowodów rzeczowych?

– Jeszcze nie. Zidentyfikowaliśmy około pięćdziesiąt procent sfotografowanych. Jak dotąd, nie ustaliliśmy związków między tą grupą a środowiskiem Lityńskiego lub jego rodziną. Ślady linii papilarnych, ujawnione na anonimach, tak jak przypuszczałem, zostały pozostawione przez Lityńskiego i Kwaśniewskiego. Ustalenie nazwisk wszystkich fotografowanych uważam

za sprawę najważniejszą. W tej grupie powinien tkwić przynajmniej jeden ze sprawców. Ten, który odczytał na murze numer telefonu Kwaśniewskiego. Na razie nie można eliminować nikogo. Chociaż może się także okazać, że ktoś został wykorzystany do odczytania tego numeru i nie ma on żadnych innych związków z interesującym nas środowiskiem i sprawą. Nie można tego wykluczyć – Korcz mówi wolno. – Tyle że te badania i eliminacje to długa, bardzo długa droga...

– Myślisz o dziecku? – major Żurek stuka nerwowo łyżeczką w szklankę. – Boję się, że los dziecka jest już przesądzony. Tyle dni poszukiwań i żaden z naszych funkcjonariuszy nie natrafił na ślad dziewczynki, nawet na cień śladu.

– Jeżeli nie dokonamy nowych ustaleń, musimy pomyśleć o ogłoszeniu komunikatu ze zdjęciem w prasie, radiu i telewizji.

– Sam rozumiesz, że to ostateczność. Już wtedy.... – nie kończy, przerywa mu sygnał radiostacji.

– Mamy obydwaj kajaki – melduje ekipa z łodzi patrolowych. – Jeden wyłowiliśmy na Wysokości Modlina. Był odwrócony do góry dnem. W środku nie znaleźliśmy nic, nawet wiosła. Drugi tkwił na mieliźnie o kilkaset metrów bliżej. W tym są wiosła. Podczas patrolowania szlaku nie zauważyliśmy żadnej łodzi. Co robić dalej?

Kajaki zabezpieczyć do badań – poleca Korcz. I nagle przychodzi mu do głowy, że człowiek, z którym

być może spotkał się Lityński, mógł porzucić kajak, przesiąść się do zacumowanej gdzieś łodzi i płynąć nią nie w dół, a w górę rzeki, gdzie nikt nie będzie go szukał. Mógł też dopłynąć wpław do brzegu, Dla dobrego pływaka to żadna sztuka. – Patrolujcie i górny brzeg Wisły – wydaje następne rozkazy. – Rano sprawdzicie, czy zgadza się stan kajaków i łodzi na wiślanych przystaniach. Chodzi o ustalenie, do kogo należą wyłowione przez was kajaki. – Chwila milczenia. – Spenetrujcie dokładnie górny brzeg Wisły, z obu stron – poleca ekipom przeszukującym brzegi. – Zabezpieczać ślady, szczególnie te, które nasuwają przypuszczenie, że ktoś przy pływał lub dobił łodzią do brzegu. – Wyłącza się. – Chyba poszkapilem – mówi do majora. – Zapomniałem, że najbezpieczniej było wyjść z wody w górze, a nie w dole rzek. Zwłaszcza mając w ręku teczkę z pieniędzmi.

– Ba, ale czy ją zabrali? Czy to w ogóle była teczka?

– Tę hipotezę można podbudować faktami. Obstawia zameldowała, że Lityński wyszedł z domu z teczką w ręku. Z nią wsiadł do samochodu. Obserwujący go podczas drogi powrotnej wywiadowcy twierdzą, że wszedł do domu bez teczki. Nie ma jej także w wozie. Poprzednio meldowali, że coś wkładał do kajaka. To musiała być teczka z pieniędzmi.

– Chyba masz rację. – Żurek wolno podnosi się z krzesła. – Jadę do domu. Jeśli coś ustalisz, dasz mi znać. Jeśli nie, zobaczymy się rano.

Korcz siada wygodniej. Opiera ręce na blacie biurka i kładzie na nich głowę. Trzeba czekać. Najchętniej wsiadłby do radiowozu i pojechał na miejsce, ale o tym nie ma mowy. Musi tu tkwić, trzymając w ręku, jak mówi Antek, wszystkie nici. Drzemie. Budzi się, spogląda na zegarek. Znowu drzemie.

Podrywa się na sygnał radiostacji.

– Znaleźliśmy ślad płetwy przy samym brzegu. Dalej jest odcisk gumowego obcasa.

– W którym to miejscu?

– W górze rzeki. W odległości około pół kilometra od punktu, z którego odpłynął kajak. W tym punkcie znaleźliśmy również ślady obuwia.

Senność opada. Korcz jest znowu czujny, napięty.

– Zabezpieczcie natychmiast te ślady. Sprowadzić psa! Może złapie trop.

Teraz łączy się kolejno z innymi radiowozami. Pyta o rezultaty. Są nikłe. Wśród zabezpieczonych dotąd śladów jest jakaś złamana gałązka, klamerka, niedopałki, części damskiej garderoby, puste butelki.

– Zatrzymaliśmy dwie pary zakochanych i kilkunastu wędkarzy. Pod pretekstem naruszania spokoju i kłusowania. Dokąd ich przewieźć? Do was?

– Nnnie. Te parki do komendy dzielnicowej, a wędkarzy do komisariatu rzecznego – decyduje Korcz.

– Wysłałem Janika. On ich przesłucha.

Jeszcze parę poleceń. I znowu oczekiwanie. I znowu cisza. W pokoju i w eterze. Korcz drzemie.

Kolejny meldunek:

– Pies poszedł za śladem. Poprowadził od brzegu, przez młociński las, do skraju szosy. Dalej śladu nie podjął. Co mamy robić?

– Wykonajcie szkic drogi. Zabezpieczcie starannie ślady na tej trasie. Może na poboczu znajdziecie odcisk opon. Czekam na dalsze meldunki. – Wyłącza się.

Nareszcie jakiś ślad. Może znów rzecz bez znaczenia? Ale zawsze trop Korcz porusza ustami, jakby mówił sam do siebie. Oblicza w myślach czas, który potrzebny będzie na niezbędne wyjaśnienia: tydzień, miesiąc, dwa. Już nie akcje. Normalne śledztwo. Śledztwo, które może ciągnąć się miesiącami, zanim da efekty w postaci zatrzymania sprawców. Ale to nie uratuje dziecka.

Rozdział XII

Za oknami kawiarni szaro, jak gdyby ktoś zasłonił je szczególnie burymi firankami. Ta szarość przesiąka do wnętrza. Przytłacza.

– Samolot przylatujący z Londynu o godzinie trzy-nastej zero zero jest opóźniony pół godziny – zawiadamia lotniskowy spiker.

Oby tylko trzydzieści minut – wzdycha Korcz. Obserwuje kłębiącą się za oknami mgłę, która pogarsza jeszcze jego i tak podły nastrój. Spieszy się do roboty i rad by odwlec chwilę, w której przyjdzie się spotkać z

Lityńskim powracającym właśnie z podróży do Malmö i Londynu. Inżynier z pewnością czeka niecierpliwie na efekty podjętych działań. A te efekty są nadal nikłe.

Aż wstyd mówić. Akcja nad Wisłą, jak i po przednie, zakończyła się niepowodzeniem.

Zatrzymani wędkarze, jak się okazało po sprawdzeniu ich zeznań, są stałymi bywalcami na tym terenie. Żaden nie znalazł się tu przypadkowo. Wszyscy, o dziwo, mieli karty wędkarskie, wszyscy znali się dobrze i spotykali podczas wypraw na ryby. Janik przyjechawszy do komisariatu zastał na dole grono dyskutantów chętnie opowiadających o swoich „łowieckich” sukcesach.

– Mógłbym teraz pracę magisterską na ten temat napisać, tak mnie wyedukowali – meldował Korczowi. – Ale jeśli chodzi o informacje dla nas, to całkowita kłapa. Pytałem, czy nie dostrzegli na rzece jakiejś łodzi. Wyjaśniłem, że otrzymaliśmy meldunek o kłusownikach-wędkarzach i stąd to sprawdzanie kart. Zgodnie twierdzili, że nie widzieli żadnej łodzi prócz naszych patrolowych. Przeprosiłem i puściłem do domów. Oczywiście po spisaniu personaliów. – Kładzie przed Korczem długą listę nazwisk i adresów.

Kapitan miał jeszcze nadzieję, że oględziny kajaków dostarczą jakichś śladów. Nadzieja ta okazała się płonna. Na wiosłach kajaka znaleziono sporo odcisków palców, między innymi były tam odciski Lityńskiego. Same kajaki należą do klubu Wioślarskiego, który dysponuje przystanią na lewym brzegu Wisły. Pracownik

klubu odpowiedzialny za sprzęt pływający zaklinał się, że kilkakrotnie w nocy zaglądał na przystań i wszystko było w porządku. Zastanawiające było tylko co robił na przystani w nocy, skoro normalnie wychodził z pracy o osiemnastej. Rzeczą wyjaśnili się nadspodziewanie prosto. 11 września ów pracownik obchodził imieniny w gronie kolegów. O siedemnastej sprzątaczką zastała w pomieszczeniu klubu grono podpitych gości. Gospodarz przyjęcia ledwo się trzymał na nogach. Rano wszyscy leżeli pokotem na podłodze. W tej sytuacji można było swobodnie zabrać i wyprowadzić z przystani nie tylko dwa kajaki, ale i cały sprzęt pływający.

Penetracja obu brzegów Wisły dała pewien plon w postaci drobnych przedmiotów. Sporządzono gipsowe odlewy zabezpieczonych śladów stóp, które doprowadziły psa tropiącego aż do szosy, gdzie trop się urwał. Na poboczu szosy nie znaleziono śladów pojazdu. Jakby ktoś, doszedłszy tutaj, wyparował. Ślady obuwia w punkcie odbicia od brzegu kajaków zidentyfikowano jako odciski butów, które miał na nogach tego wieczoru Lityński. Innych śladów stóp w tym miejscu nie odkryto. Więc był sam. Czyli upadła hipoteza, że ktoś na niego czekał, co nie wykluczało, oczywiście, obecności tego „ktosia” w jednym z kajaków.

Specje przeprowadzili badania nader starannie i drobiazgowo, ale wciąż brakowało materiału, który można by porównać z zebrany podczas akcji przed cmentarzem

Powązkowskim. Jak można zakreślić krąg podejrzanych, skoro nie sposób wyeliminować nikogo z grupy sfotografowanych tam i zidentyfikowanych już ludzi.

W miarą identyfikowania twarzy z nazwiskiem bada się i głosy, ale jak dotąd wszelkie porównania z nagrany na taśmie głosem porywacza dały negatywne wyniki. Zresztą to o niczym nie świadczy i na tej podstawie nie można dokonać eliminacji. W porwaniu dziecka brały udział co najmniej dwie osoby. Człowiek, który telefonował do Lityńskiego, nie musiał być tym, który odczytał numer. Mogła to być zupełnie przypadkowa osoba.

Te czynności pochłaniały czas dziesiątków funkcjonariuszy, a praca ich nie dała niemal żadnych rezultatów. Niemal, bo wśród zidentyfikowanych właścicieli wozów znalazła się niejaka Joanna Bilińska. O 9.30 przejechała trasę od Marchlewskiego w kierunku Powązek Wojskowych i z powrotem. Bilińska, ustalili to kilka dni temu, żyła od paru lat w konkubinacie z inżynierem Adamem Białkiem, konkurentem Lityńskiego do nagrody. To pierwszy ślad prowadzący do interesującego ich środowiska. Pierwszy, ale nie jedyny. 2 września o 10.15 przejechał tym odcinkiem służbową wołgą, bez kierowcy, dyrektor centrali handlu zagranicznego Jan Zwoliński. Zwoliński – jak się okazało – utrzymywał od dawna towarzyskie stosunki z przedstawicielem firmy „Vipro” na Polskę, Arnoldem Głorem, obywatelem szwedzkim polskiego pochodzenia. Z Głorem

stykał się także Lityński. Sam o tym opowiadał Korczowi. Było to podczas ostatniej rozmowy.

14 września, w trzy dni po owej kajakowej wyprawie, Korcz zaszedł wieczorem do inżyniera. Przez te trzy dni Lityński nie opuszczał domu. Wyglądało na to, że czegoś oczekuje. W tym czasie odwiedził go tylko Kwaśniewski. O tym wszystkim Korcz wiedział z mel-dunków, ale nie zamierzał informować Lityńskiego, że jest obserwowany. Ciekaw był, czy tamten powie mu prawdę, czy nadszedł już czas szczerości.

Jedno spojrzenie na porysowaną bruzdami, postarzałą gwałtownie twarz gospodarza powiedziało Korczowi więcej o bezskuteczności podjętych przez tamtego usi-łowań, niż mogłyby wyrazić słowa.

Lityński ucieszył się na jego widok.

– Miał pan rację. Dałem się oszukać – oświadczył chropawym głosem.

– Nic a nic z tego nie rozumiem – Korcz udawał, że nie orientuje się w sytuacji.

– Straciłem do was zaufanie w chwili, gdy otrzymałem ten list. – Lityński przysuwa się wraz z fotelem do biurka, sięga ręką do półotwartej szuflady. – Proszę, dostałem nawet dwa.

Kapitan czyta powoli. Konfrontuje w myśli treść li-stów z własnymi hipotezami i podjętymi na ich podsta-wie czynnościami. Prawidłowo wówczas rozumowałem – ocenia. Więc to było tak.

– Kto panu dostarczył listy? – spytał dla zachowania pozorów, gdyż i ten szczegół uważał już za wyjaśniony.

– Nie chciałem, aby ten, kto mi je dostarczył, miał z tego powodu jakiegokolwiek przykrości. – Lityński zawahał się. – Zobowiązałem go do za chowania ścisłej tajemnicy. Przed wami.

Korcza wzrusza ramionami.

– Skoro tak, nie ma o czym mówić. Chciałem jednak wiedzieć, w jaki sposób zostały doręczone.

– Kwaśniewski – padła krótka odpowiedź.

– Czy zawiózł pan pieniądze we wskazane w liście miejsce?

– Tak, oczywiście. Spełniłem wszystkie żądania. Kajak z teczką puściłem z biegiem Wisły. W nim popłynęły pieniądze. Nie wiem, co się z nimi stało. Wiem, że dotąd nie ma mojej córki. Może panu udało się coś ustalić – popatrzył błagalnie na Korcza.

Głupio mu było wówczas. Pamięta. Mówił o podjętych czynnościach, które, być może, doprowadzą do sprawców. Trudna to była rozmowa. Wyszedł spocony jak mysz. Czuł się współodpowiedzialny za los dziecka i w jakiś sposób winny, choć wiedział, że nie mógł zrobić nic więcej. Ale nie chciał wprowadzać w błąd inżyniera. Na szybkie zakończenie sprawy nie zanosilo się i nie mógł tego ukrywać. Dlatego też w dwa dni później, gdy zadzwonił Lityński, informując, że jego zwierzchnicy nalegają, by przyspieszył wyjazd do Szwecji, on, Korcza, jak najgoręcej doradzał. „I bez pana zrobimy w tej sprawie wszystko, co w naszej mocy – tłumaczył. – Może i lepiej, że pana nie będzie na miejscu. Nic pan nie pomoże, a kierując się emocjami zaszkodzić

nietrudno. Jeśli znów nawiążą kontakt, to tylko przez Kwaśniewskiego. On zwróci się do nas. Ale oni się nie odezwą. Bo i po co? Wiedzą, że nie ma pan już pieniędzy, że drugi raz pana nie nabiorą”.

Lityński wyjechał przekonany. Uwierzył znów w skuteczność milicyjnych działań. Teraz wraca z nadzieją w sercu. Cóż mu mogę pocieszającego powiedzieć – martwi się Korcz.

– Opóźniony o trzydzieści minut samolot z Londynu podchodzi do lądowania – zapowiada spiker.

Kapitan płaci za herbatę i wychodzi na taras. W gromadce czekających jest i Kwaśniewski. Patrzą sobie porozumiewawczo w oczy.

Samolot siada na płycie. Podjeżdżają schodki, wychodzą pierwsi podróżni. Wśród nich jest Lityński. Dostrzegł Korcza i Kwaśniewskiego, macha im ręką.

Wychodzą przed dworzec. Muszą jeszcze trochę poczekać. Nie wiadomo, jak długo będzie trwała odprawa celna.

Wreszcie zbliża się. Wita serdecznie, po przyjacielsku.

– Chciałbym z wami pogadać – zagaja.

– Jedźmy do mnie – zaprasza Kwaśniewski. – Wszystko przygotowałem. Tam porozmawiamy.

Miejsce jest źle wybrane. Lityński wchodzi i nagle zatrzymuje się w progu. Wygląda na to, że jak najszybciej pragnie opuścić ten dom. Twarz jego jest pochmurna, brwi zmarszczone. Z wyraźnym ociąganiem wchodzi do pokoju.

Przeżywa wszystko od początku – myśli Korcz. Chce przełamać ten nastrój. Zaczyna mówić o nowych ustaleniach i związanych z nimi nadziejach.

Nagle dostrzega, że tamten nie słucha. Jest nieobecny. Pochłonięty własnymi myślami. Dziwny chłód pojawia się w jego oczach.

Kwaśniewski wnosi półmisek z przekąskami. Wyciąga butelkę koniaku. Siada obok gościa.

Lityński zrywa się gwałtownie.

– Wybacz – mówi – nie jestem głodny.

Chciałbym już odpocząć. Jadę do domu.

Udając, że nie dostrzega wyrazu przykrości na twarzy przyjaciela, odwraca się, wkłada palto, chwytając rękę walizeczkę.

– Bądź zdrow – rzuca już w drzwiach.

– Zaraz cię odwiozę. Poczekaj chwilę – proponuje

Kwaśniewski.

W odpowiedzi niechętnie wzruszenie ramion.

– Nie potrzeba, są w pobliżu taksówki.

Rozmowa skończona Lityński zatrząskuje za sobą drzwi.

Rozdział XIII

Joanna Bilińska garbi się, jakby przygnieciona ciężarem wypowiedzianych słów Machinalnie obrzuca gospodarskim spojrzeniem źle zamiecioną podłogę. Dostrzega rzucone niedbale w kąt buty. Przez chwilę ma

ochotę zabrać się do sprzątanía, usunąć grubą warstwę kurzu osiadłą na regałach i stojącym obok okna stoliku. W kuchni – myśli, pewnie znów nagromadził się stos nie umytych naczyń, a przecież jutro są urodziny Adama. Jak zwykle przyjdą goście. Trzeba coś przygotować. Jutro... Przecież nie będzie żadnego jutra – uprzytamnia sobie. Dziś wszystko się kończy. Dziś, właśnie teraz. W tej chwili. A ja myślę o porządkach. Właściwie na co ja jeszcze czekam?! Podnosi się z krzesła jak automat i, nie patrząc na leżącego na rozbebeszonym tapczanie mężczyznę, idzie w kierunku drzwi. Zatrząskuje je za sobą, jakby chciała tym gestem odciąć się od przeszłości, podkreślić ostateczność decyzji. Zbiegając szybko po schodach kobietę obserwują przez wizjery ciekawe oczy sąsiadek. Nie dostrzega ich. Wybiega na ulicę, wsiada do samochodu zaparkowanego przy krawężniku. Rusza pełnym gazem. I właściwie dopiero teraz przychodzi opamiętanie. Refleksja. Czy ja dobrze zrobiłam? Jest tak zaabsorbowana tą myślą, że omal nie najeżdża na pchającego wózek człowieka. Słyszy czyjś krzyk. Przytomnieje. Zwalnia. Z przepisową prędkością wyjeżdża na szosę. Droga przed nią jest pusta. Dodaje gazu. Obserwując mechanicznie przestrzeń, wraca myślami do nurtującej ją sprawy. Dlaczego się tak skończyło? Mogło być przecież inaczej. Czy mogło? Adam nigdy nie potrafił rezygnować. Chciał mieć wszystko naraz. I ją. I tamtą. Jej istnienie odkryła przypadkiem. Przeżyła wówczas wstrząs.

– Okłamywałeś mnie przez cały czas – robiła mu wyrzuty.

Zdziwił się.

– Po prostu nie mówiłem ci o tym. Uważałem, że nie ma potrzeby – wyjaśnił spokojnie. – Co to ma zresztą za znaczenie?

Dla niej miało. Dzielić się z inną kochanym człowiekiem? Świadomość, że on krąży od jednej do drugiej, kłuje jak cierń. Upokarza. Gdybyż chodziło o przygodę, trwającą tydzień, dwa, miesiąc. Mogłaby mu to wybaczyć. Ale na stałe?! Tego nie mogła znieść. Wiecznie jątrząca zadra, zarzewie spięć. I narastający uraz. Może to ja nie potrafię zatrzymać go przy sobie, może to moja wina, mój pech?

Gryzła się tą sytuacją i wzdragła się przed cięciem ostatecznym. Kochałam Adama. Chciałam za wszelką cenę być z nim razem. Nie wyszło. Nie mogło wyjść – odpowiada sama sobie. W miarę upływu czasu narastały urazy. Poczucie niepełnej wartości. Postanowiła się sprawdzić. W oczach innych mężczyzn. Pomogło. Pomału wracała do normy. Jednocześnie uczucie do Adama blakło. Coraz rzadziej z nim rozmawiała. Pamięć przechowywała zbyt wiele pochopnie wypowiedzianych słów, zbyt wiele nie wypowiedzianych nagromadziło się w niej samej. Milczenie stworzyło mur. Mur obcości. Gdybym usiłowała go zwalić próbą szczerości?! Gdyby... Bezpłodne rozmyślenia. Nagle żal jej Adama. Został sam. Jutro są jego urodziny. Jak sobie poradzi? Czy

to jego wina, że jest taki jaki jest, że chce godzić nie-
możliwe do pogodzenia? Zawrócić i niechaj będzie, jak
było?!

Ruch kierownicą, ale wóz nie słucha. Ściąga do tyłu.
Coś się stało? Wychodzi. Ogląda. W tylnym kole siadła
guma. Sama nie da rady odkręcić śrub. Rozgląda się
więc po szosie. Jak na złość – pusto Nikt nie nadjeżdża.

Stoi obok wozu bezradnie. Ogarnia ją zmęczenie.

Otępiała przysiada na brzegu rowu, patrzy bezmyśl-
nie w jeden punkt. Nie czuje nawet deszczu, który za-
czyna kropić. Gdy zamienia się w ulewę, Joanna trzeź-
wieje. Chroni się do wozu. Nieoczekiwany prysznic
przywraca energię. Chęć działania. Zatrzymuje przejeź-
dzającą furmankę.

Chłop krzywi się.

– Coś pani, robić w taki deszcz?

Banknot skutecznie przełamuje opór. Mężczyzna
złazi z wozu, zabiera się do pracy. Kilka minut i po
problemie. Oboje są zadowoleni z transakcji. Chłop
chowa banknot za pazuchę, zacina konia.

Joanna prostuje koła. Już nie wróci. Decyduje się na
dalszą przejażdżkę. Dla odprężenia. Naciska pedał gazu.
Deszcz wpada do wnętrza przez otwarte okno, chłodzi
rozpaloną twarz. Prędejj, jeszcze prędejj!

Na zakręcie skoda zaczyna tańczyć. Joanna traci pa-
nowanie, szarpie kierownicę. Wóz kręci się chwilę wo-
ków własnej osi i nagle zsuwa się bokiem do przydroż-
nego rowu.

Wszystko dzieje się tak nieoczekiwanie, że Joanna

nie rozumie, co się stało. Po chwili przytomnieje. Próbuje otworzyć drzwi. Tkwią jak przymurowane. Zaklinowały się? Może uda się, gdy pchnie obiema rękami? Boi się puścić kierownicę, która stanowi jej jedyne oparcie. Próbuje się poruszyć. Nie boli. Teraz nogi. Całe. Przemieszcza ostrożnie ciało, przerzuca nogi na siedzenie i z całej siły popycha drzwi.

Ustępują. Wypada na mokry asfalt. Podnosi się z wolna, rozcierając stłuczoną głowę, wciąż jeszcze zaszkokowana wypadkiem.

Wóz. Co z moim wozem? Wolno obchodzi dokoła pół leżącą skodę. Jest ciemno. Na razie nie Widać większych uszkodzeń. Z tamtej strony lakier musi być porysowany. Wsiada do środka, uruchamia stacyjkę: silnik chodzi. Jego miarowy rytm działa kojąco. Wrzuca pierwszy bieg. Próbuje ruszyć. Nic z tego. Koła buksują. Gasi motor. Bez pomocy nie wyjadę – ocenia. Ale gdzie tej pomocy szukać?

Nie wysiadając z wozu zapala reflektory. Może ktoś zauważy wypadek. Smugi światła odsłaniają dość płytki rów, odbijają się skosem na obrzeżu mokrego asfaltu, zapalają czerwone iskierki gdzieś w pobliżu Joanna z nadzieją wpatruje się w te czerwone punkciki. Światła odblaskowe?

Samochód. Gdybyż jeszcze kierowca był w środku – wzdycha. Maszeruje w tamtym kierunku. Podchodzi do wozu od tyłu. Fiat 125. Przez tylną szybę dostrzega ciemniejszą plamę. Jest i kierowca. Jeśli ma ze sobą linkę, koniec jej kłopotów!

- Proszę pana – mówi podchodząc bliżej. Lewa,

boczna szyba jest odkręcona. – Proszę pana – powtarza. – Wpadłam do rowu, niech mi pan pomoże wyciągnąć samochód!

Człowiek za kierownicą nie reaguje. Nadal jest nieruchomy. Widocznie zasnął tak mocno, że nie słyszy. Joanna postanawia go zbudzić.

Kładzie rękę na jego ramieniu. Nic. Ani drgnie. Szarpie mocniej. Efekt jest nieoczekiwany. Bezwładne ciało przechyla się w jej stronę. Odskakuje z krzykiem. Dopiero teraz dostrzega, że fiat siedzi na drzewie. Cały przód jest wgnieciony. Przód? Ależ on w ogóle nie istnieje! Co z kierowcą? Zemdlał? Podbiega do opartego teraz o boczne drzwi człowieka. Twarzy ciągle nie widać. Próbuje podnieść schyloną głowę. Dotyka jej. Palce przenika chłód! Trup!

Wpada w panikę. Ogarnia ją strach. Zostać tutaj z tym trupem? Nieee! Biegnie przed siebie. Byle dalej, jak najdalej od tego widoku. Nie pamięta, że zostawiła samochód otwarty, że w środku ma torbę, dokumenty, pieniądze.

Potyka się, pada, podnosi. Znów biegnie. Środkiem. Z ciemności wyławiają ją reflektory nadjeżdżającego z przeciwnej strony samochodu. Omal nie wpada pod ten wóz.

Macha rękami, coś krzyczy.

Kierowca hamuje gwałtownie. Wyskakuje z szoferki.

– Samobójczyni! Czy pani zwariowała? – urywa na widok słaniającej się kobiety. Podtrzymuje ją ramieniem. – Co się stało?

– Trup! Tam trup! Wypadek. – Joanna dławi się własnymi słowami. Drży.

– Jaki trup? Gdzie? – Z wnętrza odzywają się liczne głosy. – Chodźcie, trzeba zobaczyć! – Tylne drzwi furgonetki otwierają się, wyskakuje z niej paru młodych ludzi. Podchodzą bliżej. – Gdzie to się stało? – pytają.

Joanna jeszcze jest w stanie szoku. Ręka wskazuje kierunek. Wsadzają ją do szoferki. Sami siadają z tyłu.

– Jedź wolniej – zwraca się któryś do kierowcy. – Uważaj na pobocza. Jak co, stajemy, robimy zdjęcia. Będziemy mieli szlagier do dziennika.

Joanna pomału przytomnieje.

– Gdzie my jesteśmy? – pyta.

– Na szosie prowadzącej do Warszawy. Koło Mławy czy Żuromina – odpowiada któryś z reporterów. – Co się pani stało?

– Miałam wypadek. Potem był tamten wóz. – Znów się trzęsie, szczęka zębami.

Światła muskają rozbity samochód. Furgonetka staje. Reporterzy wysypują się ze środka jak gruszki.

Joanna siedzi bez ruchu. Patrzy bezmyślnie na rozcinające mrok błyski fleszów.

Rozdział XIV

W lekko zmarszczonej tafli jeziora odbija się purpurą zachodzące słońce. Łódka za łódką dobija do niewielkiego mola. Wczasowicze nikną na wąskiej ścieżce.

Z ostatniej łodzi w kolorze przy brzeźnego sitowia wysiada para. Tęgi, wysoki mężczyzna wyskakuje pierwszy, podając rękę towarzyszącej mu dziewczynie.

Oboje są w grubych swetrach i w szortach. Październikowe słońce grzeje słabo. Od wody, ciągnie chłód. Dziewczyna palcami przeczesuje czarne, rozsypane na ramionach włosy i nie czekając na mężczyznę rusza wolnym krokiem w kierunku ginącej wśród drzew ścieżki.

– Poczekaj, Elu – woła jej towarzysz. Dogania ją, obejmuje ramieniem.

Dziewczyna się odwraca. Smagłą twarz rozjaśnia uśmiech.

– Nie gub się, Janku – strofuje go żartobliwie. – Co robimy dziś po kolacji?

– Oglądamy dziennik, a potem ja znikam. Porzucam cię na pastwę losu. Umówiłem się na brydża.

Dziewczyna pochmurnieje.

– Znowu? Wiesz przecież, że nie gram.

– Możesz nam pokibicować albo pobaw się sama.

– Mieliśmy razem spędzać urlop.

– A czyż tak nie jest? – Jan Zwoliński jest zdziwiony. O co ona ma pretensję?

– Ten czas tak leci... – mówi wolno dziewczyna. – Już tak niewiele go pozostało. Potem wrócisz do pracy, do żony, dzieci. Będziemy się widywali dorywczo, a jeśli zechcę wybrać się gdzieś z tobą, skrzywisz się, powiesz, że ktoś nas może zobaczyć, że zaraz będą plotki, że mężczyzna na twoim stanowisku musi dbać

o opinię. Znam to już na pamięć.

Mężczyzna marszczy czoło.

– Zrozum, nie mogę inaczej. Tobie nie zależy na opinii. Ale ja? Jest tylu zawistnych, którzy gotowi są wykorzystać każdy drobiazg, żeby mnie wygryźć i zająć stanowisko. Muszę uważać. – Jan Zwoliński mówi o tym z przejęciem.

– Możesz i tu kogoś spotkać – rzuca dziewczyna przekornie.

– Nieee... Upewniłem się z góry. W „Jutrzence” zamawia się pokoje na parę miesięcy wcześniej. Dlatego wybrałem właśnie ten pensjonat.

– Bywałeś tu już kiedyś?

– Nieraz.

– Z innymi dziewczynami?

– Jesteś zazdrosna o przeszłość? Teraz liczysz się tylko ty...

– Jak długo?

– Elu, nie bądź dzieckiem, będziemy razem do póty, dopóki będzie nam ze sobą dobrze – zniża głos na widok spacerujących w pobliżu dwóch mężczyzn. – Nie widziałem panów nad jeziorem – zwraca się do nich.

– Byliśmy w miasteczku. Pan Lityński – Janusz Glebicki wskazuje ręką na towarzyszącego mu, szpakowatego mężczyznę – wybrał się tam po listy, ja załatwiłem sprawunki. Pięknie opaliła się pańska żona – patrzy z zachwytem na Elżbietę.

Pochlebia jej ten zachwyt. Chce wykorzystać moment.

– Może zechce mi pan dotrzymać towarzystwa po kolacji? – pyta. – Mąż zamierza grać w brydża,

– Świetnie. Dziś sobota. Warto wypuścić się do miasteczka, zbadać, jak tu wygląda nocne życie. Jeśli pan nie ma nic przeciwko temu? – pyta kurtuazyjnie.

Zwoliński zgadza się skwapliwie. Zbyt skwapliwie – ocenia Elżbieta. Dlaczego? Ma ochotę to sprawdzić, ale już za późno, żeby się wycofać.

– Idziemy czy jedziemy? – pyta dębickiego.

– Oczywiście jedziemy. Może i pan? Zabralibyśmy się pańskim samochodem – zwraca się do Lityńskiego.

– Niestety, nie będę mógł państwu towarzyszyć. Dostałem list. Czekam na pilny telefon – wymawia się Lityński.

– Wobec tego pojedziemy moim trabanciną. Wprawdzie ten środek lokomocji jest zbyt skromny, niegodny tak pięknej kobiety, ale skoro nie ma nic lepszego pod ręką...

– Idziemy, Elu – przerywa mu Zwoliński. – Trzeba się przebrać. Będziesz się guzdrać i znów spóźnimy się na kolację.

– Czyżbyś był o niego zazdrosny? – rewanżuje się Elżbieta, gdy wchodzi na dębowe, wysłane chodnikiem schody, prowadzące do zajmowanego przez nich apartamentu.

– Zazdrosny? – krzywi się Zwoliński. – Nie jestem romantykiem. Konkurować z takim gołodupcem. Za kogo ty mnie masz!

– Dla ciebie ważne są tylko pieniądze i stanowisko. Uważasz, że tylko to się liczy. A mnie wcale na tym nie zależy. Jestem z tobą, bo... – urywa gryząc się w język. Po co ma wiedzieć?

Gdy schodzą na dół, już przebrani, w obszernej wyłożonej boazerią sali jadalnej znajduje się całe towarzystwo. Prezydialne miejsce zajmuje właścicielka „Jutrzenki”, Wanda Skrółowska. „U mnie jak w rodzinie. Dlatego ten jeden wspólny stół, zamiast stolików. Traktuję państwa jak moich najmiłszych gości” – mówi każdemu z osobna, zaznajamiając ze zwyczajami panującymi w tym pensjonacie. Należy do nich między innymi obowiązek przebiegania się do obiadu i kolacji.

– Tak jest przyjemniej, uroczyściej, nie mówiąc o tym, że nasze panie mają okazję do zaprezentowania toalet – tłumaczyła Elżbiecie podczas powitania. – U nas w majątku...

– Ależ ja nic stosownego nie wzięłam ze sobą – przerwała jej dziewczyna.

– Cóż za kłopot. Mąż kupi. – Zwraca się do Jana. – Widzę, że zapomniał pan uprzedzić żonę...

– Byłem ostatnio bardzo zajęty – wyjaśnił.

Tego samego dnia pojechali do Olsztyna po sprawkę. Teraz Elżbieta paraduje w modnych ciuchach, które dodają jej uroku.

W sali jadalnej toczy się żywa rozmowa, którą kieruje właścicielka. Właśnie opowiada o swoich zmartwieniach i kłopotach.

– Niedługo już „Jutrzenka” przestanie być dla gości

oazą ciszy i spokoju. W pobliżu powstaje jakiś wielki zakład. Na ogrodzony już teren zwożą materiały. Mówi się, że to pewnie wojskowa budowa. Strzeże tego terenu zakwaterowana tam jednostka wojskowa. Wypłoszą stąd nawet duchy.

– Duchy? Są tu duchy?

Żona wrocławskiego zaopatrzeniowca, Waclawa Janickiego, z zainteresowaniem patrzy na panią Skrótowską. Ciekawość błyszczy w jej oczach.

– Tak, to znana historia. Niedaleko stąd, nad położonym koło byłej kwatery Hitlera jeziorem, snują się w nocy białe cienie. Ludzie opowiadają, że to duchy pomordowanych tu ludzi. Hitlerowcy – ciągnie z ożywieniem – zalali wodą bunkry i wszystko, co się w nich znajdowało. Przy ewakuacji pracowali jacyś jeńcy i niektórzy z miejscowych ludzi. Wszystkich rozstrzelali. A trupy wrzucili do jeziora.

– Musimy tam pojechać! – Janicka patrzy błagalnie na męża. – Zobaczyc!

– W dzień nic pani nie zobaczy, a w nocy nie radzę. Nikt tam nie chodzi. Chłopi powiadają, że kto te cienie zobaczy, umiera. To prawda – mówi z przejęciem. – Jednego z mieszkańców pobliskiej wioski znaleziono martwego nad jeziorem. Oczy miał wysadzone na wierzch, jakby go ktoś dusił, ale żadnych śladów na szyi nie znaleziono. Był tu też jeden chłopak. Śmiał się z tej historii. Wszystkim mówił, że on te duchy wytropi. Starsi mu odradzali, ale ich nie posłuchał. Utopił się. Jego zwłoki wyłowiono z jeziora. Odtąd nikt nie chodzi

tam nocą.

– Pojedźmy tam, Wacku – oczy Janickiej błyszczą z podniecenia.

– Jeśli tak bardzo chcesz! – Wacław Janicki jest rozbawiony. – Tylko nie dziś. Dziś gramy brydża. Och – podrywa się spojrzawszy na zegarek. – Dziennik już się zaczyna.

Salka telewizyjna zapełnia się szybko. Ela siada wygodnie w miękkim fotelu i patrzy bez zainteresowania na przesuwane się przed oczyma obrazy. Skoro wszyscy... Trudno się wyłamać. Spod oka obserwuje Zwolińskiego, który śledzi z zainteresowaniem kronikę dnia. Że też on nigdy nie potrafi się oderwać – myśli o kochanku. I ta jego filozofia: pieniądze i kariera.

Na ekranie spiker. Mówi o trudnych warunkach jezdniach. Słowa ilustruje obraz: strzaskany wóz na drzewie. W środku twarz martwego kierowcy.

– Straszne – zwraca się do Janka. Zwoliński siedzi z pobladłą, ściągniętą twarzą. Nic dziwnego, że tak się przejął, sam przecież prowadzi myśli z czułością o siedzącym obok mężczyźnie.

– Cóż to za straszny wypadek! – powtarza wsiadając do trabanta. – Bałabym się prowadzić w takich warunkach.

Młody człowiek śmieje się.

– Zawsze się może zdarzyć wypadek. Niech się Pani nie boi, będę uważał.

– Nie zrobiło to na panu wrażenia? Widziałam, że mąż zdenerwował się.

– Jestem fatalistą. Wierzę w przeznaczenie. Poza tym mam przeczucie, że dojedziemy cało i będziemy się świetnie bawili.

Zabawa istotnie jest dobra. Wyjeżdżają z miasteczka o drugiej w nocy zadowoleni z udanego wypadu.

– Niech pan patrzy, duch! – żartuje Ela, wskazując dębickiemu sunącą drogą postać.

Sylwetkę wysokiego mężczyzny wydzierają z ciemności reflektory trabanta.

– Żaden duch! – Glebicki jest zdumiony. – To Li-tyński. Cóż on tu robi o tej porze?! – Zatrzymuje samochód, krzyczy przez okienko: – Panie Karolu, prosimy! Podwieziemy pana do domu! – Odpowiada mu cisza. – Hop, hop! – woła głośniej. – Panie Karolu! – Elżbieta otwiera zapraszająco drzwiczki. Wychodzi na drogę. – Przywidziało się nam. Na drodze nie ma nikogo! Mówi-łam, że duch!

– Ależ widziałem go dokładnie. Może poszedł nad jezioro.

– A może wybrał się na randkę, a myśmy mu przeszkodzili. Zwiewajmy. – Ela wsiada do wozu, zatrza- skuje za sobą drzwiczki. – Chciałabym zobaczyć ducha nad jeziorem – mówi do towarzysza.

Rozdział XV

Pokój jest kwadratowy. Brudny, Niemal pusty. Sto- jące ukośnie biurko, parę krzeseł i szafa pancerna

stanowią całe umeblowanie. Na oknie doniczki z przewłotą już begonią. Zasłania je Biezan, stojący tyłem do okna.

Jest zły. Spieszy się, a tu jak na złość komendanta ani śladu.

– Dopiero co pojechał na lustrację posterunku – oświadczył mu dyżurny, speszony nieoczekiwaną wizytą przedstawiciela i resortu. – Gdy byście uprzedzili, czekałby na was, towarzyszu majorze.

Gdyby uprzedził. Informacja o tragicznej śmierci przedstawiciela szwedzkiej firmy „Vipro”, Arnolda Glora, dotarła do kontrwywiadu dziś rano. Razem z notatką, z której wynikało, że międzyresortowy zarząd, zajmujący się importem urządzeń elektronicznych i ich zastosowaniem w przemyśle, zakupuje w tej właśnie firmie licencję z zakresu elektroniki stosowanej. Że „Vipro” będzie kooperantem przy wyposażaniu inwestycji mającej niebagatelne znaczenie dla dalszego rozwoju gospodarki. O znaczeniu tej inwestycji, traktowanej w części jako obiekt specjalnie chroniony, powiedział mu szef i przyjaciel pułkownik Władysław Ziętara.

– Wyjaśnisz natychmiast tę sprawę – polecił – Wypadek zdarzył się w powiecie żuromińskim. Facet miał kulę w głowie. Dziwny wypadek drogowy. Chodzi o obywatela szwedzkiego polskiego pochodzenia. Sam ocenisz, czy rzecz do tyczy naszej parafii. Niektórzy twierdzą, że masz dobrego nosa. Czasem ta teza znajduje odbicie w faktach. – Ziętara mówi pół żartem, pół serio.

Bieżan uśmiecha się, wspominając słowa szefa i ton, jakim zostały wypowiedziane. Wierzy w swego nosa, w psi węch, jak to czasem określa. Ale dzisiaj mnie zawiódł, skoro nie pomyślałem, że powiatowi komendanci bywają w terenie, a akta mogą być niedostępne – złości się sam na siebie.

Akta są właśnie tu, w tym pokoju, zamknięte w szafie pancерnej. „Komendant kazał je dobrze zabezpieczyć, a że oficera prowadzącego śledztwo też dziś nie będzie, schował u siebie” – poinformował Bieżana tenże dyżurny, zobowiązując się zawiadomić komendanta. Ale czy zawiadomił? Kto wie, ile czasu przyjdzie tu stracić! Tak, trzeba było zawiadomić telefonicznie! Skoro o tym zapomniał, musiał wypić nawarzone przez siebie piwo.

Na mojego nosa poczekam tu parę godzin – myśli.

I znów się myli. Oczekiwanie nie trwa tak długo.

Komendant wpada zdyszany do gabinetu i ściskając dłoń Bieżana podkreśla:

- Gdybym był wiedział wcześniej...
- Dopiero dziś rano dowiedzieliśmy się o tej sprawie – wyjaśnia krótko. – Chciałbym przejrzeć akta, porozmawiać z prowadzącym śledztwo...
- Dziś nie ma Ziółka w Żurominie. Zwolnił się na jeden dzień. Wiecie, takie tam pilne rodzinne sprawy. Niepodobna odmówić. Akta zaraz wam daję – sięga do kieszeni po klucz od szafy pancерnej. – Proszę – podaje

cienką teczkę. – Ciekawa sprawa – nie przestaje mówić. – Przodem uderzył w drzewo. Wszystko wskazywało na to, że zdarzył się zwykły nieszczęśliwy wypadek. Jechał z nadmierną prędkością. Musiało go zarzucić. Trupa znalazła niejaka Joanna Bilińska z Warszawy. Sama też wpadła w poślizg i wylądowała w rowie. Ziółek podejrzewa, że ona mogła przyczynić się do wypadku Glora, jeśli jechała nieprawidłowo lub zajęła mu drogę. Przywieźli ją tu do nas redaktorzy z telewizji. Sfotografowali rozbity samochód. Zdjęcia były w dzienniku telewizyjnym dwunastego. – Komendant mówi tak szybko, że nie sposób mu przerwać. – Rozmawiałem z nimi osobiście. Wysłałem też na miejsce radiowóz i karetkę. Przesłuchaliśmy Bilińską. Po oględzinach miejsca zdarzenia moi ludzie zabezpieczyli samochód, ściągnęli go do komendy. Stoi tu u nas na podwórku. Zrazu, mówiłem wam, wyglądało to na poślizg. Na tym zakręcie w niepogodę często zdarzają się wypadki. Wystarczy dodać gazu, zaraz nosi. Ci, którzy tę drogę budowali, źle wymierzyli kąt na chylenia zakrętu. Co na to teraz poradzić?! Więc myśleliśmy, że to zwykła drogówka. Po sekcji okazało się, że Glor ma kulę w głowie. To dopiero zabiło nam klina. Miał kulę w głowie, kiedy się nadział na drzewo, czy ktoś go później, po wypadku, zastrzelił? W samochodzie nie było ni kogo. Nie znaleźliśmy też broni, z której padł strzał. Ciekawa sprawa.

– Dokonaliście szczegółowych oględzin wozu?

– Jeszcze nie. Na jutro Ziółek zamówił bieglego.

Chcecie obejrzeć ten wrak?

– Później. Najpierw chciałbym zapoznać się z aktami.

– Gdzie ja was posadzę? – Komendant rozgląda się po pokoju. – Tu robię odprawę. Za pół godziny. Prawda, jest wolny gabinet mojego zastępcy. Tam będzie wam wygodnie. Zaraz was zaprowadzę.

Idzie przodem, niski, krępy, w źle dopiętym mundurze. Otwiera z klucza drzwi.

– To tutaj.

Gabinet wygląda jak kopia pokoju komendanta. Jest mały, pusty, nieprzytulny. Znów tylko biurko, parę krzeseł... Biezan siada przy biurku.

– Może kawy? – proponuje komendant już w drzwiach.

Zgadza się chętnie. Ma ochotę na „szatana”.

To ci „szatan” – wzdycha w duchu, patrząc na brudnociemny płyn, który stawia przed nim sekretarka.

– Może coś jeszcze podać? – uśmiecha się do przystojnego oficera.

– Nie, dziękuję. – Biezan tkwi już w aktach, które składają się zaledwie z kilku kartek.

Odkłada na bok szkic sytuacyjny. Przyjrzy mu się potem. W oparciu o dokonane ustalenia. Sięga po notatkę służbową. W dniu 11 października o godzinie 20.00 – czyta – około 100 metrów za prowadzącym w lewo zakrętem... we wskazanym przez siviadków miejscu – tu następują szczegółowe objaśnienia – zabezpieczyliśmy samochód...

Nic interesującego. Mówił już o tym komendant.

Przez dłuższą chwilę porównuje zawarte w notatce szczegóły ze szkicem sytuacyjnym. Coś tu nie gra. Biezan sam prowadzi, ma wyobraźnię kierowcy. Wracając do Warszawy, sam obejrzą to miejsce – postanawia.

Przerzuca zeznania świadków. Joanna Bilińska, lat 37, plastyczka. Jechała tą drogą od strony Warszawy w kierunku na Olsztyn, Gdańsk. Na zakręcie wpadła w poślizg. Wóz stoczył się do rowu. Szukała pomocy. Zauważyła w pobliżu stojącego na poboczu fiata 125. Podeszła. Zobaczywszy, że kierowca nie żyje, pobiegła przed siebie. Po drodze spotkała redaktorów z telewizji, jadących w kierunku Warszawy.

Zeznania dziennikarzy telewizyjnych są krótkie. Podwieźli Bilińską najpierw na miejsce zdarzenia. Sfotografowali rozbity samochód Glora i przyjechali do komendy złożyć meldunek o wypadkach.

Z protokołu sekcji zwłok wynika, że denat wskutek wypadku doznał szeregu obrażeń, które mogły stać się przyczyną zgonu. Przyczyną zgonu mógł stać się również wydobyty z głowy denata pocisk. Które z tych obrażeń było pierwotne, a które wtórne, tego dokonującej sekcji lekarz nie potrafił ustalić.

Pocisk wyjęty podczas sekcji zabezpieczono do dalszych badań. Broni, z której padł strzał, nie znaleziono.

– Ciekawe – mruczy Biezan sam do siebie. Wciąga go ta sprawa. Odkłada teczkę na biurko. Schodzi na dół.

Chce rzucić okiem na zabezpieczony samochód.

Beżowy fiat tkwi na podwórku pod samym murem. Głęboko wkleśnięty, jakby przepołowiony, przód z wybrzuszoną do góry maską, zwichrowane słupki, skoszona karoseria uzasadnia wniosek: jechał z nadmierną prędkością. Czy tak mógłby jechać człowiek, mający kulę w głowie? A może tylko tak?

Na obrzeżu strzaskanej przedniej szyby zwisa gumowa uszczelka. Wewnątrz pogięta, zwinięta w ósemkę kierownica, powyginane przednie siedzenia. O istnieniu deski rozdzielczej świadczą tylko kawałki poszarpanej skóry i część ocalałej półki. Przednie, prawe drzwi są zakleszczone. Lewe zwisają na zawiasach. Odchyła je, zagląda z boku. Wzdłuż pogiętego siedzenia mnóstwo drobnutkich odłamków szkła z rozbitej bocznej szyby. Odławkami szkła usłana jest też podłoga. Ta podłoga – omiata ją uważnym spojrzeniem. Coś zielonego tkwi pod przednim siedzeniem.

Wsuwa się ostrożnie do wozu i podnosi to „coś”. Trzyma w ręku długopis. Długopis? Przecież to broń. Takie strzelające długopisy nieraz już znajdował w wyposażeniu zatrzymywanych agentów. Czy pocisk pasuje – myśli o tym wyjętym z głowy Glora.

Jeszcze raz obrzuca uważnym spojrzeniem wnętrze zgruchotanego pojazdu. „Na oko” nie ma tu nic więcej. Szczegółowych oględzin muszą dokonać eksperci. I to w Warszawie.

Podniecony nieoczekiwanym odkryciem wchodzi do gabinetu komendanta. Odprawa skończyła się przed

chwilą. Szef jest sam.

– Przejmiemy to śledztwo – oświadczają, nie informując na razie o swoim odkryciu. – Chciałbym zabrać akta, zabezpieczone przez was rzeczy denata i pocisk.

Komendant wychodzi, aby wydać stosowne polecenia. Bieżan telefonuje do Ziętarek:

– Przejmuję sprawę. Każ natychmiast przysłać naszego żurawika po wóz, a karetkę po zwłoki. Ze sobą zabieram akta i rzeczy denata. Niech kierowca przywiezie pismo w tej sprawie.

– Samobójstwo czy zabójstwo? – zastanawia się wracając do Warszawy.

Rozdział XVI

Joanna Bilińska stoi w drzwiach w zapaćkanym farbami kitlu.

– Pan do mnie? Proszę – wskazuje drzwi pracowni.
– Interesują pana moje obrazy?

Bieżan nie wyprowadza jej z błędu. Ogląda rozstawione pod ścianami płótna.

– Bardzo to dekoracyjne – chwali.

Joanna czuje się tą pochwałą dotknięta.

– Jestem malarką, a nie dekoratorem – rzuca krótko. – Każdy na swój sposób przetwarza rzeczywistość.

– Czy rzeczywistość tak właśnie wygląda? – Bieżan mówi to lekkim, żartobliwym tonem. – Co mają

oznaczać te plamy? Radość życia, jego piękno? Piękno kolorów?

Joanna marszczy szerokie brwi przecinające twarz ciemną krechę.

– Nie zna się pan na nowoczesnej sztuce. – Jest zrytowana.

– Nie jestem koneserem, ale wydaje mi się, że sztukę przez duże „S” potrafi zrozumieć każdy laik...

– Ja nie maluję dla laików...

– W takim razie dla snobów... – kończy za nią Biezan.

– Jeśli się panu moje malarstwo nie podoba, to po co pan tu przyszedł?

Biezan uśmiecha się.

– Przepraszam za to nieporozumienie. Dotąd nie przedstawiłem się pani. Major Jerzy Biezan – mówi dobitnie. – Chciałem z panią porozmawiać nie tyle o sztuce, ile o tym wypadku samochodowym z dnia jedenastego września.

Joanna blednie mimo woli. Samo wspomnienie budzi lęk.

– To było straszne. Ten trup. – Wzdryga się. – Z tyłu fiat wyglądał normalnie, myślałam, że kierowca śpi. Dopiero później, gdy go dotknęłam... To wszystko już mówiłam. O co jeszcze chodzi?

– O to, że być może pani przyczyniła się do wypadku – zawiesza głos.

Lęk malujący się w oczach nie ustępuje:

– Ja? W jaki sposób? Wpadłam w poślizg, ale nikogo nie uderzyłam. Nawet nie otarłam się o żaden wóz.

Nikt wówczas nie jechał tą szosą.

– Czy na pewno nie dostrzegła pani innego samochodu?

– Nie, ależ nie! – zaprzecza gorąco. – Dopiero wówczas gdy wylądowałam w rowie, zaczęłam szukać pomocy... Nie, nikogo nie widziałam prócz chłopca, ale to było dużo wcześniej. – Urywanymi zdaniami opowiada poprzednią przygodę.

– O ile wcześniej? Godzinę, dwie?

Kobieta patrzy na niego bezradnie.

– Nie mam pojęcia. Tego popołudnia straciłam racjonalność czasu.

– Cóż się stało?

– To moja prywatna sprawa – mówi niespodziewanie ostro... – Nie ma ona żadnego związku z wypadkiem.

Czy powiedziała całą prawdę? Trzeba to będzie sprawdzić – notuje w pamięci, jadąc do firmy „Vipro”.

Biuro mieści się w prywatnym, odnajętym w tym celu, mieszkaniu. Składa się z dwóch umeblowanych antykami pokoi. Jeden z nich ma charakter salonu. Kanapki, fotele skupione wokół rzeźbionego stołu. Parę mahoniowych stolików. Na ścianach obrazy starych mistrzów. Bieżan zna się trochę na malarstwie. Matczyne hobby, historia sztuki, nie pozostało bez wpływu na wiedzę syna. Matka dawno nie żyje, zginęła w 1944 w hitlerowskim obozie, ale Bieżanowi z tamtych lat pozostały zainteresowania. Widok starych płócien kojarzy mu się zawsze z domem rodzinnym. Wywołuje falę wspomnień, tak jak odkryta niespodziewanie stara

fotografia.

Odwraca wzrok od obrazów, wychodzi z pustego pokoju. Puka do drugiego.

– Proszę – odzywa się miękki kobiecy głos.

Za maleńkim biurczkiem-cacuszkiem młoda, ładna blondynka. Trzyma w ręku pilnik do paznokci. Właśnie je poleruje. Na widok gościa podrywa się z fotela. Pilnik wypada z ręki. Oboje schylają się jednocześnie, zderzają głowami. Blondynka się śmieje. Biezan przeprasza. Kontakt zostaje nawiązany nadspodziewanie gładko.

– Pani tu tak sama? – zagaja rozmowę.

– Urzędowaliśmy we dwoje. Z moim szefem, Arnoldem Glorem – mówi. – Ale on zginął w wypadku drogowym. Parę dni temu. I dopóki z Malmö nie przyślą kogoś na jego miejsce, będę sama. Na razie nie mam nic do roboty. Załatwiam telefony, przyjmuję korespondencję. I czekam. Nudzę się, więc... – gest w kierunku pilnika i stojącej na biurku buteleczki z lakierem.

– Przede mną nie musi się pani tłumaczyć. Nie jestem ze szwedzkiej inspekcji pracy – żartuje Biezan. – Wiem o tym wypadku. Rozmowy na temat licencji z tego powodu zostały niestety przerwane.

– Przecież właśnie w tej sprawie szef był w centrali w Malmö i w naszej filii w Londynie. Wyjechał razem z polskim specjalistą. Czy był z panem?

– Nie, do Szwecji wyjechał kolega. On właśnie mnie prosił, żeby sprawdzić u państwa, czy nadeszły

już papiery z centrali.

– Nie. Na razie nic nie dostałam. Może za parę dni. Trudno się dziwić. Muszą tu kogoś oddelegować, wprowadzić go w sprawy... To trochę potrwa.

– Słyszałam, że pan Glor był Polakiem z pochodzenia. Ma z pewnością w kraju rodzinę. Zawiadomiła ją pani o tej tragicznej śmierci?

Wzrusza ramionami.

– Jaką tam rodzinę. Stryja, z którym nie utrzymywał stosunków... Kiedyś mi opowiedział całą tę historię. Glorowie to górale spod Żywcu. Ojciec Arnolda wyemigrował przed wojną. Za chlebem. Jego matka nie żyła, a syna nie chciał brać ze sobą na niepewne. Zostawił go pod opieką stryja, który go wychowywał. Obaj biedę klepali. Podczas okupacji stryj się ukrywał. Był poszukiwany przez gestapo. W tym czasie Arnoldem zajmowali się sąsiedzi. Spotkali się obaj dopiero po wyzwoleniu. I wówczas doszło do konfliktu. Arnold, osiemnastoletni już chłopak, wstąpił do organizacji młodzieżowej i wszystko chciał zmieniać. Stary był przeciwny nowym porządkom. Bratanek nazwał go wtedy reakcjonistą, wytykał mu udział w ruchu oporu. W chałupie wybuchło piekło. Skończyło się na tym, że Arnold się wyprowadził do Żywca, potem do Krakowa. Pracował w hucie. Parę lat później otrzymał informację, że ojciec zmarł i zostawił mu spadek. Kilkanaście tysięcy dolarów i udział w firmie „Vipro”. Arnold wyjechał do Malmö. Zrazu zamierzał spieniężyć ten udział. Wziąć pieniądze i wrócić do kraju, potem zdecydował

inaczej. Został w Malmo, przyjął obywatelstwo szwedzkie. Zwiększył swój udział w firmie i po kilku latach, gdy ożywiły się stosunki handlowe z zagranicą, zorganizował tu przedstawicielstwo. Znał język, ludzi. Liczył, że nietrudno mu będzie robić interesy. Pojechał do stryja. Chciał się z nim pogodzić. Ale stary był zawzięty. Miał pretensję o to obce obywatelstwo. „Przez te dolary wyrzekłeś się kraju i rodziny – powiedział mu wtedy. – Trzeba było od razu dolary do kraju przywieźć i tu pracować. Ja o ten kraj walczyłem, ty mnie potępiłeś. Ja zostałem, choć ciężko mi było, a ty najpierw chciałeś wszystko zmieniać, a potem na widok dolarów zmieniłeś skórę”. Rozstali się w gniewie. Arnold wrócił do Warszawy i dalej prowadził interesy. Później się zaręczył.

– Nie wiedziałem, że pani były szef ma narzeczoną. Nigdy o tym nie wspominał.

– Może jej się wstydził. Brzydka jak noc, żadnej ogłady, ale forsiasta. A to dla Arnolda było najważniejsze. Ożeniłby się, zgarnął pieniądze i wyjechał z kraju. Przypuszczam, że ją by zostawił. Jego było stać na taki numer. A ona? Zaszła tu parę razy. Któregoś dnia, czekając na Arnolda, opowiadała o swojej willi i szklarniach. Narzekała na podatki. Nie podobała mi się. Nie dałam jej znać. Z gazet się dowie! Jutro będzie ogłoszenie. Dałam w imieniu firmy.

– Trochę to nie wypada nie zawiadomić „narzeczonej”. Ktoś może potem powiedzieć, że to złośliwość z pani strony, że pani sama interesowała się szefem.

Ludzie, jak to ludzie, lubią sensację. Będą gadać. A po co?

– Tak pan sądzi? Gdyby pan zechciał mnie w tym wyręczyć – patrzy na niego prosząco.

– Niech pani rozkazuje. Jestem zawsze na usługi pięknych kobiet. Na miejscu pani szefa nie szukałbym żony pod Warszawą, mając taką dziewczynę pod nosem.

Biezan zostaje obdarzony promiennym uśmiechem.

– Pan się na mnie poznał, ale on dbał tylko o pieniądze. Był zły, zdenerwowany, gdy mu jakiś interes nie wyszedł.

– Coś takiego musiało zdarzyć się w centrali, skoro przyjechał zdenerwowany – mówi ni to pytająco, ni to twierdząco.

Reakcja jest natychmiastowa.

– Więc i pan to zauważył?! Zastanawiałam się, co mu się stało. Był jakiś dziwny. Prosto z lotniska przyjechał do biura. Koło drugiej. Ze mną ledwie raczył się przywitać. Ręce mu się trzęsły, gdy szukał jakichś papierów. Zabrał je i zaraz wyjechał. Już tego dnia nie wrócił do biura. Dwunastego rano wpadł jak po ogień i oświadczył, że wyjeżdża na parę dni. Obiecał, że zatelefonuje. Więcej się nie odezwał. Nie dojechał. W takim stanie nerwów nietrudno spowodować Wypadek samochodowy.

– Może wóz był niesprawny?

– Gdzie tam! Fiat był nowy. Przejechał nim zaledwie pięć tysięcy kilometrów. Chwalił go. Ja na jego

miejscu wolałabym volvo, ale on chciał mieć fiata. I jak tu mówić, że nie był patriotą!

– Nie widziała pani u niego zielonego długopisu? Ktoś go u mnie na biurku zostawił, sądziłem, że to jego własność.

– Niece... Arnold miał czarnego Parkera. Nosił go w czarnym, oprawionym w skórę, notesie. Mówił, że to prezent od narzeczonej.

– Obiecała mi pani jej adres – kończy Biezan rozmowę.

Dziewczyna szpera chwilę w szufladzie biurka. Ze stosu wizytówek wyciąga mały kartonik.

– Proszę zanotować: Anna Widomska, Falenica, Ostrowska sześć. Może jutro lub pojutrze wpadnie pan do mnie. Ciekawa jestem, jak przyjmie wiadomość o wypadku. Pewnie popłacze z żalu, że straciła dolary.

Rozdział XVII

Anna Widomska przyjmuje nad podziw spokojnie wiadomość o nagłej śmierci narzeczonego. Nie mdleje, nie płacze, nie krzyczy, jak to zazwyczaj robią kobiety w podobnych sytuacjach.

Niska, tęga, z okrągłą, nieładną twarzą, rozjaśnioną tylko blaskiem jasnoniebieskich oczu, z uwagą słucha relacji. Ręce położyła na stole. Krótkie, niemal pozabawione paznokci palce miarowym ruchem gładzą kolorową serwetę.

– Mieliśmy wyznaczony termin ślubu na dwudziestego ósmego października – mówi spokojnym,

beznamiętnym głosem. – Przed wyjazdem dał mi notarialne pełnomocnictwo do zarządzania całym jego majątkiem.

– Po co to zrobił, skoro wyjeżdżał na tak krótko? – ryzykuje Biezan pytanie.

– Sama nie wiem? Tak chciał.

– Czyżby się czegoś obawiał?

– Nic mi na ten temat nie mówił. Wiedziałam, że wyjeżdża do centrali z jakimś polskim przedstawicielem. Kroił się ponoć jakiś duży interes. Dla niego i dla jego firmy. Widział się pan z nim po powrocie?

– Nie. Zatelefonował, że odkłada nasze spotkanie, bo nagle wypadło mu coś pilnego do załatwienia. Nie wie pani, o co chodziło? Był zdenerwowany.

– Wpadł do mnie zaraz po przyjeździe. Mówił, że ma poważny kłopot. Z tym biznesem nie wyszło tak, jak planował. Ktoś mu w tym przeszkodził. Nie pytałam o szczegóły, bo miał mało czasu. Oświadczył, że nie zrezygnuje tak łatwo, że spróbuje jeszcze coś załatwić. Więcej go nie widziałam. Nie wie pan, czy ciało przewieziono już do Warszawy i kiedy będzie można go pochować?

– Na razie ciało jest w Zakładzie Medycyny Sądowej. Wie pani, że w wypadku nagłej śmierci przeprowadza się zawsze sekcję zwłok. Dopiero po sekcji będzie pani mogła uzyskać zezwolenie na pogrzeb.

– Muszę się zająć pogrzebem. Chyba po nim dziedzić. Nie wie pan, jak to jest?

– Nie mam pojęcia.

– Pójdę do adwokata po poradę. Pan jest przyjacielem Arnolda?

– Nie, znajomym. Jestem z milicji. – Bieżan spod oka obserwuje Widomską. Jest zaskoczona i wyraźnie wystraszona. Blednie, czyni ruch, jak gdyby chciała poderwać się z krzesła, ale po chwili siedzi już spokojnie. Zdołała się opanować. – Polecono mi zawiadomić panią o tym tragicznym wypadku – ciągnie dalej, udając, że nie zauważył tej gwałtownej reakcji – Chciałem też prosić, by pojechała pani zaraz ze mną do komendy rozpoznać jego rzeczy. Chcieliśmy ustalić, czy czegoś nie brakuje.

– Dobrze. Pojadę. Tylko się przebiorę. – Widomską wychodzi z pokoju. Bieżan słyszy, jak wydaje polecenia tym samym spokojnym, beznamiętnym głosem. Po paru minutach wraca gotowa do wyjścia. Domową suknię zastąpiła inną, wyjściową. Głowę owinęła chustką, tak jak to robią chłopki, idące w niedzielę do kościoła.

– Pani sama prowadzi ogrodnictwo? Jak pani daje sobie radę? To kolos. – Ruch głową w kierunku długich rzędów szklarni.

– Sama. Od śmierci ojca. Jakoś mi idzie. Ale w takim interesie potrzebny jest mężczyzna. Toteż jak poznałam Arnolda, pomyślałam, że będzie mi pasował. I jemu widać to odpowiadało, skoro chciał się żenić. Wie pan, pieniądze robią pieniądze. A za pieniądze i ksiądz się modli, i człek się podli...

– Od jak dawna znała pani Glora?

– Ze cztery lata. Poznałam go zaraz po jego

przyjeździe do Warszawy. Kręcił się wtedy wśród różnych ludzi. Nie można robić interesów bez znajomości. Do mnie przywiózł go mój kuzyn, inżynier Adam Białek. Potem Arnold przyjeżdżał sam. I tak się zaczęło między nami... Jak się skończyło, to pan wie...

Widomska milknie i nie odzywa się już do końca podróży.

Z uwagą ogląda pokazywane jej rzeczy.

– A gdzie ten czarny notes? – pyta. – Zawsze go nosił ze sobą. Miał tam zapisane wszystkie telefony, adresy, ważniejsze wydatki.

– Nie znaleźliśmy notesu. Może nie wziął go ze sobą.

Kobieta kręci głową niedowierzająco.

– A skąd się wziął ten ołówek? To nie jego – wskazuje ręką na zielony długopis, wetknięty przez Bieżana w kieszonkę marynarki denata. – Panowie się chyba pomylili. On miał czarnego Parkera. Tu go nie ma. Wyjeżdżając włożył też do kieszeni jakieś papiery. Tego kluczyka też nigdy nie widziałam – wskazuje leżący na stole płaski klucz.

– Zna pani ten adres? – Bieżan podsuwa jej małą karteluszkę, na której widnieje jakby na kolanie pisany adres: Pensjonat „Jutrzenka”, Widły.

– To on pisał – stwierdza Widomska. – Jego ręka. Nic nie mówił, że się tam wybiera. Może chciał coś załatwić... Gdzie są te Widły?

– W Olsztyńskim. Właśnie na trasie wiodącej w Olsztyńskie zdarzył się ten wypadek. Widocznie tam jechał.

– Możliwe. Słyszałam, jak umawiał się z kimś przez telefon. Na pewno jechał za interesem...

Bieżan jest zadowolony z tych ustaleń. Gdzie Glor mógł trzymać ten długopis, skoro żadna z kobiet go nie dostrzegła? W mieszkaniu nie znaleźli nic, żadnej skrytki. A przecież przeszukali je bardzo dokładnie. Ekipa składała się z niezłych fachmanów. Obejrzelili dokładnie wszystkie meble, opukali ściany, sprawdzili podłogę, ramy okienne, obrazy.

– Bez wyników – zameldował mu porucznik Wrona.

Wysłał go jako szefa ekipy, znając jego bystrość i dokładność, i trochę był rozczarowany tym meldunkiem.

– Nic nie znaleźliście?

– Nic oprócz tych papierów. – Wrona położył na biurku dwie pękate teczki. – Przeszukaliśmy całą bibliotekę. Każdą książkę kartka po kartce. Na szczęście niewiele tego było. Trochę specjalistycznej literatury z dziedziny elektroniki, parę powieści. Facet raczej nie zajmował się czytaniem dla przyjemności – skomentował porucznik. – Zapewne najchętniej czytywał książeczkę czekową... Ale jej też nie było. Pewnie nosił ze sobą. To musiał być facet ostrożny, przezorny.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Zamki potrójne, zagraniczne. Drzwi obite blachą. W oknach od wewnątrz rozsuwane kraty. Pytałem ciecia, czy to właściciele mieszkania, od których Glor je wynajął, tak się zabezpieczyli przed włamaniem. Powiedział, że nie. To on zaraz po przybyciu kazał

zmienić zamki i dorobić te kraty... Cięć powiada, że się sam dziwował. Myślał, że gość nadziany i skarby tam przechowuje. A my nie znaleźliśmy nic cennego. Ani dolarów, ani złota. Dziwny facet. Samym zabezpieczeniem lokalu zwracał na siebie uwagę.

– Pytałeś, kto do niego przychodził?

– Jasne. Takich rzeczy nie trzeba mi mówić. Przychodziło dużo osób. Ciec twierdzi, że u Glora bywało eleganckie towarzystwo. Musiał często przyjmować gości. W mieszkaniu odkryliśmy genialnie zaopatrzone barek i spiżarnię. Drogie, zagraniczne trunki i całe stopy różnych konserw.

– Sprawdziłeś, do jakiego zamka pasuje, znalezione przy nim płaski klucz?

– Do żadnego.

Skoro Wrona stwierdził to kategorycznie, Bieżan był pewien, że tak jest. Ale w takim razie Głor mógł dysponować sejfem w jakimś innym miejscu? Na dworcu, na poczcie, w prywatnym mieszkaniu?! Kazał Wronie sprawdzić wszystkie warianty.

Zaraz po wizycie Widomskiej pistolet-długopis wraz z pociskiem wysłał do ekspertyzy. Na wyniki trzeba czekać. Cekał też na opinię ekspertów z medycyny sądowej. Dziś ma odbyć się ponowna sekcja. Czy uda się ustalić kolejność obrażeń? To bardzo trudne zadanie. Po paru dniach i po, być może, spapranej przez żuromiński szpital sekcji, nie ma na co liczyć – myśli jadąc do współpracującego z Głorem zarządu.

Wizyta jest zapowiedziana. Na Bieżana czeka już

dyrektor niewielkiej komórki, zajmującej się wyłącznie sprawami związanymi z planowaną inwestycją.

– Kto „nagrał” do współpracy firmę. „Vipro” – pyta bez ogródek.

– Dyrektor centrali handlu zagranicznego, Jan Zwoliński. Rozpatrywaliśmy kilka propozycji licencyjnych. Ta była najciekawsza. I ze względu na nowoczesność oferowanych urządzeń, i ze względu na ceny. Ostatecznie miał się wypowiedzieć na ten temat nasz konsultant inżynier Lityński, którego wysłaliśmy do centrali firmy. Po powrocie Lityńskiego sprawa się skomplikowała. Inżynier w swoim sprawozdaniu stwierdził, że posiadane przez nas dane o możliwościach tej firmy są mocno przesadzone. Przebadał rynek. Wskazał nam inne, korzystniejsze rozwiązania. Jednak o innych firmach nie chciał się wypowiadać wiążąco. Zbyt mało miał czasu, twierdził, na głębsze merytoryczne ustalenia.

– Czy mógłbym przejrzeć to sprawozdanie?

– Proszę. – Dyrektor wyjmując ze stojącego w gabinecie sejfów maszynopis.

Bieżan zagłębia się w lekturze. Czyta wolno, dokładnie, ale niewiele rozumie. Terminy techniczne to dla niego, prawnika, ziemia nieznana. Abrakadabra. Przerzuca kartki, szukając wniosków i opinii. Nareszcie coś napisanego ludzkim językiem. Czyta ocenę, wynik uprzednich fachowych wywodów. Wydaje się, że jest ona starannie wyważona. Krytyczne uwagi o działalności firmy, precyzyjnie sformułowane zastrzeżenia. Od strony nowoczesności rozwiązań – stwierdza konsultant

– parę innych firm bije „Vipro” na głowę.

Bieżan kładzie papiery na biurku.

– Chciałbym osobiście porozmawiać z inżynierem Lityńskim – mówi.

– Niestety, to niemożliwe. Nie ma go w Warszawie. Następnego dnia po powrocie z Londynu złożył sprawozdanie i poprosił o tydzień urlopu. Nie mogliśmy mu odmówić. Wyjechał. Adresu nie zostawił. Może u niego w domu coś wiedzą.

Bieżan wychodzi. Jest trochę zawiedziony. Przyczyna zdenerwowania Głora jest teraz jasna. Z kim on chciał się spotkać w tej „Jutrzence”?

Rozdział XVIII

Za oknem siąpi deszcz. Stworzona z korzenia, zachowująca jego kształt, dziwacznie powykręcana lampa rzuca łagodne światło na niski stoliczek, wydobywa z mroku październikowego wieczoru bezwładnie leżącą na okrytym kilimem tapczanie szczupłą, męską rękę. Reszta jest cieniem osłaniającym twarz i sylwetkę spoczywającego nieruchomo mężczyzny. Ten bezwład jest jednak pozorny. Bieżan nie śpi. Utkwił wzrok w siwaku, z którego wyłaniają się bezlistne gałęzie, zdobiące ścianę delikatną koronką. Myśli krążą leniwie, sennie. To zmierzch i deszcz tworzą ten dziwny nastrój. Październik. W oczach nitki babiego lata rozsnute po krzakach, miękko uginający się pod stopami dywan z liści. Złoto przetykane czerwienią. Las. Wojenny dom. To

było tak dawno, aż wstyd się przyznać. Minęło trzydzie-
ści parę lat. Odległy czas młodości. Czas walki, namięt-
nych dyskusji nad kształtem życia. I terażniejszość.
Czas ocen. Czterdzieści pięć lat. Dziś właśnie skończył
czterdzieści pięć lat.

Ręka sięga po leżący na stoliku tomik wierszy z lat
okupacji. Ciemna głowa pochyla się nad tylekroć czyta-
nym tekstem.

„Nie odeszliśmy od was, by grały fanfary,
Nie potrzebna nam sława w wiecowych
wspomnieniach,
Nie polegliśmy po to, by zbawiać świat stary,
I by kłamstwo wyrosło na prawdzie cierpienia.
Nie chcemy być tematem kwietnych publikacji,
Ani sporów zażartych cennym argumentem,
I niechaj nikt się nie waży dochodzić swych racji,
Przez to wszystko, co w śmierci żołnierskiej jest
święte.
Nie legendą, lecz pracą i powszednim chlebem
Trzeba głodnych nasycić i uczyć ich synów,
Aby złoto pszeniczne szumiało pod niebem,
By więcej było zboża niż liści wawrzynu.
A gdy dzieci zapomną, że mieszkały w schronach,
Że widziały dni straszne, ponure i krwawe –
Niechaj tylko to jedno pamiętają o nas,
Żeśmy padli za wolność.
Aby była prawem.”

„Testament poległych” Kiersnowskiego. Strofy znane
niemal na pamięć pokoleniu, do którego należy Biezan.

Pokoleniu dłużników. Czy zrobiłem swoje? Pamięć wskrzesza lata wypełnione po brzegi pracą szarpiącą nerwy, wysysającą siły. Realizacja młodzieńczych marzeń o służbie krajowi. Za siebie, za tych, co polegli. Co z tego zostanie? Niełatwy jest obrachunek z samym sobą. Intencje i czyny. Czy intencje miały się z czynami? Czy zrobiłem wszystko, co mogłem? Dzieci zapomniały, że mieszkwały w schronach. Złoto pszeniczne szumi, ale ludzie się zmienili. A on, Jerzy Biezan, pozostał taki jak dawniej. Sam sobie wydaje się trochę niemodny. Jak uszyty zbyt dawno garnitur. Teraz już nie nosi się takich. Ludzie, z którymi się styka poza miejscem pracy, coraz mniej cenią takie wartości jak koleżeństwo, przyjaźń, lojalność, patriotyzm. Zastąpiły je inne: stabilizacja, urządzenie się, znajomości. Stosunki – uśmiecha się ironicznie sam do siebie, stosunki umożliwiają osiągnięcie powodzenia w życiu, stabilizację. Stabilizacja – w coraz szerszym społecznym odczuciu – równa się standardowi: willa, samochód, wyjazdy zagraniczne. I gdzieś po drodze zagubiło się to najważniejsze – poczucie służebności w stosunku do swego kraju, narodu. Zastąpiło je coraz powszechniejsze windowanie na plan pierwszy własnych interesów, interesików. Obce mu są te kategorie. Nie tylko jemu. Podobnie myśli Ziętara, Wrona, jego, Bieżana, ludzie. Ale na zewnątrz prezentacja tych niemodnych kategorii budzi zdziwienie, zwłaszcza u ludzi młodych. Czy tylko u młodych? Ot, taki Głor. Był w moim wieku – uprzytamnia

sobie nagle. Kiedyś pono aktywista. Zapaleniec, chcący zmieniać świat. Młody człowiek, który w imię poglądów zerwał z wychowującym go stryjem. I nagle zmiana. Wystarczył spadek w dolarach, by zrzucił poglądy jak piżamę, by stał się obcym we własnym kraju. Aktywna młodzieńczą działalność po wyzwoleniu i dolary decydujące o zmianie obywatelstwa, ojczyzny. Jak to pogodzić? Gdzie jest punkt zwrotny, przejście z jednej fazy do drugiej? Jaka jest prawda o motorach tego działania? Pieniądze? Czy tylko pieniądze?!

Motywacja ludzkich działań zawsze pasjonowała Bieżana.

„Nie można ujawnić prawdy o człowieku, jeśli się nie rozumie motywów podejmowanych przez niego decyzji” – broni się, gdy koledzy stawiają mu zarzuty, że tropi nie fakty, a motywy, gdy twierdzą, że jest to nadmierna dociekliwość w stosunku do potrzeb śledztwa.

Czy istotnie nadmierna? Czyż można ocenić innego człowieka bez poznania jego osobowości? A jak poznać tę osobowość nie ustalając kierujących człowiekiem motywów? Rzecz wydaje mu się truizmem. To także oczywiste. Że też tego nie rozumieją?! A może i śledztwa prowadzę niemodnie?

Śledztwo. Zamierzał w domu przejrzeć ekspertyzy, które tuż przed wyjściem trafiły na jego biurko. Nie miał dziś ochoty tkwić dłużej w nieprzytulnym gabinecie. Chciał swoje urodziny spędzić sam, u siebie, w czterech ścianach kawalerki. Pomieszkać. Pomyśleć

także i o problemach innych niż urzędowe. Ale one nie mogą czekać. Więc odwracając się na bok sięga do stojącej tuż przy tapczanie teczki. Wyciąga plik papierów. Kładzie je przed sobą.

Najpierw czyta opinię z pracowni broni. Jest jednoznaczna. *Wydobyty z mózgu denata pocisk pochodzi z załączonego do badań długopisu-pistoletu. Strzał został oddany z przystawienia. Świadczą o tym charakterystyczne osmalenia skóry wokół kanału wlotowego pocisku, biegnącego od okolicy skroni do sklepienia czaszki, gdzie utkwiała kula.*

Co ostatecznie było przyczyną zgonu? Strzał z przystawienia czy obrażenia odniesione w wypadku? Na te pytania warszawscy eksperci medycyny sądowej nie potrafili odpowiedzieć jednoznacznie. Zarówno te obrażenia, a więc zgniecenie klatki piersiowej, złamanie żeber, nóg, prawej ręki, jak i obrażenia mózgu, powstałe wskutek strzału z badanego pistoletu, mogły stać się przyczyną zgonu. Które z nich były pierwotne, a które wtórne – nie udało się ustalić. *Nie można wykluczyć – stwierdzono w opinii – że denat w szoku spowodowanym wypadkiem strzelił sam do siebie, by skrócić cierpienia wywołane doznanymi w wypadku obrażeniami.*

Ale skoro nie wykluczają samobójstwa, spowodowanego szokiem, skoro uznają za prawdopodobne, że denat zastrzelił się sam z pistoletu trzymanego w lewej ręce, prawą miał złamaną, to jakim cudem długopis znalazł się z prawej strony samochodu pod siedzeniem?

Wypadając z bezwładnej już ręki, długopis powinien był spaść w szczelinę między siedzeniem a drzwiami lub potoczyć się pod nogi denata. Chyba że przemieścił się podczas wyciągania zwłok z rozbitego samochodu lub podczas holowania fiata do komendy.

Zaraz, zaraz. Przecież mam zdjęcia z oględzin – uprzytamnia sobie. Sięga do teczki. Rozkłada je na tapczanie. Samochód z przodu z widoczną przez rozbity przednią szybę sylwetką kierowcy pochyloną nad deską rozdzielczą, ściślej nad tym, co z niej zostało. Prawy bok samochodu. Ocalały boczne szyby. Nic dziwnego, zderzenie z drzewem nastąpiło bliżej lewej strony fiata Trochę tak to wygląda – myśli Biezan, jakby chciał w ostatniej chwili wyprowadzić wóz z poślizgu. Tył nie uszkodzony. Dlatego Bilińska podchodząc od tyłu nic nie zauważyła. Teraz zdjęcia lewego boku. Jest na nich widoczne zwichrowanie karoserii. Przy zderzeniu rozprysnęła się lewa przednia szyba. Może jechał z otwartym oknem?

Zagląda do protokołu oględzin. *Z położenia mechanizmów okiennych wynika – czyta – że lewa, boczna szyba była w chwili wypadku odkręcona do połowy swojej wysokości. Część wystająca ponad dolną ramę okna jest zbita, jak gdyby wgnieciona do wewnątrz siłą odśrodkową. Rozprysnięte szkło znaleziono na kolanach denata, na podłodze i w szczelinach między drzwiami a siedzeniem.*

Dlaczego tak właśnie rozmieszczone są drobiny szkła? – zastanawia się chwilę. Niecierpliwym ruchem przerzuca fotogramy. Jest! Na zdjęciu wnętrza, zrobionym podczas pierwszych oględzin, widać układ tych szklinek. Leżą wzdłuż drzwi i na przylegającej do nich części podłogi. Jeśli szyba została zbita wskutek zderzenia, rozprysk powinien być skośny, i to bardziej skośnym do przodu. Odłamki powinny rozmieścić się głębiej. A to wygląda raczej na wgniecenie a nie rozbicie. Eksperci wyjaśnią – zapisuje na kartce skierowane do nich pytania.

Raz jeszcze przegląda protokół technicznych oględzin wozu. W chwili wypadku sprawny technicznie. Gumy nowe... Poślizg. Na tym mokrym i źle ustawionym zakręcie, przy prędkości obliczonej na około osiemdziesiąt lub dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę, skutki nie mogły być inne...

Teza biegłych – *samobójstwo dokonane w powypadkowym szoku* – wydaje się przekonująca. Tylko ta szyba i miejsce znalezienia długopisu budzą zastrzeżenia. Zabójstwo pozorowane na samobójstwo? – zastanawia się po raz któryś z rzędu. Ej, czy ja przypadkiem nie próbuję naciągać faktów do hipotezy, którą wymyśliłem? – karci sam siebie. Wyjaśnienie może okazać się proste, zupełnie proste. Strzelający długopis mógł się przemieścić podczas wyjmowania zwłok lub holowania wozu. Że też nie zauważyli go od razu ci z żuromińskiej drogowki... A szyba? Gdyby nawet założyć, że po wypadku była popękana, a nie rozbita, mogli ją niechcący

wepchnąć do środka reporterzy z telewizji, działający w dziennikarskiej pasji poznania prawdy lub z czystej ciekawości. Żaden z nich na pewno nie pomyślał, że w ten sposób może stworzyć prowadzącym śledztwo trudny do rozgryzienia problem. Na skrawku papieru notuje: przesłuchać ich na tę okoliczność.

Na razie nic więcej nie można zrobić. Ostatecznie zadecydują eksperci. On musi wyjaśnić, do kogo jechał Glor. Czy w całej tej sprawie chodziło tylko o biznes?

Bieżan ma wątpliwości.

Rozdział XIX

– Na razie nie widzę sprawy. Oczywiście, z naszego punktu widzenia.

Pułkownik Władysław Ziętara siedzi za biurkiem z pochyloną głową, kreśląc na czystym papierze jakieś esy floresy. To jego przyzwyczajenie znają podkomendni. Wiedzą, że „malarstwo biurowe” pomaga staremu się skupić; jeśli maluje, to znaczy – słucha uważnie.

– Dziwna postać ten Glor – powraca do te matu Bieżan. – I dziwna historia – podkreśla. – Jeśli zważyć, że on właśnie miał z ramienia „Vipro” nadzorować wyposażenie oddziałów zakładu, którego produkcja ma służyć modernizacji przemysłu, to analiza tego wypadku i działalności Glora może się okazać nitką, prowadzącą nie tylko do handlowego kłębka. Nieraz już się

zdarzało, że przedstawiciele różnych zachodnich firm działali z inspiracji obcego wywiadu.

– Przesadzasz. – Ziętara podnosi głowę i z uśmiechem patrzy na przyjaciela. – Historia jest istotnie ciekawa, ale jedynie z punktu widzenia kryminalistyki i medycyny sądowej. Myślę, że eksperci wykorzystają ją do prac naukowych.

I tyle. Zbyt pochopnie wyciągasz wnioski i właściwie bez podstaw. Te długopisy znajdowaliśmy wprawdzie i w wyposażeniu szpiegowskim, ale na Zachodzie, jak wiesz, nietrudno się w nie zaopatrzyć. Gdyby Glor był inspirowany przez obcy wywiad, odkrylibyście w jego mieszkaniu jakiś ślad wskazujący na tę działalność. Nie mógł prze widzieć wypadku, nie miał więc powodu zabezpieczać się przed przeszukaniem. Moim zdaniem kraksa jest wypadkową zdenerwowania, wywołanego informacją o zagrożeniu zyskowej transakcji, i nieznaną nam drogą. Myślę, że w tej całej sprawie mogą kryć się przekupstwa dolarowe, łapówki, którymi skłonił któregoś z naszych przedstawicieli do wysunięcia i akceptowania kandydatury „Vipro” jako przyszłego kooperanta. A niedostatki proponowanych rozwiązań wyszły na jaw, gdy oceny dokonał tak znakomity specjalista jak Lityński.

– Bardzo chciałbym pogadać z nim na ten temat. Chcę także ustalić, kogo szukał Glor w pensjonacie „Jutrzenka”.

– Nie widzę przeszkód. Akceptuję. Osobiście sądzę, że chodziło o spotkanie z człowiekiem, którego

zamierzał przekupić po to, aby pomógł mu przymusić sprawę, licencji. Na tamtym terenie buduje się zakład, na miejscu są niektórzy specjaliści. Pewnie chciał dotrzeć do któregoś z nich. Ustal, o kogo chodzi, a dalej niech się tym zajmuje pion przestępczości gospodarczej...

– Prosiłem zastępcę komendanta, by natychmiast przygotował listę osób przebywających w „Jutrzence” dwunastego października i przekazał nam informacje o tym pensjonacie. Kto go prowadzi, kto jest tam zatrudniony... Myślę, że dziś jeszcze się odezwą.

Odezwali się nadspodziewanie szybko. Z przekazanej informacji wynikało, że wśród pensjonatowych gości w dniu 12 października był dyrektor Jan Zwoliński, inicjator stosunków handlowych z „Vipro”, i inżynier Karol Lityński. Obaj nadal przebywają w pensjonacie. „Jutrzenka” jest własnością Wandy Skrórowskiej, wdowy po radnym wojewódzkiej rady. Właścicielka zatrudnia rodzinę w charakterze personelu. Obsługa jest na wysokim poziomie, tak wysokim, że władze wojewódzkie nader często przysyłają tu zagranicznych gości.

Bieżan notuje daty przyjazdu interesujących go ludzi: Zwoliński przebywa w Widłach od szóstego, Lityński od dwunastego października.

– Zwoliński raczej nie wchodzi w rachubę. – Dziel się z szefem swoimi wnioskami. – Przyjechał przecież do Widel podczas pobytu Glora za granicą. Chyba że umówili się jeszcze przed jego wyjazdem lub później

skontaktowali telefonicznie. Sądzę, że Glor chciał się skontaktować z Lityńskim.

– Te rewelacje nie obalają mojej tezy – wtrąca Ziętara. – Glorowi prawdopodobnie chodziło o przekupienie inżyniera. Nie mógł wiedzieć, że Lityński złożył już sprawozdanie, zawierające negatywną opinię o „Vipro”.

– Ciekawe tylko, jak ustalili ten adres. W biurze nie wiedzą, dokąd wyjechał inżynier. Może poinformował go ktoś z domowników?

– Sprawdź.

W zielonych oczach Bieżana zapalają się iskier

– Na mojego nosa coś w tym wszystkim jest – powtarza z uporem.

– Najbardziej przekonujący argument, jaki dotąd zdołałeś mi zaprezentować – uśmiecha się Ziętara. – Skoro o twoim nosie krążą już legendy, to i ja chyba muszę w to uwierzyć.

– Zobaczymy, który z nas ma rację – brzmi trochę jak wyzwanie.

Wraca do gabinetu. Ustala adres domowy Lityńskiego. Jest zdecydowany pojechać na miejsce. Ziętara mnie zbeszta – myśli, zbiegając po schodach. Znów zacznie wytykać partyzanckie metody pracy...

Wyprawa na Bielany kończy się fiaskiem. W domu jest tylko gosposia. Na widok obcego człowieka blednie.

– Nie ma. Nie mówił, kiedy wróci. Nie wiem, gdzie pojechał – padają monosylabowe odpowiedzi.

W jej oczach jest lęk. Co tu się dzieje? Czego ona się boi? – zastanawia się w drodze powrotnej.

Siąda za biurkiem. Rozkłada dokumentację dotyczącą wypadku Glora. Szkic sytuacyjny, zdjęcia. Zakręt prowadzi w lewo. Jeśli wpadł w poślizg na zakręcie, to czy mógł uderzyć w drzewo po prawej stronie?

Oglądał miejsce wypadku wracając do Warszawy. Osobiście przejechał ten odcinek. Ten kąt nachylenia zakrętu jest chyba nieprawidłowy – ocenił. W tej sytuacji siła odśrodkowa musiała znieść samochód na prawą stronę szosy.

Dzieli się z ekspertem spostrzeżeniami.

– Teoretycznie ma pan rację – słyszy telefoniczną odpowiedź. – Ale w praktyce? Jeśli żąda pan ode mnie konkretnej odpowiedzi, muszę zobaczyć szkic i dysponować takimi danymi, jak stan ogumienia, stan ciśnienia w gumach w chwili wypadku, kąt nachylenia zakrętu. Wówczas mógłbym dokonać szczegółowych wyliczeń.

– Za godzinę przyjadę do pana – umawia się Biezan.

Przez tę godzinę nie odchodzi od telefonu. Łączy się z Żurominem, ministerstwem komunikacji, zarządem dróg. Cholera, niechluje – klnie żuromińską „drogówkę”, zauważywszy, że w protokole oględzin wozu brak ustaleń co do stanu ciśnienia w oponach. Nic straconego – uprzytamnia sobie. Fiat Glora stoi nadal na podwórku warszawskiej komendy.

Parę minut telefonicznej rozmowy, parę minut

oczekiwania i oto ma już komplet danych. W tylnych kołach stwierdzono jednakowe ciśnienie, 1,9 atmosfery – zgodnie z instrukcją. Na przodzie gumy nierówno trzymają ciśnienie. Po takim zderzeniu to chyba normalne – myśli wioząc materiał do zakładu kryminalistyki.

Czeka z napięciem, aż ekspert skończy wyliczenia.

– Chyba miał pan rację. – Ekspert mówi z namysłem. – Jeśli był to poślizg, to nawet przy wadliwym kącie nachylenia zakrętu wóz musiał się być znaleźć na lewej stronie szosy. Ten wypadek mógł być spowodowany poślizgiem, ale nie tylko. Należy wziąć pod uwagę i inne przyczyny. Można założyć, że kierowca fiata, w obawie przed zderzeniem z innym pojazdem, gwałtownie zjechał na prawe pobocze i nie zdążywszy wytracić szybkości wpadł na drzewo. To są oczywiście tylko hipotezy. Gdyby chodziło o wiążącą ocenę, musielibyśmy dysponować aktami i pojazdem. Moglibyśmy wówczas odtworzyć tor jazdy i ustalić przyczynę tego wypadku. Ciekawa sprawa. Chętnie się nią zajmę, jeśli otrzymamy wasze zlecenie.

– Dziś jeszcze przyślę pismo w tej sprawie – oświadcza Biezan. Władek powie, że zwariowałem na punkcie tego wypadku – myśli o Ziętarze. A jednak coś w tym chyba jest...

Wchodzącego do pokoju wita dzwonek telefonu. Podnosi słuchawkę. Słyszy znajomy głos.

– Tu Korcz. Czyś ty jeździł dzisiaj na Bielany? – pada zaskakujące pytanie.

– Tak.

- Po co?
 - Miałem tam pewien interes.
 - Prywatny czy służbowy?
 - Skoro mnie już przesłuchujesz, powiem ci w tajemnicy, służbowy.
 - W willi inżyniera Lityńskiego!?
- Bieżan jest zdumiony.
- Widzę, że jestem pod twoją obserwacją – żartuje.
 - Czy w tej willi zginął ktoś gwałtowną śmiercią? – pyta już poważnie.
 - Na razie nikt nie zginął. Lityńskiemu zginęło dziecko. Porwano je dla wyłudzenia okupu.
 - Cooo? Kiedy to się zdarzyło?
 - Pierwszego września. Dlatego willa jest pod obserwacją. Przyznaj sam, sprawnie moje chłopaki identyfikują kręcących się tam ludzi.
- Bieżanowi już przeszła ochota do żartów.
- Słuchaj, Andrzej – mówi nagłaco – przyjedź do mnie natychmiast. Musimy porozmawiać.

Rozdział XX

Pomału się rozwidnia. Na szosie ścięta mrozem breja jeszcze nie rozjeżdżona kołami samochodów. Bieżan prowadzi ostro. Fiat podskakuje na zamrzniętych bryłach błota jak na kocich łbach. Korcz rozparty wygodnie z trudem opanowując ziewanie opowiada o dotychczasowych ustaleniach grupy.

– W tej chwili dysponujemy nazwiskami, adresami i innymi danymi osiemdziesięciu procent sfotografowanych na cmentarzu drugiego września. Mamy też taśmy z nagraniami z przeprowadzonych z nimi rozmów telefonicznych. Wysyłamy je sukcesywnie do pracowni fonoskopijnej dla identyfikacji z nagraniem aa taśmę głosem porywacza. Jak dotąd, nic z tego nie wychodzi. Wśród identyfikowanych, pod kątem kontaktów z Lityńskim bądź z jego najbliższym otoczeniem, wyodrębniliśmy dwie osoby. Joannę Bilińską z uwagi na łączące ją bliskie stosunki z konkurentem Lityńskiego, inżynierem Adamem Białkiem, i dyrektora centrali handlu zagranicznego, Jana Zwolińskiego. Bilińska jechała tego dnia na cmentarz wojskowy, to rocznica śmierci jej ojca, który zginął w obronie Warszawy. Więc raczej odpada. Myślę, że ciebie ona też nie interesuje. Białek miał kontakt z Lityńskim, a nie z Głorem...

– Nie masz racji. Białek musiał być z Głorem w zażyłych stosunkach, skoro przywiózł go do kuzynki, podwarszawskiej badylarki, niejakej Anny Widomskiej. Z nią właśnie był zaręczony Głor. Białek, ustaliłem to, żył z dwiema kobietami: z Bilińską i z niejaką Cecylią Zimońską, sąsiadką Głora. Zimońska mieszka w tym samym domu. Piętro niżej. Wybieram się do niej. Chcę z nią pogadać, na razie nieoficjalnie... Ty, Andrzej – ciągnie dalej Biezan – eliminujesz Bilińską ze sprawy o porwanie. Ja nie. Jest nie tylko świadkiem wypadku drogowego, ściślej świadkiem, który jako pierwszy natknął się na tkwiące w wozie zwłoki, ale

może też mieć inny związek z tym wypadkiem. Wertowałem akta szczegółowo, bo coś mi się nie podobało. Skonsultowałem swoją hipotezę z ekspertem od spraw drogowych. Nie wykluczył możliwości, że to nie poślizg stał się przyczyną kraksy. Zasugerował on, że wóz Glora mógł zostać niejako zepchnięty na pobocze. Przez inny pojazd. Zepchnięty nieumyślnie lub umyślnie. W tym samym czasie, tą samą szosą, w tym samym kierunku jechała Bilińska. Jeśli to ona wpadła w poślizg, a Gloria chcąc uniknąć zderzenia z jej skodą gwałtownie zjechała na pobocze i nadział się na drzewo, mogła, zorientowawszy się w tragicznych skutkach wypadku, upozorować swój „skok” do rowu. Skoda, jak wynika z oględzin, jest nieuszkodzona. Funkcjonariusze drogówki pomogli jej wypchnąć wóz z rowu i pojechała nim do domu. Jej wypadkiem nikt się bliżej nie zainteresował. Skoro nic się nie stało...

– Mówisz, zjechała umyślnie – Korcz akcentuje te słowa. – Nie znam się na tym tak jak ty. Nie prowadzę wozu. Ale wydaje mi się, że umyślne zepchnięcie z szosy pojazdu wymaga precyzyjnie obmyślanego i wykonanego planu. Nie wiem, czy do realizacji takiego planu, wymagającego i dobrego kierowcy, i żelaznych nerwów, nadawałaby się kobieta. Nie widzę zresztą rozsądnego motywu...

– Motyw mógłby się znaleźć. Gdyby, na przykład, usunięcie Glora stało się z jakichś względów sprawą życia i śmierci dla Białka, nie wiem, czy nie zechciałby wykorzystać kochającej go kobiety. Czy ona by się na

to nie zgodziła. Mówię, nie wiem. Są to tylko luźne hipotezy. Zajechanie drogi – urywa nagle. – Cholera! – klnie na widok wyłaniającej się z bocznej drogi nie oświetlonej furmanki. Gwałtownym ruchem skręca w lewo, żeby uniknąć zderzenia. Fiat wpada w poślizg. – Uff. Bandyta! – wzdycha z ulgą, gdy mu się udaje wprowadzić samochód. – Jest jeszcze trzecia ewentualność – wraca do poprzednich rozważań. – Jeśli nawet przyjąć jako prawdziwe zeznanie Bilińskiej, że przypadkowo natknęła się na rozbity wóz i zwłoki, to nie można wykluczyć, że mogła coś czy kogoś zauważyć na szosie. Być może boi się o tym mówić z jakichś nie znanych nam względów, być może szok, którego doznała, zatarł w jej pamięci jakieś istotne szczegóły. Co wiesz o Lityńskim? – zmienia temat.

– Niewiele. Ustalałem tylko szczegóły mogące mi pomóc w ocenie ludzi z jego otoczenia i środowiska. Wiem, że jest specjalistą z zakresu elektroniki stosowanej, że go cenią i darzą zaufaniem.

– Ale mnie nie chodzi o zawodowe oceny. Chciałbym wiedzieć, jakiego to pokroju człowiek?

– Za wiele wymagasz ode mnie. Nie próbowałem go oceniać. Dla mnie był ojcem porwanego dziecka. Widziałem, że głęboko przeżywał to nieszczęście. Dlatego namawiałem go na wyjazd za granicę. Żeby się oderwał od tego wszystkiego.

– Zetknąłeś się z nim po powrocie z Anglii. Jakie zrobił na tobie wrażenie?

– Ucieszył się na nasz widok. Czekałem na niego

na lotnisku z naszym wspólnym znajomym, Bolesławem Kwaśniewskim. Pojechaliśmy razem do Kwaśniewskiego, do domu. Tam, gdy się dowiedział, że sprawa tkwi w martwym punkcie, ochłódł i zaraz wyszedł. Trudno się dziwić. Mnie samemu było głupio, nadrabiałem miną. Na dodatek to miejsce. Kawalerka Kwaśniewskiego, gdzie tkwił, czekając na kontakt z porywaczami. Wszystko musiało w nim odżyć na nowo. Więcej go nie widziałem. Nie szukam kontaktu, bo nic nowego nie ustaliłem. Obserwujemy jego i willę... Dzień i noc... Właśnie w ten sposób moi chłopcy natrafili na ciebie. Pracują bez pudła.

– Ejże, czyś ich nie przechwalił? Lityński zdołał się urwać i wyjechać, a ty nic o tym nie wiedziałeś.

Korcz ma minę speszoną.

– Nie rozumiem, dlaczego tak poszkapili. Jedenaściego września trafili za nim nad Wisłę, chociaż sam przyznał się, że kluczył godzinę po mieście, żeby ich zgubić. Nie rozumiem, co się stało – powtarza. – Do tej roboty oddelegowałem najlepszych. Wrócimy, zaraz się do nich zabiorę. Muszę ich rozliczyć. Ciekawe, dlaczego Lityński ulotnił się tak niepostrzeżenie.

– Byłeś u niego w domu. Jaki jest ten dom, stosunki rodzinne?

– Dom jest zbyt kownie urządzony. Widać, że nie żałował na ten cel pieniędzy. On do rzeczy zewnętrznych przywiązuje dużą wagę. Chyba uważa je za miernik swojej pozycji. Lubi ją podkreślać. Dla uratowania dziecka bez wahania zaryzykował pół miliona, chociaż

w tej kwocie zamknęły się jego oszczędności. Kochał małą, ale na co dzień nie zajmował się dzieckiem. Nie potrafił, na przykład, powiedzieć, jak dziecko było ubrane w dniu porwania, nie zna nauczycieli ani koleżanek dziewczynki. Nie kontaktował się nigdy z nimi. To wszystko robiła za niego żona, a później, po rozwodzie, gosposia.

– Dlaczego rozszedł się z żoną?

– To ona od niego odeszła. Wyrok orzeka rozwód bez winy stron. Zgodnie z ich wnioskiem. Z zebranych o niej informacji wynika, że aktualnie nie utrzymuje żadnych stosunków ze środowiskiem byłego męża. Wyizolowała się zupełnie. Tkwi w kręgu przyjaciół i znajomych obecnego męża. Oboje żyją nader skromnie. Ona pracuje jako projektantka w stołecznym biurze projektowym. Uważają ją za pracownika wyjątkowo uzdolnionego. I za odludka. Z nikim nie miewa zatargów, z nikim się nie przyjaźni. Przychodzi do pracy punktualnie, robi, co do niej należy, wychodzi. Żadnych babskich plotek, przyjaciółek... Żadnych flirtów z kolegami z pracy. On uchodzi w swoim środowisku za utalentowanego, ale profitów ma z tego niewiele. Sprzedał zaledwie parę obrazów. Od czasu do czasu zarabia wykonując prace zleczone dekoracje wystaw, lokali rozrywkowych. Są to niewielkie kwoty. Ona właściwie utrzymuje dom i męża. Sąsiedzi uważają, że to dobre małżeństwo. Nie kłócą się, nie awanturują, nie zatruwają życia nikomu. Czasem, jak są u nich goście, pohalaśują, ale w granicach przyzwoitości. Ania tam nie bywała. Sąsiedzi nie potrafili rozpoznać jej z fotografii, a w

ogóle nigdy nie widywano u nich dzieci. Halina Lityńska-Jasińska wzięła urlop od pierwszego września w związku z planowanym wyjazdem do Londynu. Z rana zaszła na Bielany, chciała zobaczyć się z dzieckiem. Nie zastała dziewczynki, więc później poszła do niej do szkoły i, jak opowiadały koleżanki Ani, zabrała ją ze sobą na parę godzin. Ania wróciła jeszcze do szkoły, przyniosła pudło ciastek, które zafundowała jej matka. Częstowała koleżanki. Do domu wracała z Jadzią Klabińską i Hanią Zawadzką, ale pożegnała się z nimi koło pawilonów handlowych. Chciała kupić jakieś bibułki w sklepie. I tu ślad się urywa. Nasi wywiadowcy obeszlą wszystkie sklepy w tym rejonie ze zdjęciem dziewczynki. Nikt jej nie rozpoznał. Kamień w wodę. Tam o tej porze przewala się tłum.

– O której rozstała się z koleżankami?

– One twierdzą, że było wówczas piętnaście, może dwadzieścia minut po czwartej. Wyliczyliśmy dokładnie czas niezbędny na przebycie tej trasy. Od szkoły do pawilonów. Wypadło piętnaście minut. Sądzę, że gdzieś w tym rejonie czekali na nią w samochodzie. Pewnie zaproponowali jej, że ją podwiozą do domu.

– Czy nie sądzisz, że w tym wozie mogła czekać na nią matka? Kontaktowała się z matką tego dnia. Mogła się z nią umówić.

– Nie wykluczam i takiej możliwości, choć rzecz z trudem mieści się w czasie. Samolot do Londynu, na który Jasińscy mieli wykupione bilety, odleciał o siedemnastej czterdzieści pięć. Z Bielan na lotnisko w

godzinach szczytu jedzie się około czterdziestu minut. Tam pasażerowie muszą stawić się do odprawy celnej co najmniej pół godziny przed odlotem, czyli najpóźniej do siedemnastej piętnaście. Godzina na przebycie trasy i ulokowanie gdzieś dziecka? Bardzo mało.

- Masz londyński adres Jasińskich?
- Tak Ustaliłem w biurze paszportowym nazwisko i adres zapraszających. Czy to jednak jest właściwy trop?

Rozdział XXI

Pani Wanda Skrółowska wita nieoczekiwanych gości z atencją. Nie dając im dojść do słowa, prowadzi do hallu i sadza na wygodnych fotelach. Wie, że takie przyjęcie wywiera dobre wrażenie na przyjeżdżających, zachęca do korzystania, dziś czy w przyszłości, z pensjonatowych usług. Robi „Jutrzence” reklamę. Goście widzą, że to nie byle jaki dom wczasowy.

Ona umie klasyfikować gości. Ocenia samochód i obu mężczyzn. Bieżan w eleganckim jesiennym płaszczu, podkreślającym szczupłość sylwetki, prezentuje się doskonale. On też ściąga uwagę właścicielki. Do niego się zwraca, jakby nie dostrzegając skromnie ubranego Korcza.

- Czym mogę panom służyć?
- Chcielibyśmy zobaczyć się z inżynierem Lityńskim.

– Bieżan uśmiecha się czarująco. – Bylibyśmy wdzięczni, gdyby nam pani zechciała powiedzieć, gdzie znajdziemy go o tej porze?

– Panowie są umówieni z inżynierem? Przepraszam, że pytam, ale moi goście zwykle uprzedzają, gdy ktoś ma do nich przyjechać. Sprawa rezerwacji pokoi. U nas nawet w październiku trudno o miejsce. Piękna pogoda i nikt nie na rzeka na warunki bytowania. U mnie wszystko jest na najwyższym poziomie.

– Nie zamierzamy sprawić pani kłopotu – Bieżan przerywa ten potok wymowy. – Przyjechaliśmy na parę godzin. Dziś jeszcze wracamy do Warszawy. Po rozmowie z inżynierem – zaznacza.

– Czy panowie są umówieni? – właścicielka „Jutrzenki” ponawia pytanie.

– Nie, proszę pani. Czy to istotne? Zapewne nieraz przyjeżdżają znajomi wczasowiczów bez uprzedniego zawiadomienia.

– Raczej nie. – Pani Skrótońska odpowiada po krótkim namyśle. – W „Jutrzence” gwarantujemy naszym pensjonariuszom pełną swobodę. W każdym zakresie – słowa podkreśla gestem. – Niektórzy, być może, nie życzą sobie, by ich tu odwiedzali znajomi czy – zawiesza głos – rodziny. Sam pan rozumie – uśmiecha się porozumiewawczo – bywa, że mężczyźni szukają pełnego relaksu i nie chcą być narażeni na żadne niespodzianki...

– Nie jesteśmy rodziną inżyniera Lityńskiego. Mamy do niego pilną, służbową sprawę. – Bieżan jest

zniecierpliwiony. – Niestety, nie mogliśmy umówić się z nim telefonicznie, bo to trwałoby dłużej. Chodzi o interesujący go wyjazd za granicę – dorzucą. Ta rybka powinna chwycić – ocenia.

Nie chwyta. Pani Skrółowska nadal robi wrażenie zakłopotanej.

– Panowie pozwolą – podnosi się. Ręką wskazuje kierunek. Idą za nią posłusznie. – Oto nasza sala jadalna – mówi wchodząc do oszklonego z dwóch stron pokoju. Dwie młode, ładne dziewczyny właśnie rozkładają nakrycia na śnieżnobiałej serwecie, zerkając ciekawie na holowanych przez szefową mężczyzn. – U nas jak w rodzinie – podkreśla Skrółowska. – Wszyscy razem siadają do stołu. I tak jak w rodzinie podaje się na półmiskach. W niczym nie chcemy ograniczać apetytów naszych gości. A oto nasz salonik – wprowadza mężczyzn do sąsiedniego pomieszczenia, urządzonego w stylu empire. – Właśnie tu po posiłkach podaje się kawę lub herbatę. Tu przyjmujemy gości naszych gości. Obok, za tymi osłoniętymi kotarą drzwiami, mieści się sala telewizyjna. Może chcą panowie obejrzeć – zaprasza.

– Dziękujemy. Poczekamy tutaj. Chcielibyśmy jak najszybciej porozumieć się z inżynierem Lityńskim. Zależy nam na czasie.

– Bardzo proszę. Zaraz każę go odszukać. Oczywiście to trochę potrwa – zastrzega się Skrółowska. – Może panowie tymczasem napiją się kawy?

– Chętnie. – Bieżan ma ogromną ochotę na „szatana”.

Skrótowska zatrzymuje się w drzwiach sali jadalnej.

– Alinko, obsłuż gości – wydaje dyspozycje.

– Co panom podać? Kawę, herbatę, przekąski? – pyta jedna z widzianych w jadalni dziewcząt.

– Zjadłbym coś. – Korcz jest głodny. Wyjechał bez śniadania. – Co mógłbym zamówić?

– Ależ wszystko! – dziewczyna uśmiechając się czarująco wylicza: – szynka, polędwica, tatar, węgorz, może być sandacz albo karp w galarecie. Jeśli pan sobie życzy coś gorącego, kucharz usmaży befszyk z polędwicy. Mamy dziś na obiad befsztyki.

Dziewczyna przyjmuje zamówienie i znika. Obaj patrzą na siebie porozumiewawczo.

– Taki wybór! Ale ma chody w zaopatrzeniu!

Stolik nakryty błyskawicznie i równie błyskawicznie dziewczyna podaje zamówione potrawy. Bieżan chwali obsługę i obsługującą.

– Zaraz inaczej smakuje, gdy podaje tak piękna dziewczyna – uśmiecha się do kelnerki.

Ta odpowiada uśmiechem na uśmiech.

– Staramy się, żeby goście byli z nas zadowoleni – skłania jasną głowę. – Czy panowie do nas na dłużej? – pyta nie mogąc pohamować ciekawości.

– Niestety, nie. – Bieżan rozkłada ręce komicznym gestem. – Bardzo tego żałuję. – Wymownie patrzy na

kelnerkę. – zazdroścę Lityńskiemu...

– Panowie przyjechali do inżyniera Lityńskiego?

– Tak. Pani Skrótowska prosiła, żeby tu na niego zaczekać...

– Oj, to panowie będą długo czekać! Lepiej od razu zamówić pokoje. – Dziewczyna urywa, jakby nagle ugryzła się w język.

– Dlaczego pani tak sądzi? Niech mi pani powie na ucho, nikomu nie zdradzą tej tajemnicy. Mamy czasu niewiele, więc sama pani rozumie, po co go tracić na darmo.

Trwożliwie rozgląda się wkoło, ścisza głos.

– Och, to głupia sprawa! Inżyniera nie ma już od trzech dni. Samochód stoi na parkingu, rzeczy są w pokoju, a on, jak kamień w wodę.

– Może poderwał dziewczynę i z nią... – żartuje Bieżan.

– On, dziewczynę?! Taki ponurak! Na żadną tu nawet nie spojrział. Przez ten jeden dzień słowem się nie odezwał. Podobno jeździł do miasteczka.

– Skoro nie chodzi o dziewczynę, to, jak pani sądzi, co się z nim mogło stać? – patrzy na kelnerkę poważnie.

– Nikt nic nie wie. Ciocia, to znaczy pani Skrótowska – poprawia się natychmiast – jest zaniepokojona. Wczoraj już wypytywała, czy ktoś z nas go nie widział. Bo gdyby się coś stało – dziewczyna ścisza głos – byłby szum. A taki szum to kiepska reklama dla „Jutrzenki”.

– Odgłos zbliżających się kroków płoszy kelnerkę, –
Czy to wszystko? – pyta ciut, ciut za głośno.

– Dziękujemy pani – równie głośno odpowiada
Bieżan.

Dziewczyna kładzie palec na ustach i znika za
drzwiami.

– Cholera, że też oni dali mu się urwać! – mruczy
Korcza pod adresem obstawy.

– Jakoś trzeba wydusić z niej tę informację – zwraca
się Bieżan do Korcza, myśląc o właścicielce. – Inaczej
będziemy tu tkwili w nieskończoność.

– Jeśli czekanie się przedłuży, zostaniemy na obiedzie.
Może podczas rozmowy z gośćmi uzyskamy jakieś
wiadomości o inżynierze.

– Dobrze. Zwoliński nie zna ciebie osobiście?

– Nie. Może nawiązali znów z nim kontakt. I to tutaj.
– Korcza myśli o sprawcach porwania. – O co im
może jeszcze chodzić? Pieniądzy już nie ma.

– Czy jego zniknięcie nie ma przypadkiem związku
z wypadkiem Glora? – głośno myśli Bieżan. Urywa
na odgłos otwieranych drzwi.

W drzwiach Skrótońska.

– Niestety – rozkłada ręce – nie udało mi się od-
szukać inżyniera. Nie ma go nigdzie w pobliżu. Być
może wybrał się do miasteczka albo na całodniową
wycieczkę. Nie krępuję gości godzinami posiłków. Jeśli
się spóźni na obiad czy kolację i tak wszystko będzie na
niego czekało. W kuchni jest stały dyżur. Przykro mi, że

tak się stało, ale nie nasza to wina. Gdyby się panowie z nim umówili...

Wyraźnie chce nas spławić – osądza Biezan. Rozkłada ręce.

– Trudno, poczekamy na jego powrót. Może pani znajdzie dla nas wolny pokój?.

Jest wyraźnie niezadowolona. Ale rutyna zwycięża.

– Ależ naturalnie, bardzo proszę – mówi z uśmiechem. – Pokój się znajdzie. Niestety, tylko jeden. I ten był zamówiony, ale gość nie przyjechał. Boję się tylko, że będzie panom razem niewygodnie. Nie chciałabym, żeby panowie źle wspominali „Jutrzenkę”.

– Jestem pełen zachwytu. – Biezan jest niezwykle uprzejmy. – Taka obsługa i taki wybór dań. Niespotykane!

– Cieszę się z tak pochlebnej oceny. Staram się, jak mogę. Może pokojowa od razu zaprowadzi panów na górę?

– Nie, dziękujemy. Przejdziemy się jeszcze... O której godzinie jest obiad?

– Pierwsza trzydzieści. Radzę obejrzeć park i jezioro. To piękny teren...

– Pochodzimy po ogrodzie, może uda się spotkać kogoś z gości lub personelu – proponuje Biezan.

W ogrodzie jest pusto. Postanawiają iść nad jezioro. Korcz wskazuje wąski przesmyk ukryty między krzewami.

– Chodźmy tędy – przejmuje inicjatywę.

Zza krzaków wyskakuje chłopak. Wpada na Korcza jak na nieoczekiwaną przeszkodę.

– Jezu! Tam, trup! – dyszy trzymając się kurczowo mężczyzny.

– Co ty opowiadasz? Gdzie ten trup? – pyta Korcz łagodnie.

– W sitowiu – szeptem. Drży cały.

Rozdział XXII

Wiadomość o znalezieniu zwłok w sitowiu rozchodzi się lotem błyskawicy wśród personelu i gości. Działa porażająco. Po raz pierwszy zdarza się, że pensjonariusze „Jutrzenki” mają powód do narzekań. Obiad jest spóźniony, pieczone przesolone, nawet kartofle się przypaliły. Obsługującym stół dziewczynom wszystko leci z rąk. Są podniecone sensacyjną wieścią. Pochłonięte wyłapywaniem fragmentów rozmów prowadzonych przy stole co rusz to się myślą. Wylatują im z głowy wyrażone przed sekundą życzenia gości. I o dziwo, nikt z pensjonariuszy, zwykle wrażliwych na jakość obsługi i atrakcje podniebienia, nie zauważa tych uchybień. Nie reaguje na nie także właścicielka, zazwyczaj śledząca argusowym okiem każdy ruch dziewczyn.

Dziś pani Wanda Skrótonska siedzi przy stole chmurna i milcząca nie próbując nawet podtrzymywać rwącej się wciąż rozmowy. Jest pochłonięta jedną myślą: czy ta niemiła historia, która zdarzyła się w jej

pensjonacie, nie zaważy na frekwencji, nie spowoduje zbytniego rozgłosu, me ściągnie kontroli, która mogłaby wykryć nie zawsze legalnie załatwiane przydziały. Zastanawia się, jak i gdzie schować przywiezione przed godziną zapasy woli zabezpieczyć się z góry. Boi się, że wezwanej z Olsztyna milicyjnej ekipie to i owo wpadnie w oko. Mogą na nich nie zrobić wrażenia zasługi nieboszczyka męża i los nieszczęsnej, zdanej na własne siły, wdowy. Sama się rozczuła nad tym losem. Przyjadą, przyczepią się i interes leży. Ona wie najlepiej, że nietrudno się przyczepić. Będą na pewno przesłuchiwali personel – medytuje. Wprawdzie chodzi o gościa, ale kto wie, co im się może wymknąć niechcący przy tej okazji. Zaraz po obiedzie – postanawia, a może jeszcze w trakcie obiadu, jeśli uda mi się wysunąć bez zwracania uwagi pensjonariuszy, przypomnę personelowi, bliższej i dalszej rodzinie o konieczności trzymania języka za zębami. Niech mi tylko które puści parę z gęby, wyrzucę, słowo daję, wyrzucę – zaciska wąskie usta. Na dodatek jeszcze ci goście do Lityńskiego! Gdyby nie odkryli trupa, byłby spokój – myśli z pretensją o Bieżanie i Korczu.

Bieżan siedzi przy stole razem z innymi. Nie ma apetytu. Przed oczyma tkwi mu bez przerwy szerniała, spuchnięta twarz z wysadzonymi na wierzch oczyma.

Chłopak w podartych spodniach poprowadził ich do miejsca, w którym odkrył leżącego w sitowiu człowieka.

– Zawsze tu łowię ryby – opowiadał pochlipując

cicho. – Dziś także przyszedłem. Matka kazała nałapać ryb na kolację. Mamy w domu wczasowiczów. Za blisko rzuciłem wędkę i ta zaplątała się w sitowiu. Zsunąłem się do jeziora, żeby ją odczepić, i wtedy go zobaczyłem... O Jezu! – chłopak trzęsie się cały na to wspomnienie. – Ja się boję... Nie chcę go już widzieć. – Przytula się do Korcza, który obejmuje ramieniem szczupłe ciało.

– Nie bój się, synku – mówi spokojnie. – Jesteś z nami. Nic ci się nie może stać. Nie musisz go oglądać, tylko pokażesz nam miejsce, w którym go zobaczyłeś.

Wąska ścieżynka, wiodąca od strony pensjonatowego mola, prowadzi do grupy drzew rosnących tuż nad brzegiem jeziora i skręca omijając tę naturalną przeszkodę.

Brzeg jest zarośnięty sitowiem.

– Zsunąłem się tu. – Chłopak pokazuje palcem. Na mokrym, bagnistym gruncie odbił się ślad bosej stopy. – Zawsze włożę na ten konar i stąd zarzucam wędkę – wyjaśnia. – Ale ja tam nie pójde – drży i cofa się do tyłu.

– Nie... Zaczekasz tu na nas. Sprawdzimy. Może ci się tylko przywidziało. – Korcz mówi uspokajającym tonem, rozbierając się szybko.

Chwila i wsuwa się w sitowie.

Bieżan stoi nad brzegiem i wpatruje się w trzciny poruszane wiatrem. Czarna, krótko ostrzyżona głowa Andrzeja zniknęła z oczu. Jakby się zapadł w ten ruchomy, zielony pas. Słyszy głos:

– Jest!

Miedzy rozchylonymi trzciniami tkwi nieruchome ciało. Bieżan patrzy ze zgrozą na twarz topielca. Niemało już widział trupów, a jednak wzdryga się na samo wspomnienie. Musiał leżeć w wodzie co najmniej parę dni.

Korcz wychodzi z wody, otrząsając się jak pies.

– Widziałeś?

– Tak. To on? – pyta krótko ze względu na obecność chłopaka.

– Nie mam wątpliwości – stwierdza Korcz.– Ja tu zostanę z chłopcem, rozejrzę się trochę, a ty przez ten czas uruchomisz Olsztyn. Niech zaraz przyjeżdżają z całym arsenałem. Poczekam tu na nich.

Chłopca trzeba było długo namawiać, aby pozostał z Korczem. Wyraźnie chciał zwiać. A przecież wiedzieli, że zaraz poleci do domu i wszystkim dokoła opowie o swoim odkryciu. Narobi niepotrzebnego szumu. Pół wsi się zwali. Tego pragnęli uniknąć. Tłumaczyli, wyjaśniali, w końcu obiecali mu nową wędkę. To zadecydowało. Chłopak pogodził się z przykrą sytuacją.

Bieżan szybkim krokiem wrócił do pensjonatu. Starając się nie zwrócić niczyjej uwagi, pojechał do miasteczka. Stąd, z posterunku, połączył się telefonicznie z zastępcą komendanta. Zreferował co i jak.

– Przyślijcie ekipę i karetkę – rzucił na za kończenie. – Po wstępnych oględzinach trzeba będzie przewieźć zwłoki do Zakładu Medycyny Sądowej w Warszawie. Tam zrobią sekcję. Wasi ludzie muszą dokonać

ogłędzin miejsca wypadku, przeszukać pokój zajmowany przez denata i przeprowadzić wstępne przesłuchania. Resztą zajmujemy się my.

– Wyślijcie zaraz w to miejsce paru funkcjonariuszy – polecił komendantowi posterunku. – Niech pilnują, by nikt się tam nie pętał.

Wrócił do pensjonatu, zaparkował samochód, obszedł dom dookoła, dotarł do ścieżki i dopiero teraz skierował się w stronę domu. Żeby nikt nie miał wątpliwości, że wraca znad jeziora.

– Stało się nieszczęście. Inżynier Lityński nie żyje – poinformował Skrótowską wzburzonym głosem. – Podczas przechadzki nad jeziorem przypadkiem odkryliśmy w wodzie zwłoki. Proszę natychmiast zawiadomić milicję – dodał rozkazującym tonem.

Była bliska ataku hysterii. Z trudem ją uspokoił i nakłonił, by połączyła się z posterunkiem. Niemal krzyczała w telefon. Donośny głos rozbrzmiewał po całym domu. Nic dziwnego, że pod drzwiami biurowego pokoju, w którym toczyła się ta rozmowa, skupiła się grupka ludzi poruszonych sensacyjną wiadomością.

– Wyobraźcie sobie państwo, takie nieszczęście! – lamentowała opuszczając pokój. – Utopił się inżynier Lityński. Panowie do niego dziś przyjechali służbowo i przypadkiem go znaleźli. W naszym jeziorze! Przyjedzie tu milicja. O Boże! Taka historia w moim pensjonacie! – Jak żona Lota zastyga na chwilę z podniesionymi do góry rękoma. Zaraz je jednak opuszcza. – Musicie państwo wcześniej zjeść obiad. Każę natychmiast

podawać. – Biegnie w stronę gospodarskich pomieszczeń.

Teraz Bieżan znajduje się w oku cyklonu. Na nim skupia się uwaga pensjonariuszy. Okrążają go, wypyтую o szczegóły odkrycia. Chętnie udziela informacji. Sam pyta, wyławiając istotne dla niego szczegóły.

– A może to nie wypadek, a samobójstwo?! Od początku dziwnie się zachowywał! – Janicka patrzy na Bieżana rozszerzonymi oczyma. – Ponury, nachmurzony. Jakby przyjechał na pogrzeb, a nie na wczasy.

– Głupstwa opowiadasz! – karci ją mąż. – A któż przyjeżdża na wczasy z zamiarem popełnienia samobójstwa! Na pewno nieszczęśliwy wypadek! Może go skurcz złapał podczas kąpieli. Woda jest bardzo zimna.

– Podczas kąpieli?! – Elżbieta Zwolińska wzrusza ramionami. – Wy sobie wyobrażacie, że facet w nocy wszedł do wody?! Wracając po drugiej w nocy z miasteczka, widzieliśmy go na szosie! Glebicki chciał go podwieźć do domu. A on, jak tylko nas zobaczył, umknął gdzieś w bok.

– I właśnie od tego czasu nie pokazał się więcej? – Bieżan udaje zdumionego tą rewelacją. – Jak państwo myślą, po co on się tam wybrał?

– Właśnie nad tym samym się zastanawiałem – podchwytuje Glebicki. – Tego dnia przyjechał. Musiał być zmęczony. Przynajmniej na mnie robił takie wrażenie, gdy razem jechaliśmy do miasteczka.

– Ledwie przyjechał i zaraz się wybrał do miasta?

– Tak. Zapytał mnie o drogę więc się z nim zabrałem.

Mówił, że ma jakiś pilny list do odebrania. Zdziwiłem się. Dopiero co przyjechał i już listy... Czy to żona tak się o pana troszczy, spytałem. Chyba uznał, że jestem niedyskretny, bo zmarszczył brwi i nic nie odpowiedział. W końcu nie moja sprawa.

– I był wówczas na poczcie?

– Siedział tam dość długo. Ja załatwiłem sprawunki i czekałem przy wozie. Żeby nie zapomniał mnie zabrać z powrotem.

– Wrócił tej nocy do domu? Widział go ktoś z państwa?

– Nie. Rano nie był na śniadaniu. Nie widziałam go i podczas obiadu. Może przyszedł później? – Ela Zwolińska spogląda pytająco. – Ja go więcej nie widziałam.

– I ja – stwierdza Glebicki.

Na twarzach widać skupienie. Wszyscy próbują przypomnieć sobie przebieg wydarzeń. Bezskutecznie. Ale temat nie schodzi z towarzyskiej wokandy. Przy obiedzie co pewien czas ktoś dorzuca jakiś domysł, spostrzeżenie. Bieżan słucha uważnie. Każda informacja jest cenna.

Rozdział XXIII

– Ustaliłem, że to Zwoliński zamówił w „Jutrzence” pokój dla Glora. Na jedną noc. Z dwunastego na trzynastego października. Głor połączył się z nim zaraz

po powrocie z Londynu. Jedenastego. Rozmawiał z numeru zarejestrowanego na nazwisko Widomskiej. Cholera! Moja wina! Spaprałem sprawę. Nie kazałem dotąd przeszukać jej mieszkania – mówi Bieżan podnieconym głosem.

– Nie uważam tych ustaleń za rewelację – Ziętara spogląda spod oka na przyjaciela. – Jeśli Glor doszedł do wniosku, że Lityński coś kręci i z tej racji transakcja może nie dojść do skutku, to chciał prosić o pomoc dawnego protektora. Sam mówiłeś, że Zwoliński forsował „Vipro”. Ile Glor miał przy sobie pieniędzy? – pyta.

– Znaleźli przy nim piętnaście tysięcy dolarów. Myślisz, że wiozł je dla Zwolińskiego?

– Chyba sprawa jest jasna. Skoro zwykle nie nosił ze sobą większych kwot, a tym razem, po rozmowie ze Zwolińskim, zabrał grubszą gotówkę, to chyba nie masz wątpliwości, o co mu chodziło. Podejrzewam, że Zwoliński od początku nie działał całkiem bezinteresownie. – Ziętara mówi z ironią. – Trzeba zainteresować tymi faktami pion przestępczości gospodarczej.

– Poczekajmy jeszcze. Zwoliński został zewidencjonowany w sprawie o porwanie dziecka Lityńskiego. Był wówczas na cmentarzu. To jeszcze nie zostało wyjaśnione do końca. A jeśli jest zamieszany... – Bieżan urywa.

Ziętara wzrusza ramionami.

– Skoro Glor nie dojechał do Widel, trudno podejrzewać, że na jego prośbę Zwoliński zamordował Lityńskiego. Zresztą jeszcze nie wiadomo, czy to było

morderstwo. Masz już wyniki sekcji?

– Czekam na Korcza. Ma nam je przekazać. Chciałbym, żebyś załatwił oddelegowanie Andrzeja do nas. Jest specem od spraw zabójstw, dobrze się nam razem pracuje...

– Chcesz przejąć sprawę o porwanie i szantaż? Ej-że, czy ty przypadkiem nie jesteś zanadto zachłanny? A może jeszcze zająłbyś się włamaniami do obiektów gospodarki społecznej, kradzieżami kieszonkowymi i tak dalej.

Bieżan wybucha śmiechem.

– Nie bądź złośliwy! Chciałbym mieć w rękę całość. Wszystko się łączy.

– Oczywiście. Wszystko się łączy w czasie i przestrzeni - mówi Ziętara sentencjonalnie. – Ale na razie innych związków nie dostrzegam.

– Jak wiesz, Lityński był specem od elektroniki stosowanej, doradcą w sprawach związanych z dość poważną inwestycją, którą zlokalizowano w okolicy Widel. Bardzo jestem ciekaw, jakim cudem on tam się znalazł i kto zamówił mu pokój? Skrótowska stwierdziła, że w tej sprawie dzwonił w jego imieniu jakiś mężczyzna. Prosił o zarezerwowanie pokoju od dwunastego października. Tę telefoniczną rezerwację otrzymała jedenastego przed południem. Jeszcze przed przylotem samolotu z Londynu. Zamawiający musiał wiedzieć, że Lityński właśnie tego dnia wraca do Warszawy i że stawi się na pewno w określonym miejscu, określonego dnia. Nie wykluczam, że to jeden z szantażystów.

– Nonsens. Z ustaleń Korcza wynika, że kontakt z nimi urwał się jedenastego września.

– Chyba niezupełnie się urwał, skoro Lityński umknął obstawie. Musiał otrzymać jakąś wiadomość, tyle że obserwacja poszkapiała. Andrzej to sprawdził. Okazało się, że Lityński jedenastego października, około godziny siedemnastej, odprowadził samochód na stację obsługi. Stamtąd wrócił do domu taksówką. Rano poszedł piechotą do pracy. Czekali, aż wyjdzie. Nie doczekali się. Nie wyszedł, tylko wyjechał, jak się później okazało, służbową nysą. Siedział z tyłu, w pudle. Kierowca nysy podrzucił go na stację obsługi, skąd pojechał do Wideł swoim wozem. Gdy się chłopaki tropnęli, że coś tu nie gra, bo za długo siedzi w pracy, było już po szesnastej. Pojechali na stację i tam dowiedzieli się reszty.

– Może dostał wiadomość w drodze z lotniska?

– Z lotniska jechał z Kwaśniewskim i Korczem. Po wyjściu od adwokata wsiadł do taksówki i nasi ędholowali go do domu. Tu nikt go nie odwiedzał. Jest tylko jedna możliwość. Informację przekazał mu ktoś z personelu na lotnisku lub podczas odprawy celnej. To wskazywałoby na szeroki zasięg kontaktów porywaczy. Moim zdaniem to nie jest zwykła kryminalna sprawa.

– Widzę, że się do niej palisz i chętnie naginasz fakty do swoich hipotez. – Ziętara mówi żartobliwym tonem.

– Ty także chcesz „na siłę” dopasować fakty do swojej koncepcji... odparowuje Bieżan bez namysłu.

Teraz śmieje się Ziętara.

– Wiążesz mi ręce takim oświadczeniem. Usiłujesz wymusić aprobatę dla swoich partyzanckich poczynąń. A ja ci tej aprobaty nie dam, dopóki nie przedstawisz mi nowych, przekonywujących faktów.

– Fakty? W sprawie Glora mam dwie ekspertyzy. Nasi specje nie wykluczają, że przyczyną wypadku było zajechanie mu drogi przez inny samochód. Z drugiej opinii wynika, że boczna lewa szyba nie rozprysnęła się wskutek zderzenia, a została wgnieciona do wewnątrz. Po kraksie.

– O czym to świadczy twoim zdaniem?

– O zabójstwie upozorowanym na wypadek. Mam jeszcze jeden dowód. Otóż wygląda na to, że ktoś przesużywał jego ubranie. Po kraksie. Nie znaleziono przy nim ani czarnego notesu, który zawsze ze sobą nosił, ani innych papierów. Nawet zwykłego świstka. Tylko portfel, z dokumentami i pieniędzmi. Ocalała jedynie wsunięta między mapy na samochodowej półeczce maleńka karteczka z adresem „Jutrzenki” i ten długopis-pistolet, którego nie widziała u niego żadna z przesłuchiowanych kobiet.

– To ostatnie jest bez znaczenia. Jeśli nawet przyjmiemy twoją tezę, że ten długopis mógł być częścią szpiegowskiego wyposażenia, to agent prezentujący go swoim najbliższym byłby kompletnym idiotą. Natomiast nad innymi faktami warto się zastanowić.

Mięknie, wyraźnie mięknie – Bieżan jest zadowolony. Jeszcze trochę i da się chyba przekonać. Nie będą

go ponaglał. Na razie – postanawia. Z nim nie można postępować na zasadzie kucia żelaza póki gorące. Trzeba odczekać. Ziętara lubi działać rozważnie. A cały arsenał kontrargumentów wyciąga nie po to, by storpedować zamierzenia i hipotezy podwładnych, ale po to, by zmusić ich do dyskusji i w jej ogniu sprawdzić jakość tych hipotez. Sam Bieżan, znający na wylot metody przyjaciela, w ferworze dyskusji często o nich zapomina i naciera z pasją. W porę sobie przypomniałem – myśli. Na dziś wystarczy. Podnosi się z krzesła w chwili, gdy sekretarka Ziętary dzwoni, że właśnie przyszedł Korcz.

– Zaczekaj – Ziętara zatrzymuje go w progu. – Siadaj. Proszę wprowadzić do mnie kapitana Korcza – wydaje polecenie.

Bieżan zawisa oczyma na ustach wchodzącego.

– No, mów wreszcie! – rzuca w chwili, gdy tamten wita się z pułkownikiem.

Korcz referuje krótko, rzeczowo,

– Zabójstwo upozorowane na samobójstwo.

Denat został wyłowiony z wody z pętlą ze sznura na szyi. Drugi koniec sznura był przymocowany do wyłowionej razem z ciałem gałęzi. Na oko facet się powiesił, gałąź się złamała i runął do wody. Inscenizacja ta miała nas przekonać, że miał tu miejsce zamach samobójczy. Śmierć Lityńskiego nastąpiła wskutek rozerwania kręgosłupa szyjnego i rdzenia kręgowego. Typowe przy powieszeniu uszkodzenia. Ale podczas oględzin ciała denata i sekcji zwłok stwierdzono brak charakterystycznej

w takich wypadkach bruzdy wisielczej. Zauważono jedynie nieznaczne okrężne otarcia naskórka. Nie utonął, bo w płucach nie odkryto wody. Słowem uszkodzenia stwierdzone podczas sekcji nie powstały wskutek powieszenia czy utonięcia, ale w wyniku silnego odgięcia głowy do tyłu i skręcenia jej ruchem obrotowym. Podczas sekcji ujawniono także krwiak na tyle głowy. Najprawdopodobniej najpierw został ogłuszony. – Korcz patrzy na Ziętarę pochłoniętego kreśleniem kresek na białej kartce papieru. Nie słuchał, myśli. Jest mu przykro.

Bieżan wie, że pułkownik słuchał z napięciem. Nie uрониł żadnego słowa. A skoro słuchał tak uważnie, zaraz sospyje się grad pytań.

Przewidywania okazują się trafne. Rybka chwytą – cieszy się w duchu Bieżan, słysząc jak przyjaciel wypytuje nie tyle o szczegóły zabójstwa, ile o ustalenia związane z metodą działania szantażystów.

Wychodzą po skończonej rozmowie. Bieżan odwraca się jeszcze.

– Czy zauważyłeś charakterystyczne zbieżności w metodach działania? – rzuca.

Rozdział XXIV

Sprawa zabójstwa Lityńskiego pochłania Korcza bez reszty. W domu niemal się nie pokazuje. „Zawziął się – mówią o nim koledzy. – O niczym innym nie potrafi

myśleć, nawet znajomych na ulicy nie poznaje. Ożywia się tylko wówczas, gdy poruszany temat zahacza o interesującą go sprawę”.

Zawziął się rzeczywiście. Szczegółowo tropi każdy krok inżyniera, wylicza go z każdej minuty.

Na lotnisku przeprowadził rozmowy z personelem, załogą samolotu, celnikami pełniącymi tego dnia służbę. I nic, nawet cienia wskazującego na możliwość przekazania wiadomości o planowanym spotkaniu w Widłach. Kazał zebrać informacje o swoich rozmówcach. Sprawdzić ich pod kątem ewentualnych kontaktów ze środowiskiem Lityńskiego. Znow nic. Więc kiedy otrzymał wiadomość i adres?

Do Kwaśniewskiego przyjechali razem. Za nimi – wywiadowcy. Oni towarzyszyli mu w drodze do domu. Obserwowali go na stacji, gdzie zostawił samochód, i w powrotnej drodze. Nie spuszczała oka z willi. Widzieli, że przez całą noc w jego gabinecie paliło się światło. Wychodząc z domu o zwykłej porze, zabrał ze sobą mały, czarny neser. W miejscu pracy spędził pół godziny. Oddał dyrektorowi sprawozdanie z wyjazdu, poprosił o parodniowy urlop. Sekretarka, która asystowała przy tej rozmowie, zauważyła w otwartym przez chwilę neserze maszynopis i piżamę. Co stało się z tym maszynopisem? Przeszukujący pokój Lityńskiego funkcjonariusze nie znaleźli nawet najmniejszego świstka. Czyżby inżynier zniszczył wszystkie papiery? To niemożliwe. Przecież tego maszynopisu pilnował,

jak oka w głowie. Miał go u dyrektora. To pewne. Po wyjściu stamtąd zaszedł na chwilę do kadr, a potem do dyspozytorni. „Chciał, by go ktoś z naszych kierowców podrzucił na stację obsługi – stwierdził dyspozytor. – Akurat wyjeżdżała na miasto nyska, więc zabrał się. Usiadł z tyłu. Nesesera nie wypuścił z ręki ani na chwilę”.

– Cały czas trzymał go w ręku – opowiadał Korczowi kierownik stacji obsługi. – Nawet przy kasie, kiedy płacił za przegład.

Kiedy przyjechał do Widel, maszynopis nadal musiał tkwić w walizce. Korcz taki wniosek wyciągnął z zeznań pokojowej. Gdy zaprowadziwszy gościa do zamówionego pokoju chciała rozpakować neseser, aż podskoczyła. „Sam sobie poradzę – warknęła. – Nie potrzebuję niczyjej pomocy”. Wyszła obrażona. „Wyglądał po pańsku, a taki niekulturalny” – skomentowała później ten incydent.

W pokoju przebywał krótko. Przed pierwszą wyjechał do miasteczka. Właśnie wtedy zabrał się z nim Glebicki, który twierdzi, że inżynier był na pocztce około godziny. Co tam robił tyle czasu? „Pytał mnie, czy nie nadszedł dla niego list na poste restante – zeznała urzędniczka. – Pamiętam, że dwa razy prosił, żebym dokładnie sprawdziła. Co tu było do sprawdzania? – ruszyła ramionami. – Wszystkiego dwa listy. Potem usiadł przy stole i pisał. Dość długo to trwało, bo przez ten czas zdążyłam obsłużyć kilku interesantów, zjeść

śniadanie, a on jeszcze siedział. Wsunął te zapisane kartki do kieszeni i wyszedł”. Ani śladu tych kartek i maszynopisu! Po co brał je ze sobą? Poszedł z nim na umówione spotkanie? W pułapkę? Na to pytanie nie znalazł dotąd odpowiedzi. Czy zresztą tylko na to – myśli Korcz. Nie udało się również ustalić, co robił Lityński między godziną dwudziestą a drugą w nocy.

Z miasteczka wrócili na obiad. Po obiedzie, około piętnastej, poszedł do swojego pokoju. „Leżał na łóżku i patrzył w sufit – oświadczyła wysłana przez Skrótowską dziewczyna. – Chodziło o wypełnienie karty meldunkowej. Powtórzyłam, co mi szefowa kazała. Popatrzył na mnie jakoś tak nieprzytomnie i powiedział, że niedługo zejdzie na dół i wszystko załatwi”.

Okolo piętnastej trzydzieści załatwił niezbędne formalności. Skrótowską czekała na pilny telefon i co rusz patrzyła na zegarek. „To trwało może pięć, może dziesięć minut. Oddał kartę meldunkową, zapłacił za dwudniowy pobyt i wyszedł”.

Kręcił się przed domem do kolacji. Rozmawiał z Glebickim, widzieli go wczasowicze powracający znad jeziora. Elżbieta Barańska, uchodząca w „Jutrzence” za żonę Zwolińskiego, w jego obecności umawiała się z Glebickim na ubaw w miasteczku.

Po kolacji razem z innymi gośćmi oglądał dziennik telewizyjny. O dwudziestej brydżyści widzieli go w hallu. Po drugiej spotkali inżyniera wracający z nocnej

zabawy Barańska z dębickim. Jedno jest pewne, o drugiej żył jeszcze. O której zginął?

Dokonujący oględzin lekarz stwierdził, że denat przebywał w wodzie przez dwa lub trzy dni. Krytyczny czas ustalili na noc z 12 na 13 października pomiędzy godziną drugą w nocy a szóstą rano. Po tej bowiem porze ze ścieżki prowadzącej dokoła jeziora korzystali idący do pracy ludzie.

Sprawca zabójstwa musiał o tym wiedzieć i wziął to pod uwagę podczas opracowywania swego planu. Przeworność, precyzja to cechy charakteryzujące sprawców porwania. Te same cechy można dostrzec i tu. Korcz jest niemal pewien, że sprawcy są ci sami. Któż inny zdołałby skłonić inżyniera do spotkania nocą w odludnym miejscu? Czy w innej sprawie zaryzykowałby, bo z ewentualnością pułapki musiał się przecież liczyć?

Powtarzają się także metody działania. Brak na miejscu zdarzeń śladów materialnych, brak świadków. Z tym brakiem śladów materialnych to przesada – myśli Korcz. Mamy nagrany na taśmie głos, ślad płetwy, listy. Konkretnie wnioski nasuwa i przebieg zabójstwa.

Jeszcze raz przegląda ekspertyzy umożliwiające odтворzenie przebiegu nocnej tragedii. Krwiak z tyłu głowy dowodzi, że Lityński został ogłuszony. Znienacka. Na ciele inżyniera nie stwierdzono żadnych śladów stoczonej walki. Nie ma także takich śladów nad jeziorem. Ogłuszony upadł. Tuż za grupą drzew, na żółkłej już trawie, ujawnili wgniecenie. Czyżby tu został

zamordowany? Od tego punktu do oddalonej o kilka metrów ścieżki biegły ślady, wskazujące na to, że ktoś włókł ciało. Ciało czy zwłoki?

Raczej zwłoki. Martwemu sprawca założył na szyję pętlę ze sznura, którego drugi koniec przywiązał do świeżo odłamanej gałęzi, by w ten sposób upozorować zamach samobójczy.

Pozorację obalają ekspertyzy. Gałąź tej grubości nie wytrzymałaby obciążenia większego niż trzydzieści kilogramów. Lityński zaś ważył osiemdziesiąt pięć kilo. Nie mógł zatem się na niej powiesić. Złamałaby się natychmiast pod ciężarem ciała. „A w ogóle – stwierdził ekspert – nie została złamana przez naginanie jej w jednym kierunku, na przykład pod wpływem ciężaru ciała człowieka. W miejscu oderwania jej od drzewa, na samym końcu, pokrywająca gałąź warstwa kory jest jak gdyby skręcona. Wniosek? Po nadłamaniu sprawca wykonał parę skrętnych ruchów, by ją oderwać od pnia”. Z opinii wynika również, że oderwaną w ten sposób gałąź wleczono razem ze zwłokami do brzegu. Jej ciężar powodował tarcie sznurka o szyję i w ten sposób powstały, stwierdzone podczas sekcji, drobne, okrężne otarcia naskórka w tym miejscu.

Wszystko wskazuje, że sprawca działał sam. A skoro tak, musi być człowiekiem silnym i wysportowanym. Sposób zabójstwa poprzez uderzenie w kark i skręcenie głowy pozwala na postawienie hipotezy, iż dokonał go

ten sam człowiek, który był autorem adresowanych do Lityńskiego listów. W ekspertyzie językoznawczej była przecież mowa o człowieku mającym przeszkolenie, wojskowe.

Kto z mieszkańców „Jutrzenki” pasuje do tej charakterystyki, kto może wchodzić w grę jako sprawca zabójstwa? Musiał znać teren – to jasne. Należało więc szukać wśród personelu i tych gości, którzy przyjeżdżają tu często lub przebywają dłużej niż parę dni.

Korcz sprawdzał alibi z niezwykłą skrupulatnością. Okazało się, iż nie miały go cztery osoby: trzy kobiety i jeden mężczyzna – Jan Zwoliński. Ze względu na sposób dokonania zabójstwa w grę wchodził tylko mężczyzna. Zwoliński grał w brydża do pierwszej w nocy. O pierwszej oświadczył, że jest bardzo zmęczony i chce się położyć. Mimo protestów partnerów ulotnił się. Dokąd? Nie wiadomo. Nie zastała go w pokoju powracająca z zabawy Elżbieta. Szukała go, zaszła nawet do biblioteki, gdzie pozostali brydżyści rznęli w pokera.

Zapytany, co robił od pierwszej, odparł, że spał u siebie w pokoju. Przyciśnięty do muru przyznał, że wyszedł na przechadzkę, bo bolała go głowa. Co faktycznie robił, nie udało się dotąd ustalić. Określonym kryteriom odpowiada: jest silny, zdrowy fizycznie i, jak ustalił Korcz, odbywał przeszkolenie wojskowe. Numer jego służbowego samochodu zanotowali wywiadowcy na cmentarzu. Wszystko zaczyna pasować.

Rozdział XXV

Korcza zagłębiony w niskim fotelu pociąga małymi łykami czarną jak smoła herbatę. Biezan pół siedzi, pół leży na tapczanie, sięgając od czasu do czasu po stojącą na niskim stolyczku szklankę z mocną kawą.

Spotykają się teraz często. Wymieniają poglądy, dyskutują. W dalszym ciągu nie są ze sobą oficjalnie związani. Korcza prowadzi sprawę o porwanie, szantaż i zabójstwo Lityńskiego, Biezan, jak sam mówi z uśmiechem, zajmuje się wyjaśnianiem wypadku Glorera, bo dla Władka Ziętary wciąż nie ma sprawy.

– Łamię się – mówi do Korcza. – Ale nie dojrzałem jeszcze do decyzji. Gdybym miał jakiś fakt, który by go przekonał, że mam rację...

– I ja nie jestem o niej przekonany – mówi poważnie Korcza. – Sprawa Lityńskiego jest dla mnie jasna od strony motywu i celowości działania. Dziecko najprawdopodobniej nie żyje. Te pół miliona zapewne mają w ręku jakimś sposobem wydostali teczkę z kajaka, nie wiem. Ale jest to rzecz do ustalenia. Lityński nie ma pieniędzy, nie można więc go dalej doić. Żyjący stwarza potencjalne, a może nie tylko potencjalne, zagrożenie. Wiadomo, będzie niestrudzenie szukał dziecka. Wpadnie, a może już wpadł na jakąś nitkę prowadzącą do sprawców. Nitkę, której nam nie ujawnił. Więc zwabiono go w przygotowaną z góry pułapkę, dostał w łeb i

koniec. Sądzę, że sprawa Glora łączy się z moją sprawą tylko personalnie. Glor utrzymywał kontakty ze Zwolińskim, a ten jest moim głównym podejrzanym.

– Wy tłumacz mi, Andrzej, w jakim celu Zwoliński miałby uczestniczyć w porwaniu małej? Zarabia dobrze, nawet bardzo dobrze, ma pozycję, stanowisko, stosunki w kraju i za granicą. Podejrzewam, że tę i ową firmę, proteguje nie całkiem bezinteresownie. Po co miałby ryzykować? Dla pięciuset tysięcy, którymi musiałby się podzielić ze współnikiem czy współnikami? Taką sumę, w zamian za konkretne „uprzejmości”, może otrzymać ciepłą rączką od przedstawicieli firm zagranicznych. Bez większego ryzyka. Sprawa do niego nie pasuje.

– Pasują obciążające go fakty. Motyw wyjaśni się później. Być może Lityński wiedział o jakichś jego ciemnych sprawkach?

– W tym punkcie zgadzam się z tobą. Można założyć, i to z dużym prawdopodobieństwem, że Zwoliński za wysunięcie „Vipro” jako kooperanta dostał dołą od Glora lub za jego pośrednictwem z centrali „Vipro”. Mógł mieć także obietnicą prowizję za sfinalizowanie tej operacji licencyjnej. Obaj się znali, spotykali na gruncie towarzyskim, to jest bezsporne, obaj byli materialnie zainteresowani w powodzeniu tej imprezy. Gdybyś mi powiedział, że ukartowali to zabójstwo, aby usunąć człowieka, który zagraża ich interesom, nad taką hipotezą zastanowiłbym się serio. Nosi cechy prawdopodobieństwa. Jest faktem, że Glor porozumiał się ze

Zwolińskim. Mieli spotkać się w Widłach, gdzie Zwoliński zamówił mu pokój. Nie można wykluczyć, że Glor podczas wspólnej podróży z Lityńskim zaproponował mu spotkanie w „Jutrzence”. Takie wyjaśnienie wydaje mi się całkiem prawdopodobne. Inżynier zabrał ze sobą jakieś papiery. Po co mu one, jeśli idzie na spotkanie z porywaczami? Jest faktem, że przywiezione przez niego dokumenty zniknęły.

– Tym samym zakładasz, że porwanie i szantaż nie mają związku ze śmiercią Lityńskiego. Że Zwoliński tylko przypadkowo plątał się po cmentarzu? – Korcz patrzy z uśmiechem na Bieżana. Ten zastanawia się długo.

– Może tak, a może i nie – mówi wolno. – A gdyby założyć – urywa. – Nie – mruczy sam do siebie – to hipoteza palcem na wodzie pisana...

– Sądzisz, że dziecko porwano nie tylko dla pieniędzy? Nonsens! Mała zniknęła pierwszego września. W chwili gdy nikt nie wiedział, nikt nie mógł wiedzieć, że Lityński wyjedzie do Szwecji w sprawie tej licencji...

– Dlaczego twierdzisz, że nikt nie wiedział, nie mógł wiedzieć? – Bieżan jest zafrapowany tą koncepcją. – Kandydatura Lityńskiego musiała być przed tym omawiana, uzgadniana w jakimś gronie. Gdyby taka wiadomość przeciekła... Poddałeś mi nową myśl...

– Nonsens! – Korcz wzrusza ramionami. – Powiedzmy, że coś przeciekło, że ktoś komuś na ucho, że o sprawię dowiedział się Zwoliński. I co z tego wynika? Jak mógł przewidzieć, że Lityński zajmie negatywne

stanowisko, że będzie miał jakiegokolwiek zastrzeżenia? Przecież sam mówiłeś, że inżynier zapoznał się z planami inwestycji i ze sprawą licencji dopiero pierwszego września, podczas konferencji, która skończyła się późnym wieczorem. Wówczas porwanie małej było już faktem dokonany. Musiałbyś założyć, że porwano ją na wszelki wypadek albo porywacze byli jasnowidzami.

Bieżan przetrawia te argumenty.

– Może masz rację – mówi po dłuższym namyśle.
– Ale ciągle mi się wydaje, że coś w tym jest. Coś więcej niż zwykła kryminalna sprawa. – Patrzy w zamyśleniu w okno. Orli profil rysuje się na tle firanki. – Zginęły papiery, które wiozł ze sobą Lityński – odwraca głowę. – Zginęły również papiery, które miał przy sobie Głor. Dziwna zbieżność. Jak ją wyjaśnisz, Andrzeju?

– Nie znam faktów i okoliczności towarzyszących zaginięciu papierów Głora. Przywykłem gromadzić fakty i dopiero po ich przeanalizowaniu wysuwać hipotezy. – W ciemnoniebieskich oczach wesołe iskierki. – Hipotezy oparte na motywacjach działań to twoja specjalność.

Strzał jest trafny. Bieżan wybucha śmiechem.

– I ty, Brutusie, przeciwko mnie?! – śmieje się jeszcze przez chwilę, ale już nie tak szczerze. – Gryzie mnie ta sprawa – mówi z powagą. – Z dotychczasowych ustaleń wynika, że nie pozostaje nam nic innego, jak wystąpić do prokuratury z wnioskiem o umorzenie śledztwa. Opinia medyków, samobójstwo spowodowane szokiem powypadkowym, wydaje się przekonująca.

Przyczyną samego wypadku mogło być zdenerwowanie z powodu załamania się transakcji. Wyjaśnienie wysoce prawdopodobne. Podbudowane, jak lubisz, faktami. Można też założyć, że Głor przywiózł długopis właśnie teraz z Londynu i trzymał go w wozie, dlatego nie widziała go ani sekretarka, ani Widomska. To też prawdopodobne. Podczas odprawy celnej również nikt go nie zauważył. Celnicy szukają cennych przedmiotów, kto by tam zwracał uwagę na długopis przewożony przez przedstawiciela zagranicznej firmy. Z faktu, że miał przy sobie piętnaście tysięcy dolarów, można wyciągnąć wnioski, że zamierzał sam, albo wspólnie ze Zwolińskim, podjąć próbę przekupienia Lityńskiego, a dopiero później, gdyby dolary nie okazały się wystarczającym argumentem, sięgnąć do ostatecznych środków. Właśnie w tym celu zaopatrzył się w broń W postaci długopisu, broń cichą, skuteczną z bliskiej odległości, trudną do zidentyfikowania, łatwą do usunięcia. Jest bezsporne – ciągnie dalej – że Zwoliński, zamówiwszy pokój, czekał na przyjazd Głora. Że widział zdjęcia krakusy w dzienniku telewizyjnym. Przyjrzałem się im raz jeszcze dokładnie. Numer rejestracyjny wozu jest widoczny, niejako na pierwszym planie. Na innym zdjęciu można rozpoznać twarz denata. Elżbieta Barańska, jak sam ustaliłeś, dostrzegła, że „mąż” zdenerwował się. Nie wiedziała, że był z Glorem umówiony. Nie знаła Głora. Dwunastego października o dwudziestej Zwoliński wiedział już, że współnik nie żyje. Sam załatwił sprawę. Narzędziem, służącym do ogłuszenia, mógł

być kamień lub gruby kij. Skręcił Lityńskiemu kark, upozorował samobójstwo, zabrał papiery i wrócił do domu. Barańska już spała, dlatego nie można ustalić godziny. Wszystko jest logicznie uzasadnione. Pasuje. I do twoich ustaleń też. Pasuje – powtarza. – Trochę jak obraz namalowany po to, by wzbudzić określone wrażenie. Nie lubię, jak mi tak wszystko gra.

– No, nie przesadzaj! Przecież to domek z kart. Wystarczy dmuchnąć i się rozleci. Chyba nie sądzisz, że Zwoliński i Glor zaplanowali morderstwo, umówili się z Lityńskim w jednym pensjonacie i zostawili swoje wizytówki organom ścigania? Jest także parę innych faktów...

Bieżan się śmieje.

– Na uparteo te fakty można logicznie wyjaśnić. Jeśli przyjmiemy, że ktoś Glorowi zajechał drogę, można to uznać za pozbawione cech zbrodniczej premedytacji. Po prostu czysty przypadek. Wgniecenie szyby do środka, jednak wgniecenie, a nie stłuczenie, to nie wynik zderzenia. Przesłuchałem raz jeszcze reporterów z telewizji. Zaklinają się, że to nie oni. Kiedy oglądali wóz, w bocznym oknie nie było już szyby. Ale gdyby ją wgnietli, też by się nie przyznali. Musiałbym im udowodnić... Ale jest jeszcze jedna możliwość.

– Jaka?

– Oprócz badań mających na celu odtworzenie toru jazdy i przebiegu samego wypadku zarządziłem badania mikrośladów ujawnionych we wnętrzu wozu i na ubraniu denata. Znaleźli jakieś mikrowłókienka i ustalili, że

nie pochodzą one z ubrania Glora.

– To niewiele znaczy. – Korcz nastawiony jest sceptycznie. – Może się okazać, że otarł się o kogoś za życia lub pozostawili je ci dziennikarze.

– Te wszystkie koncepcje są palcem na wodzie pisane.

Po raz pierwszy Korcz widzi, że Bieżan oklapł. Nie dziwi się. Utknęli w martwym punkcie.

Rozdział XXVI

Przeszukiwanie willi Widomskiej trwa już trzy godziny. Bieżan osobiście pilnuje swoich ludzi. Tym razem nie chce zdać się nawet na Janka Wronę.

– Nowy system kontroli? – spytał Wrona złośliwie na widok podjeżdżającego pod dom Bieżana. – Straciłeś do mnie zaufanie!

Jak mu to wyjaśnić? Bieżan wie, że Janek, choć niby żartuje, czuje się trochę tym nadzorem dotknięty.

– Przeszukanie stanowi ostatnią szansę wyjaśnienia sprawy – mówi otwarcie. – Wierzę ci, Jasiu, jak samemu sobie, a sobie samemu też nie zawsze wierzę. I dlatego tu jestem.

Wrona się rozchmurza. Przekonała go ta szczerłość. Ceni ją sobie wysoko. Szanuje i lubi Bieżana. Wie, że Jerzy jest wymagający, że, kiedy trzeba, potrafi podkreślić, ochrzanić, ale na tym się sprawa zaczyna i kończy.

Nic nie wychodzi poza obręb pokoju, w którym odbywa się rozmowa. Wie, że Bieżan czuje się odpowiedzialny za nich, swoich ludzi, że jest koleżeński, uczynny, umiejący pomóc w trudnych sytuacjach. Nigdy nikogo nie obmawia, nigdy nikomu nie podstawią stołka. Umie walczyć o swoje racje i poglądy. Rzadka rzecz – myśli Wrona, spoglądając spod oka na spacerującego po pokoju szefa. O mało nie wyskoczy ze skóry – ocenia.

Ocena jest trafna. Bieżana trawi niecierpliwość. Mija godzina za godziną, przeszukują pokój za pokojem i wciąż nic. Obserwuje asystującą im Widomską. Chmurna i milcząca, ale spokojna. W pierwszej chwili, gdy się dowiedziała, że u niej właśnie mają przeprowadzić rewizję, stanęła okoniem.

– Jakim prawem, dlaczego? – spytała marszcząc brwi i zasłaniając sobą wejście.

Na widok nakazu prokuratora przybladła i cofnęła się bez słowa. Teraz chodzi za nimi krok w krok, patrzy im na ręce, jakby się obawiała, że coś jej ukradną.

Gdy Janek Wrona, przeszukując bieliźniarkę, wyciągnął spod prześcieradeł gruby plik dolarów, Widomską stanęła przy nim i wyciągnęła rękę:

– To moje – powiedziała twardo. – Nie ma zakazu posiadania dolarów.

– Ano nie ma – przytakuje Wrona. – Chyba że te dolary pochodzą z nielegalnych transakcji albo – zawsze głoś dla spotęgowania efektu – od cudzoziemca dewizowego. Jak, na przykład, pani narzeczony.

– To nie jego, to moje – powtarza. – Nie dam.
– Nie zamierzamy zabezpieczać tych pieniędzy – mówi spokojnie Bieżan. – Chciałbym jednak znać ich pochodzenie.

– To moje. Dostałam od rodziny w Stanach – uzupełnia poprzednie wyjaśnienie.

– Pani ma rodzinę w Stanach? Chciałbym znać nazwiska.

– Białki się nazywają – mówi po namyśle. – Przesyła mi w listach.

– Jasiu, policz, ile tam tego jest, i zapisz numery – zwraca się Bieżan do Wrony.

– Przeliczyłem. Pięć tysięcy dolarów – odpowiada Wrona.

– Taką kwotę przysłali pani w listach?

– Nie od razu. Uzbierało się tyle przez lata.

Bieżan nie pyta już więcej. Jest niemal pewien, że te dolary były własnością Glora. Dał jej, czy sama wzięła, mniejsza z tym. Nieważne. Wyjaśni się po skończonym przeszukaniu. W zależności od innych ustaleń.

Na razie na te inne interesujące Bieżana ustalenia nic nie wskazuje. Jeszcze tylko dwa pokoje i strych. Jeśli tam nic nie znajdą, trzeba będzie przeszukać teren szklarni.

Tę samą perspektywę dostrzega i Wrona. Spogląda przez okno, wzdycha. Cztery tysiące metrów kwadratowych. Roboty gigant. Znosi się na ładnych parę dni. A on, Wrona, właśnie sobie na jutro zaplanował domowe

porządku. Aż wstyd się przyznać szefom. Oboje z żoną postanowili wreszcie zapastować podłogę w nowym mieszkaniu i umyć okna zapaćkane jeszcze farbą. Nigdy dotąd nie miał na to czasu. Nawali, Hanka znów będzie miała pretensję, a awantura w domu to gorsze niż opieprz od szefa. Bieżan powie swoje i skończy, a kobieta... Uff! Nagranie przez dwa tygodnie. Nie ma gdzie uciec, koniec końców wraca się do domu, nawet jeśli z takich właśnie względów chce się te powroty opóźnić. Bieżan tego nie rozumie. Nie ożenił się dotąd. A Ziętara potrafił przyuczyć swoją połowicę. Cóż dziwnego! Przez dwadzieścia lat małżeństwa! A ja dopiero pół roku się męczę, wzdycha grzebiąc w szafce wypełnionej książkami. Przegląda je kartka po kartce. Na szczęście, niewiele tego jest. Gdyby tak zechciała pozować na intelektualistkę, dopiero miałbym bal! W książkach nie ma nic interesującego. Jakiś przepis na zupę, inny na mięso. Może chłopaki mają większe szczęście – patrzy spod oka na ludzi zajętych przeglądaniem nagromadzonych w biurku papierów.

Żeby się udało znaleźć w samym domu – marzy. I sam nie bardzo wierzy w spełnienie tych marzeń.

Podobny problem zaprzęta myśli Bieżana. Jeśli dysponował jakimś wyposażeniem, trzymał je z dala od ludzkich oczu, ale jednocześnie w miejscu, do którego miał dostęp bez zwracania niczyjej uwagi. Widomska nie musiała o tym wiedzieć.

Po mieszkaniu kręcą się wszyscy. Kucharka, która

gotuje dla zatrudnianych w szklarniach ludzi, i służąca sprzątająca pokoje. Wchodzą tu także robotnicy.

Skrytka w meblach odpada. Przeszukali już zresztą dokładnie ciężkie mahoniowe sprzęty, mające w pojęciu pani domu świadczyć o jej standardzie życiowym, podobnie jak porozstawiane wszędzie kryształę, wyroby ze srebra, oprawione w ciężkie pozlacane ramy obrazy. Obrazy? Raczej kicze. Wizerunki świętych, widoczki, jakie spotyka się często na wiejskich jarmarkach.

Na podłogach drogie, niegustowne dywany. Wolę swoje szmaciaki – myśli Bieżan. Są tanie, ale ładne. Bezpretensjonalne. Tu wszystko świadczy o mieszczańskich gustach. Nie znosi takich mieszkań. Jak w lustrze odbija się w nich prawdziwa twarz właścicieli. Ich poziom, ambicje, aspiracje. Tu sprawa jest oczywista. Bogata chłopka, która z miasta wzięła to, co najgorsze. Meble na wysoki połysk, trochę cywilizacji w postaci nowoczesnych, urządzeń i nic więcej.

Nowoczesność. W szafce czterościeżkowy magnetofon i całe góry taśm. W drugiej połowie – gramofon i płyty.

Wrona sprawdza, czy nie ma tu jakiejś skrytki. Nie. Fiasko.

Bieżan obserwuje Widomską. A nuż się zdradzi, a nuż jakiś gest czy grymas będzie dla nich wskazówką, że właśnie tu warto szukać. Ale ona zachowuje się obojętnie, tak spokojnie i obojętnie, jakby była pewna, że poszukiwania nie mogą przynieść żadnych kompromitujących ją rezultatów. Nie wie, czego szukamy. Nie musi

wiedzieć o nadprogramowych zajęciach Glora. I stąd ten spokój. Bała się tylko o dolary. A kiedy zobaczyła, że nas jej finansowe zapasy nie interesują, że nie chcemy rozliczać jej gospodarstwa i badać ksiąg, niema] przestała się nami interesować. Traktuje nas jak dopust boży, ale nie za bardzo szkodliwy. Bieżan jest zdenerwowany brakiem wyników.

Jeśli i tu nie znajdziemy nic, trudno będzie przekonać Ziętarę o potrzebie prowadzenia dalszego śledztwa – myśli skłopotany. Wygląda na niewypał – ocenia tę rewizję.

Ostatnie pomieszczenie – strych.

Wchodzi jeden za drugim po wąskich drewnianych schodach.

Strych zawalony rupieciami. Połamane stoły, krzesła, jakieś stare skrzynie, paczki z papierami, rozlatujące się skrzynki od owoców, stołki, słoje, deski – wszystko pokryte kurzem. Kurz, wirujący pasmami w świetle elektrycznym, aż dusi.

– Bierzcie się za robotę – komenderuje Wrona, spoglądając żałośnie na szefa, który ich wplątał w tę kabałę. Gorsze to niż przekopywanie ogrodu. Tam przynajmniej jest się na świeżym powietrzu.

Tu każdy ruch wznieca tumany kurzu. Wkrótce wszyscy są nim pokryci. Kichanie i kaszel słychać z każdego kąta.

Widomska zostawiła ich samych. To też dodatkowa wskazówka, że nic tu nie znajdą. Jak na skrytkę – miejsce raczej kiepskie. Sam Bieżan jest o tym przekonany.

Ale przeszukać trzeba. Więc pomaga ekipie. Przerzuca z miejsca na miejsce połamane graty. Ma tego dość. Chciałby skończyć z tym bałaganem. Przesuwa w inny kąt dwie potrzaskane skrzynki. Pod nimi tkwi jakieś żelastwo. Bierze za uchwyt, podnosi do góry. Trzyma w rękę nowoczesną kasetę pancerną z wyłamanym wiekiem.

– Chodź tu – wzywa Wronę. – Popatrz, co znalazłem w tej rupieciarni. Jest i firmowa plakietka. Musiała należeć do Glora.

Bieżan schodzi na dół z zadowoloną miną.

– Może mi pani powie – odnajduje Widomską – do kogo należy ta kasetka?

Z satysfakcją obserwuje jej zmieszanie.

– To... – zastanawia się długą chwilę. – Narzeczonny to kiedyś zostawił. Trzymał tu dokumenty.

– Kto otworzył tę kasetę?

– Arnold. Zgubił klucz, drugiego nie miał. Trzeba było rozbić. Potem ją wyrzucił. Schowałam na strychu. Sądziłam, że może kiedyś się przyda. – Teraz już mówi płynnie, jak nakręcona.

Bieżan jest pewien. To ona. Być może po śmierci narzeczonego szukała pieniędzy, kosztowności. Te pięć tysięcy dolarów. Czy tylko to? Jeśli się okaże, że klucz pasuje, wezmę ją w obroty – postanawia.

– Kończcie beze mnie – mówi do Wrony. – Protokół i tak dalej. Ja wracam do firmy.

Z rozbitą kasetą wskakuje do wozu.

Rozdział XXVII

Informacji jest wciąż zbyt mało w stosunku do potrzeb. Ale skoro Ziętara zdecydował, że na razie nie ma sprawy, nie ma i ludzi, których można by pchnąć do roboty. Nie ma też podstaw do prowadzenia obserwacji, która odsłoniłaby wiele wzajemnych kontaktów i aktualnych związków.

Tych paru wywiadowców, którymi Bieżan dysponuje, dwoi się i troi, ale wiadomo, cudów nie ma. Robią tyle, ile mogą. Dzień ma określoną liczbę godzin. Więc i rezultaty są raczej mizerne.

Na razie skoncentrowali się na najbardziej interesującej Bieżana postaci, starają się poznać życiorys inżyniera Adama Białka. Inżynier elektronik, konkurent Lityńskiego, kuzyn Widomskiej, który przywiózł do niej Glora, jest, jak ustalili, zaprzyjaźniony z wieloma przedstawicielami zagranicznych firm handlowych.

Białek, podobnie jak Widomska, pochodzi ze średnio zamożnej rodziny chłopskiej. Paru jej członków jeszcze przed wojną wyemigrowało za chlebem. Widomska powiedziała prawdę, ale jest to prawda połowiczna. Białkowie – dwaj stryjowie Adama mieszkający w Kanadzie, majątku nie zbili. Pracowali ciężko przy wyrębie lasów i tyle akurat mają, ile im potrzeba do zaspokojenia własnych potrzeb. Żyją skromnie, do wspomagania rodziny w kraju raczej się nie kwapią. Ograniczają

się jedynie do wysyłania świątecznych pocztówek i krótkich informacji. Więc i znalezione u Widomskiej dolary nie mogą pochodzić od nich.

Białek nie utrzymuje z nimi stosunków. W swoim środowisku zawodowym uchodzi za zdolnego elektrotechnika. Cóż z tego, kiedy nie potrafi zdobyć uznania zwierzchników, wysoko oceniających ludzi, którzy wydane przez nich polecenia wykonują natychmiast i bez dyskusji.

Takim był właśnie Lityński, stwierdzili koledzy z pracy. Robił wszystko, byle tylko wspiąć się w górę. Szczebel po szczebłu. Prawda, że zapracował na tę swoją pozycję – był zdolny, dokładny, wysuwał ciekawe koncepcje – ale cóż by to wszystko znaczyło, gdyby jednocześnie nie zadbał o stosunki ułatwiające karierę, gdyby nie umiał wkręcić się w różne aktualne układy, opowiadając się zawsze po właściwej stronie?

U siebie w domu przyjmował tylko ludzi znaczących dziś lub mających perspektywę w przyszłości. Innych nie zapraszał. Nie miał przyjaciół, tylko stosunki, dlatego chyba nikt go u nas naprawdę nie żałuje – mówią koledzy Lityńskiego, usprawiedliwiając żonę, która od niego odeszła. Nie żyje się na co dzień z willą i samochodem. Musiało być jej trudno. Z nim. Egoista. Pochłonięty tylko pracą. Robieniem pieniędzy.

Konkurent Lityńskiego, inżynier Białek, równie jak on nie lubiany, jest innym typem człowieka. Z chłopskim uporem forsuje swoje koncepcje i poglądy, nie zważając na to, czy są zgodne czy sprzeczne z poglądami szefów.

Z tej właśnie racji przed laty doszło do konfliktu. Białek żądał zmian kadrowych. Wytykał kierownictwu brak elastyczności, nieznajomości zagadnień, kiepską organizację pracy.

Memoriał narobił dużo szumu. Poddano go ocenie specjalistów, wśród których znalazł się i Lityński, wysunięty przez kierownictwo. Jego zdanie zadecydowało o negatywnej ocenie propozycji Białka.

Od tego czasu szefowie przy każdej okazji mówią, że Białek ma trudny charakter. Tolerują go dlatego, by nikt ich nie posądził o niewłaściwy stosunek do krytyki, ale też i nie awansuje. Jego prace wydaje się wówczas, gdy już nie ma innych przygotowanych do publikacji.

On sam żyje na uboczu. Jest twardy, mrukliwy, brak mu towarzyskiej ogłady.

Skąd więc te stosunki z zagranicznymi? Jak je ponawiały? – zastanawia się Bieżan.

Wyjaśnienie okazało się nadspodziewanie proste. W życiu tego odludka, dziwaka, są dwie kobiety. Jedną z nich była Joanna Bilińska. Była, bo wypytyjąc sąsiadów Białka ustalono, że właśnie 12 października nastąpił krytyczny moment w ich wzajemnych stosunkach. Chyba się rozeszli, bo tego dnia Bilińska wypadła z mieszkania Białka jak nieprzytomna i od tego czasu nikt jej nie widział. Tu tkwił więc powód jej zdenerwowania. Ona sama wypadła z orbity zainteresowań Bieżana również dlatego, że w krytycznym, jeśli chodzi o śmierć Glora, czasie zmieniała koło na szosie. Udało się odszukać świadka, chłopca, który jej pomagał. Tak więc

Bieżan skreślił ją ze swego rejestru i polecił zebrać informacje o sąsiadce Glora, Cecylii Zimońskiej. Okazało się, że Cecylia, aktualna flama Białka, była magnesem przyciągającym zagranicznych gości. Efektowna, błyskotliwa, znająca języki, córka Węgra i Polki, zainteresowała Białka zapewne swoją innością. Uosabiała to wszystko, czego mu brakowało. Obrotność, rzutkość, łatwość bycia, nawiązywania kontaktów. Wokół siebie skupiła grono zagranicznych. Potrafiła korzystać z ich uprzejmości, zaproszeń i siłą rzeczy wciągnęła w tę orbitę Adama. Przez nią, jak się okazało, poznał Glora i na jej prośbę zawiózł go do Widomskiej. Taki był jego wkład w związek: Widomska – Glor. Glora spotykał często u Zimońskiej. Nierzadko we dwoje odwiedzali sąsiada. Wpadali do niego na przyjęcia. Zimońska lubiła przyjęcia.

Bieżan zaszedł do niej. Chciał pogadać o Glorze. I on ma łatwość w nawiązywaniu kontaktów, zwłaszcza z kobietami, którym się podoba. O tych jego sukcesach koledzy opowiadają legendy i dowcipy, przyjmują za dobrą monetę tezę, że nie żeni się dlatego, bo zbyt wiele jest pięknych kobiet, by z nich zrezygnować wybierając jedną. Tylko Ziętara zna prawdę. Wie, że przyjaciel głęboko przeżył tragiczną śmierć kobiety, którą kochał. I wciąż jeszcze pamięta.

Zimońska przyjęła go gościnnie, niemal serdecznie. Nie dziwiła jej wizyta oficera. Wiedziała, że w sprawie wypadku toczy się śledztwo. Ciekawa była, jak to się mogło stać. „Nie widziałam go tego dnia – stwierdziła.

– Ale wiem, że świetnie prowadził wóz. Nieraz i mnie woził. Straszna historia – podkreśla. – Bardzo lubiłam Arnolda. Miły człowiek. Jako rozmówca nie najciekawszy, więc zwykle bawił go Adam. Mieli wspólne zainteresowania elektroniką. Ja wolę ludzi o szerszych horyzontach niż Glor i o nieco wyższym poziomie – w słowach było nieco ironii – ale i tacy jak Glor przydadzą się”.

Po tej rozmowie i po analizie dotychczasowych ustaleń przestał interesować się panią Zimońską.

Znów odpadła jedna z możliwości rozwiązania zagadki. Nadzieja na to rozwiązanie kurczyła się. Do Ziętary nie ma po co chodzić. Lepiej unikać przyjaciela. Zacznie wypytywać i przy osiągniętych dotąd mizernych rezultatach każe skończyć te, jak mówi, wyjaśnienia. Ostatnią deską ratunku jest porzucona kasetka. Na jutro ekspert ma przygotować opinię. Do jutra jeszcze tyle czasu. Może bezpieczniej nie wracać do bazy, nie narażać się na przypadkowe spotkanie z szefem, na dodatkowe pytania.

Decyduje się jechać do Andrzeja. Może on znalazł jakiś punkt zaczepienia? Te sprawy się łączą, muszą się łączyć – analizuje w myślach diskutowane wspólnie koncepcje. Może ruszył z miejsca?

Jedno spojrzenie na zmartwioną twarz Korcza wyjaśnia sytuację.

– Nic nie wychodzi – mówi Andrzej, jakby odpowiadając na nie zadane pytanie. – Martwy punkt.

– Zidentyfikowałeś wszystkich fotografowanych na cmentarzu?

– Gdzie tam! Idzie jak z kamienia. Od początku wszystko idzie jak z kamienia. Miałem parę sygnałów. Dalekopis z informacją, że widziano dziewczynkę; podobną w Bydgoszczy. Drugi sygnał nadszedł ze Słupska. Kazałem sprawdzić dokładnie. Sprawdzili. Nie to dziecko! Pomylili się nasi funkcjonariusze. Tak naprawdę, to nie mam już nadziei na uratowanie tej małej. Ale oni muszą trafić pod klucz. – W głosie Korcza zawziętość.

– Słuchaj, Andrzej, mam pomysł – mówi Biezan wolno. – Gdybyśmy zrobili tak...

Korc się ożywia. Błyszczą mu oczy.

– Podoba mi się ten pomysł – oświadcza.

Chwilę później obaj zagłębiają się w dyskusji o szczegółach związanych z realizacją Biezanowego pomysłu.

Rozdział XXVIII

Na biurku stygnie kawa. Róg szeroko rozłożonej, codziennej gazety opiera się o spodek. Na rozkładówce długi, podwójny rząd zdjęć. Same twarze Młodzi i starzy, mężczyźni i kobiety. Nad tym pasem widnieje ręcznie złożony tytuł: Konkurs. Poznaj siebie i swoich znajomych.

Biezan z lekkim uśmiechem czyta informację o warunkach konkursu i przewidzianych dla zwycięzców nagrodach. Są wśród nich radia, magnetofony, aparaty fotograficzne, książki.

Raz jeszcze uważnie przygląda się zdjęciom. Nie-
trudno będzie rozpoznać te twarze. Odbitki są dobre.
Chemigrafia zdała egzamin na piątkę. Wolno składa
gazetę, wsuwa ją do szuflady. Teraz sięga po ekspertyzy
złożone w zielonej kartonowej teczce.

Przygląda się naklejonym na karton zdjęciom powy-
ginanego wieka kasety. Strzałki wskazują miejsca, w
których podważano je jakimś narzędziem. Czyta cha-
rakterystykę użytych do tego celu narzędzi.

Odkłada opinię. Sięga po mechanoskopijną eksper-
tyzę zamka. Badania ujawniły próby otwierania go in-
nym niż właściwy kluczem. I dalej. Dla niego najbar-
dziej istotne stwierdzenie: Nadesłany do badań płaski
kluczyk jest kluczem właściwym.

Uśmiecha się sam do siebie. Wreszcie niezbity do-
wód, że kasetka należała do Glora. A skoro tak, skoro ten
właściwy klucz znaleziono przy denacie, nie Głor był
tym, który musiał siłą wywazać wieko. Wreszcie jest
jakiś punkt zaczepienia.

Wsusza ekspertyzy do teczki, dzwoni po Jasia Wronę
i pogwizdując wesoło zbiega do samochodu. Może na-
reszcie coś się ruszy.

Widomska nie okazuje zdziwienia. Prowadzi ich do
tego samego pokoju, w którym słuchała relacji Bieżana
o tragicznej śmierci narzeczonego. Siada w tym samym
miejscu i, jak wówczas, kładzie wyciągnięte ręce na
okrywającej stół serwecie. Nie odzywa się. Czeka.

– Da kogo należy zabezpieczona przez nas pancern-
na kasetka, którą znaleźliśmy na strychu?

– Już mówiłam – wzrusza ramionami. – Do Arnolda.

– Od kiedy ta kasetka jest w pani domu?

– Będzie już ze dwa lata, jak ją u mnie zostawił. Uważał, że tu bezpieczniej. W Warszawie mieszkał w wynajętym pokoju.

– Kto i kiedy wyłamał to wieko?

– Też mówiłam. Arnold zgubił klucz i otwierał na siłę ze dwa miesiące temu. Coś chciał wyjąć.

– Przecież oglądała pani rzeczy denata. Dlaczego nie rozpoznała pani znalezionego przy nim płaskiego kluczyka od kasety?

– A był? Może Arnold najpierw zgubił, a potem gdzieś znalazł ten klucz.

– Dość już tych bajek – Bieżan zmienia ton. – To nie Arnold Glor, a pani siłą otworzyła kasetę, dowiedziawszy się o jego śmierci. Ściślej mówiąc, włamała się pani do jego kasety. Czego pani tam szukała? Pieńędzy?

– Było, jak mówiłam – powtarza z uporem.

– Jeśli nadal będzie pani tak kręcić, każę panią zatrzymać pod zarzutem współdziałania z agentem obcego wywiadu – strzela na wiwat, chcąc ją nastraszyć. – Taki zarzut ciążył na Arnoldzie Glorze. Teraz, gdy już nie żyje... – urywa.

Ten strzał daje oczekiwane rezultaty. Oczy kobiety rozszerzają się gwałtownie. Widomska blednie, otwiera usta, jakby nie mogła złapać tchu.

– Co też pan mówi?! Arnold?! – Łapie się za głowę. – To nie może być prawdą! On tylko interesu pilnował.

– Był agentem obcego wywiadu – Bieżan mówi twardym, ostrym tonem. – Niech pani nie udaje, że nic pani o tym nie wiedziała.

Widzi, że Widomska trzęsie się cała. Ręce wpija w krawędź stołu, jakby samo utrzymanie się na krześle sprawiało jej trudność.

– Taka rzecz. Jak on mógł? Ryzykować, że straci wszystko, co ma. Że, jak złapią, straci majątek.

– I panią naraził na więzienie i wypadek mienia.

Ten argument działa nader skutecznie. Widomska jest przerażona.

– Co, i mnie to grozi? Powiem, wszystko powiem. Niech pan pyta.

– Co było w kasecie oprócz pieniędzy? Pani przecie szukała w niej pieniędzy – brzmi to jak stwierdzenie.

– Tak – mówi cicho. – Skoro nie żył, a ja mam jego pełnomocnictwo, mnie się należy.

– Te pięć tysięcy dolarów wzięła pani stamtąd?

Znów potakujący ruch głowy.

– Pan je zabierze?

– Jeśli mi pani powie całą prawdę...

Jest zrezygnowana.

– Powiem. Przecie mówię, jak było.

– Co prócz pieniędzy znalazła pani w kasecie?

– Trzymał tam jakieś papiery i włożył taśmę.

- Jaką taśmę? Z maszyny do pisania?
- Nie, z magnetofonu. Miał taki japoński magnetofon. Do nagrywania. Zawsze go woził ze sobą.
- Co nagrał na tej taśmie?
- Nie wiem.
- Co pani z nią zrobiła?
- Gdzieś rzuciłam. Papiery schowałam. Miałam przejrzeć, a potem spalić. Chyba żeby były ważne, wartościowe. Potrzebne do starań o majątek albo i co innego. Mogła być polisa z ubezpieczenia.
- Proszę przynieść papiery i taśmę. Janku, idź z panią.

Czeka niecierpliwie. Dlaczego to trwa tak długo? Pewnie schowała głęboko – odpowiada sam sobie.” Tak, żeby nikt nie znalazł. Jeśli nie przyniesie, trzeba będzie przeszukiwać dom i cały teren. Mam jednak odrobinę szczęścia – myśli o znalezionej na strychu kasecie.

Patrzy przez okno na drzewa tworzące wysoki szpa-
ler wzdłuż drogi. Na iskrzące się w słońcu dachy
szklarni, okien inspektowych. Wszystko lśni. Oślepia.
Oczy boją od tego plasku. Jeszcze godzina, dwie, trzy i
blask zniknie o zachodzie słońca. I wówczas, odwrotnie
jak w bajce o Kopciuszku, pełne blasku kwadraty za-
mienią się w to, czym są naprawdę, staną się zwykłym
brudnym szkłem, świecącym odbitym blaskiem. Cudzy
blask, cudze piórka... Pod spodem nicość. Czy taka oka-
że się prawda o interesujących go ludziach? Wszystko
za blask złota, kariery? Myśli o Glorze, Lityńskim,

Zwolińskim... Ilu jeszcze? Kim się okażą sprawcy porwania? Kto i dlaczego sprzątnął Glora? Lityńskiego?

Odgłos kroków przerywa rozmyślania. Nareszcie są z powrotem.

Widomska niesie plik papierów.

– Tam je trzymał – mówi.

Bieżan przerzuca je pobieżnie. Dokumenty, rachunki, karteluski.

– Nic pani nie zniszczyła?

– Nie.

Tym razem jest pewien, że baba nie kłamie. Boi się. Woli już nawet stracić te dolary, byle tylko nie to oskarżenie.

– Gdzie jest taśma?

Rozkłada ręce.

– Nie wiem. Rzuciłam ją w kąt. Może wsadziłam do innych taśm.

– Kiedy tę taśmę schował do kasety?

– Po powrocie. Nie mówił, co na niej nagrał. On nigdy takich rzeczy nie opowiadał.

– Czy te papiery schował po powrocie z Londynu?

– Nie, leżały od dawna.

– Co jeszcze w niej przechowywał?

– Nie wiem. Myślałam, że pieniądze. Parę razy wkładał do kasety większe kwoty w dolarach. Przy mnie. Po co miały leżeć bezużytecznie? Sprawię mu pogrzeb i nagrobek, jak należy.

– Niech pani da już spokój z tymi dolarami! Gdzie trzymał kasetę?

– Zaraz panom pokażę.

Idą za nią do małego, przylegającego do sypialni po-
koiczku.

Widomska przesuwa obraz, który kryje małą wnękę.

– Tu.

Bieżan patrzy z wyrzutem na Jasia. Tu właśnie nie
szukali. Wrona w odpowiedzi wzrusza ramionami.

– Sam byłeś przy tym – mruczy. – Myślałeś, że
pańskie oko konia tuczy. Nie zawsze...

Bieżan puszcza tę odpowiedź mimo uszu.

– Gdzie są te taśmy? – zwraca się do Widomskiej.

Ta prowadzi ich do małej, przeszukiwanej już szafki.
Otwiera ją. W pudle jest cała góra taśm.

Ładują je w dostarczony przez gospodynię worek.

– Będziesz miał teraz robótkę – mówi do Jasia. –
Trzeba je natychmiast przegrać.

Rozdział XXIX

Przeciągły sygnał telefonu wyrywa Bieżana ze snu.

– Słucham – odzywa się sennym głosem.

– Mamy nowy wypadek – Korcz akcentuje ostatnie
słowo. – Śmiertelny. Wysyłam po ciebie radiowóz. Kie-
rowca wie, gdzie to jest.

Telegraficznego stylu nauczył się od porywaczy!
Bieżan oprzytomniał błyskawicznie. Bierze prysznic,
jest już prawie gotów, gdy odzywa się dzwonek przy
drzwiach.

– Ja po towarzysza majora – melduje się kierowca.
– Dobrze, już schodzę. – Wciąga na siebie sweter, chwyta palto, zakłada je już w windzie. – Co to za wypadek? – pyta kierowcę.

– Nic nie wiem. Kapitan kazał was przywieźć na Gwiazdzistą. To jest na Marymoncie.

Pędzą przez uśpione o tej porze miasto. Bieżan dopiero teraz patrzy na zegarek. Druga w nocy. Pora kojarzy mu się z zabójstwem Lityńskiego.

Gwiazdzista jest wymarłą o tej porze ulicą. Po jednej stronie ciągną się tereny ogródków działkowych. Z drugiej parę ruder.

Okna ich są ciemne jak i uliczka. Świeci się tylko jedna latarnia.

Miejsce, gdzie stoją radiowozy, wóz techniczny i karetka, znaczą z daleka smugi reflektorowych świateł.

Bieżan wyskakuje z wozu. Przedziera się przez grupę funkcjonariuszy, otaczających miejsce zdarzenia.

Na oko zwykły wypadek drogowy. Fiat 132 wbity w betonowy słup. Na siedzeniu, jak niedbale rzucony worek, bezwładna, pochylona w prawo sylwetka kierowcy. Obok tkwi laska.

W błysku fleszy Bieżan dostrzega stojącego z boku Korcza. Podchodzi do niego.

– Odkrył go patrol – mówi Korcz półgłosem. – Wezwali drogówkę i mnie zawiadomili. Kazałem meldować o wszystkich śmiertelnych wypadkach. Jutro i ty będziesz miał notatkę.

– Ta kraksa kojarzy mi się z Glorem.

Korcz myśli tak samo. Za wcześniej jednak na wnio-
ski.

Przy wyciągniętych z wozu zwłokach kierowcy przykłęka lekarz. Podchodzą do niego obaj. Z napię-
ciem czekają na opinię. Trwa to dość długo. Lekarz nie
spieszy się. Dokładnie ogląda zwłoki. Wreszcie się
podnosi.

– Moim zdaniem – mówi z wahaniem – zgon na-
stał między godziną jedenastą a pierwszą w nocy.

– Jaka była przyczyna zgonu? Obrażenia doznane
w wypadku?

– Nie. To właśnie jest dziwne. Obrażeń wypad-
kowych nie stwierdziłem. Śmierć nastąpiła wskutek
rozerwania kręgosłupa i rdzenia kręgowego. On ma
skręcony kark. Nieboszczyk prowadzący samochód i
powodujący kraksę?! Może się zresztą mylę. Sekcja
wykaże.

Skręcony kark! Jak u Lityńskiego – myśli Korcz

– Miał przy sobie dokumenty? – pyta funkcyjna-
riusz.

– Tak.

– Dajcie!

W miękkim, czarnym, skórzanym portfelu gruby plik
tysiąc złotych banknotów. Korcz sięga do innej prze-
gródki. Wyciąga dowód rejestracyjny wozu, dowód
osobisty i legitymację służbową denata. Otwiera naj-
pierw legitymację.

– Janusz Kowalski, zamieszkały w Warszawie,
ulica Świętojerska pięć – czyta półgłosem. – Był

etatowym sekretarzem klubu płetwonurków – mówi podnieconym głosem do Bieżana, zaglądnącego mu przez ramię. – Słuchaj! Jak tylko skończą oględziny, jedziemy do mieszkania. Ten ślad płetwy...

Bieżan wie, o co Korczowi chodzi. Podczas akcji nad Wisłą zabezpieczono taki ślad. A, ten był płetwonurkiem...

Karetką zabiera zwłoki. Funkcjonariusze „drogówki” wykonują pomiary śladów hamowania, fotografują je, fotografują samochód dookoła i jego wnętrze.

Korcz wydaje ostatnie polecenia.

– Resztę zrobią sami – zwraca się do Bieżana. – Jedźmy pod ten adres. – Zabiera dwóch funkcjonariuszy. – Sprowadźcie ciecica – poleca im, gdy radiowóz zatrzymuje się przed domem na Świętojerskiej.

Janusz Kowalski figuruje na liście lokatorów pod numerem piątym. Bezszelestnie wchodzi na drugie piętro. Korcz naciska dzwonek.

Czekają, nad słuchują. W środku panuje cisza. Korcz wyciąga znalezione przy denacie klucze. W mieszkaniu jest ciemno. Po omacku szukają kontaktu.

Wisząca u sufitu lampa oświetla duży przedpokój, zabudowany szafami. W przedpokoju troje drzwi. Do pokoi i kuchni. Dwa duże pokoje są umeblowane nowoczesnie. Cepeliowskie ławy i stoły, krzesła, gabloty. Na podłogach dywany, tkane w ludowe wzory, przed usytuowanym w jednym z pokoi kominkiem – futrzaki. Na ścianach kilimy i kolorowe obrazy. W gablocie za szkłem puchary, sportowe proporzycyki.

– Kosztowna nowoczesność – mruczy pod nosem Bieżan. – Spójrz w dokumenty. Ile on miał lat? – pyta Korcza.

– Rocznik czterdziesty czwarty.

– Nielichy dorobek. Ciekawe, czy własny! – Bieżan urywa na widok wprowadzonego przez funkcjonariuszy dozorca.

Ten jeszcze się chyba na dobre nie obudził. Co rusz ziewa. Patrzy na nich nieprzytomnym wzrokiem.

– Co się u Kowalskiego stało? Okradli go? – pyta wreszcie, nie bardzo rozumiejąc, po co jego, gospodarza domu, milicja wzywa o tej porze.

– Kowalski mieszka tu sam? – pyta Korcz.

– A sam. Ma prawo. Własnościowy lokal. – Dozorca przygląda brudnymi palcami zmierzwione włosy.

– Kiedy się tu sprowadził?

– Ze trzy lata temu. Ledwie dom skończyli budować. Coś z nim się stało, że panowie o tej porze? – wraca do nurtującej go sprawy.

– Pan Kowalski nie żyje. Zginął w wypadku samochodowym. Musimy przeszukać i zabezpieczyć to mieszkanie.

– O jeju! – wzdycha cioć, poruszony nowina. – W wypadku?! Zawsze myślałem, że on źle skończy. Jeździł jak wariat. Dwa wozy rozwalił. Pewnie znów se gołnął. A mówili, że skończył z wódką.

Nie wyprowadzają go z błędu.

– Niech się pan usadowi wygodnie – zaprasza Korcz. – To trochę potrwa.

Siada przy stylizowanym na ludowo biurku. Wyciąga szufladę za szufladą. Albumy pornograficznych zdjęć importowane z krajów skandynawskich, pornograficzne pocztówki zagraniczne, długopisy z nagimi dziewczętami. Pliki listów. Zagląda. Od dziewczyn. Odkłada na bok. Później je przeczyta. Znow jakiś album. Zdjęcia znad morza, z gór, jezior. Dziewczyny, dziewczyny, dziewczyny. W głębi szuflady jeszcze coś. Korcz wymacuje niewielkie pudełko. Zdejmuje wieczko i nagle ruchem głowy przywołuje Bieżana.

– Popatrz. – W pudełku czcionki dużych liter. – Takie same – podkreśla – jak te z listu.

Ostrożnie odstawia na bok pudełko. Sięga na dół. Pojemna szuflada mieści w swym wnętrzu maszynę do pisania. Zdejmuje futerał. „Consul”. Portable. Czyżby to ta? Wkłada futerał z powrotem. Stawia maszynę na ziemi. Znow materiał do badań dla ekspertów. Czyżby właśnie tu tkwił klucz do sprawy o porwanie i szantaż?! Korcza ogarnia gorączka poszukiwacza złota. W biurku nie ma już nic interesującego. Może w szafach?

Bogactwo garniturów uszytych z drogich, poszukiwanych na rynku wełen. Kilka płaszczy stosownych na różne pory roku i różne okazje. Na górnej półce wśród kapeluszy kasety.

Korcz sięga po klucze Kowalskiego. Płaski, mały klucz pasuje do zamka. Wieko odskakuje. W środku sztabki złota. Majątek! Odstawia kasetę na bok. Trzeba będzie sporządzić protokół i spisać dokładnie te wszystkie walory.

Jakim cudem taki miody człowiek tyle naskładał?

Szuka dalej. Gumowych pletw. Jeśli to on? Ogląda podeszwy stojących na dnie szafy butów. Szuka tych na gumie. Ślad gumowego obcasa zabezpieczyli nad Wisłą. Odstawia parę za parą. Skóra. To go nie interesuje.

Kolejna szafa. Stosy koszul. Krajowe i zagraniczne.

Ileż tu tego? Półki uginają się pod ciężarem nagromadzonych rzeczy. Swetry. Bielizna pościelowa. Koce. Prawie nowe.

– Sklep – ocenia Biezan. – On musiał być zachłanny!

Grzebie na dole szafy. Wyciąga stojącą sztorcem walizkę i kartonowe pudło. Zagląda do środka.

– Popatrz – mówi do zajętego przeszukiwaniem półek Korcza.

Korcza nachyla się. Gdy się prostuje, ma twarz rozpromienioną. Kostium pletwonurka! Są i pletwy.

– Ruszyło – zwraca się do Biezana. – Może coś jeszcze się znajdzie?!

– Ja bym na tym skończył – mówi Biezan. – Ekipa przeszuka dokładniej.

– Masz rację – niechętnie zgadza się Korcz. Czuje się tak, jak pies myśliwski na tropie. Chciałby już, natychmiast, ciągnąć dalej. Ale rozsądek zwycięża.

Znoszą do wozu maszynę, czcionki, kasetę, kostium. Pieczętują mieszkanie.

– Ja jadę wprost do komendy, gdzie cię podrzucić? Do domu?

– Jadę z tobą – decyduje się Bieżan. – Już nie ma po co się kłąć.

Korcz wyciąga z szuflady gazetę z konkursem. Obok kładzie legitymację z fotografią Kowalskiego.

– Podobny. Już na Gwiazdzistej rzuciło mi się w oczy to podobieństwo. Dlatego cię ściągnąłem. To może być plon twego pomysłu.

Bieżan jest też podniecony.

– Niewykluczone. Pozorowany wypadek! Jak to się mogło stać? W roztrzaskany samochód wsadzono trupa, czy też sprawca zabójstwa jechał na tylnym siedzeniu i skręciwszy kark Kowalskiemu wysterował wóz na słup? Niemożliwe. Mógłby doznać obrażeń. Musiał z tym się liczyć. Za wielkie ryzyko. Po co Kowalski wiozł tę laskę?

Rozdział XXX

– Jurek, przychodź natychmiast! Nareszcie! – W słuchawce podniecony głos. Janek Wrona.

Bieżan zrywa się z krzesła. Rozumie, o co chodzi. Od paru dni w pokoju Jasia trwa przegrywanie taśm przywiezionych od Widomskiej. Od paru dni z tego pokoju przez dźwiękochłonną materię, którą obite są drzwi, wydobywają się na korytarz melodie skocznych tańców ludowych, operowe arie, chóralne śpiewy. Przechodzący tamtędy oficerowie przystają. Słyszą rock and rolla, jazz, a potem nagle tęskne zawrodożenie,

charakterystyczne dla krajów arabskich.

– Imprezę artystyczną organizujesz? – pytają Bieżana. – Nie? Szkoda – złośliwe uśmieszki.

– Protokoły śpiewacie na głosy? – pytają inni. – Wprowadzasz nową metodę zapoznawania z aktami podejrzanych? A może złapałeś szpiega muzyka i to jest szyfr?

Rozniosło się. Echo dotarło do Ziętary.

– Zmieniłeś pono zawód, komponujesz – mówi do Bieżana. – Tak słyszałem. Powiedz mi tylko, czy będzie to raport rozpisany na głosy, czy też marsz żałobny z racji umorzenia śledztwa w sprawie wypadku Glora?

Był zły. Nadojadły mu te dowcipy.

– Kazałem przegrać wszystkie taśmy zabezpieczone podczas rewizji u Widomskiej. Chciałbym znaleźć tę, którą Glor schował do pancерnej kasety przed wyjazdem do Widel – oświadczył oficjalnym tonem. – Gdzie mają to robić? W piwnicy?

– Czego się indyczysz! Przecież żartuję. Już tak zważniałeś, że swemu szefowi prawa do żartów odma-wiasz?

– Nie jestem ostatnio usposobiony do żartów – odparł. – Próbuję na wszystkie strony i nic mi nie wychodzi.

Nareszcie wyszło! Jerzy biegnie do pokoju Jasia.

Wrona przyjmuje go z honorami. Kłania się nisko i sadza szefa na krześle. Tuż obok magnetofonu.

– Posłuchaj tego nagrania.

Bieżan siedzi bez ruchu. Nie odrywa wzroku od taśmy.

Krażek kręci się powoli. Cisza, potem Biezan słyszy jakieś trzaski, jakby ktoś przesuwiał krzesło czy stół. Szmer. Odgłos pukania do drzwi.

Czyjś głos mówi: „Proszę”.

Stuk otwieranych i zamykanych drzwi. Drzwi, które trochę skrzypią.

– Zjawiam się zgodnie z umową. Jak minęła podróż? – słysząc czyjś głos niski, metaliczny.

Teraz mówi ten pierwszy.

– Nie sądzę, by pana interesowały przyjemności bądź przykrości, jakie przeżyłem w podróży.

– Słusznie. Przystąpmy do rzeczy. Przed pańskim przyjazdem do Londynu poinformowałem pana o warunkach, od których spełnienia zależy odzyskanie córki. Przyjął pan moje warunki i mam nadzieję, że nie zmienił pan zdania?

Biezan podskakuje na krześle. Czyżby rozmawiał z Lityńskim?

– Jasiu! Cofnij taśmę. Do słów: „przed pańskim”...

Zdania powracają. Biezan stara się nie uronić ani słowa. Teraz słyszy odpowiedź.

– Nie zmieniłem zdania, chociaż chciałbym bardzo to zrobić.

– Nie interesują mnie pańskie chęci. Co pan ma dla mnie?

– Jaką mam gwarancję, że po przekazaniu panu materiałów, które przygotowałem, odzyskam dziecko?

– Żadnej, prócz mego słowa. Musi mi pan zaufać. Na dowód tego, że pańska córka jest w naszym ręku,

podczas poprzedniego spotkania dałem panu jej zabawkę.

– Jeśli dziś dostarczę to, czego pan żądał, kiedy odzyskam dziecko? Pieniądze już też dałem i co?

– Dał pan pieniądze – jakby nutka zdziwienia. – Odzyska pan dziecko drugiego dnia po powrocie do kraju. Sam pan rozumie, że nie możemy spotkać się w Warszawie. Muszę mieć pewność, że zjawi się pan bez eskorty tajniaków.

– Dobrze. A więc tu jest to, co pana interesuje.

Głosy milkną. Odgłos czyichś kroków, coś jakby trzask zamka. Cisza. Szelest kartek papieru. Kroki. Znów ten szelest i głos:

– Proszę, niech pan sobie przepisze...

Jakiś trzask, szmer i urwane zdanie... „technologii produkcji”.

Bieżan pochyla się nad taśmą, jakby chciał z niej wydusić zanikłe nagle słowa.

– Cofnij, Janek! Puść od momentu: „Niech pan to przepisze”...

Tekst się powtarza. Zanika... Tylko ostatnie dwa słowa.

Teraz mówi ten drugi:

– Przepisywanie to za długa operacja. Proszę to rozłożyć na stole. Mam z sobą aparat.

Szelest rozkładanych kartek. Trzask. Znów ten powtarzający się szelest i trzask. Szelest. Trzask. I tak na przemian.

– Kiedy i gdzie się spotkamy dla dopełnienia pańskiej części umowy?

– Do Warszawy przyleci pan jedenastego października. Czy tak?

– Tak.

– Zaraz po powrocie weźmie pan kilkudniowy urlop. Oczywiście najpierw złoży pan sprawozdanie z podróży. Tak jak mówiliśmy. Oceny muszą być rozsądnie wyważone, ale wniosek jednoznaczny: „Vipro” nie zasługuje na zaufanie. Niepewny kontrahent. Nie warto kupować licencji. Kopię tego sprawozdania sporządzi pan dla mnie. Odda mi ją pan podczas spotkania...

Szmary, jakiś trzask... i słowa:

– Daleko od Warszawy – wypowiedziane tym samym głosem – Mógłby pan wyjechać w olsztyńskie? – mówi dalej ten sam człowiek. – Jest tam taki prywatny pensjonat „Jutrzenka”, położony... – słowa nikną w jakimś szeleście. Trzask. Szurnięcie... – na odpoczynek. – Końcówka zdania.

– Spotkamy się z dwunastego na trzynastego października w nocy. Druga, po drugiej. Pójdzie pan nad jezioro, o tak, w tym miejscu... – głos się urywa. – Tu jest alejka... tu ścieżka... Tą ścieżką pójdzie pan nad sam brzeg. Proszę przerysować sobie ten szkic... Warunek: po dziecko przyjdzie pan sam, nikt o tym nie może wiedzieć. To wszystko. Przypominam, pełna dyskrecja leży w interesie nas obu. Ja nie chcę mieć sprawy o porwanie i szantaż, a pan – w głosie mówiącego jakby

ironia – na pewno nie zechce odpowiadać za ujawnienie takiej tajemnicy...

Stuk. Jakby ktoś odsuwał krzesło. Cisza.

I znów ten sam głos:

– W sprawozdaniu wymieni pan parę firm, zdaniem pana, odpowiedniejszych od „Vipro” kontrahentów. Zapamiętał pan, jakie to mają być firmy?

– Tak.

– Pamięta pan, jak wskazać tę właściwą?

– Tak.

– No to do zobaczenia. Z nami. Ze mną i z córką.

– Do widzenia.

Odgłos kroków. Trzask zamykanych drzwi. Cisza.

Ktoś szepcze.

– Moja biedna Ania... Jeszcze trzy dni...

Bieżan zrywa się, biegnie do drzwi.

– Dokąd pędzisz? Siadaj, to jeszcze nie koniec – zawraca go Wrona.

Posłusznie siada na krześle. Czeki. Taśma się kręci.

Nieoczekiwanie odzywa się trzeci głos. Jest dobitny, wyraźnie skandujący słowa:

– Mówi Arnold Glor, przedstawiciel firmy „Vipro” na Polskę. Tę rozmowę nagrałem w Londynie, w hotelu Astoria, w pokoju numer trzysta czterdzieści jeden. Pokój sąsiedni, trzysta czterdzieści dwa, zajmuje inżynier Karol Lityński, delegowany do Szwecji dla sfinalizowania negocjacji z naszą centralą w sprawie zakupu licencji.

Inżynier Lityński przeprowadził nagraną rozmowę z mężczyzną, który go odwiedził. Widziałem, jak wychodził. Jest średniego wzrostu, szczupły, lekko szpakowaty, nosi okulary. Był w ciemnym tweedowym płaszczu. Ten sam człowiek kontaktował się z Lityńskim przed naszym wyjazdem do Londynu. Wyjaśnię tę sprawę do końca, bowiem interesy „Vipro” wydają mi się zagrożone... Głos cichnie.

– To już koniec nagrania – komunikuje Wrona. – I co? Nie miałem racji, że zwrot w sprawie?

Bieżan jest oszołomiony.

– Więc tak wygląda sprawa o porwanie i okup – mówi wolno jakby do siebie. – Miałem rację twierdząc, że to nie jest zwykła kryminalna sprawa!

Wybiega z pokoju.

Janek Wrona patrzy za nim z uśmiechem. Na pewno popędził do Ziętary – myśli. Nareszcie coś nam wyszło.

Bieżan wpada do Ziętary jak kamień wyrzucony z procy.

– Władek! Miałem rację w sprawie Glora! Zabójstwo upozorowane na wypadek! Jest wyjaśnienie i motyw!

– Zaraz, zaraz. Nie tak chaotycznie. Referuj po kolei.

– Po co? Znasz sprawę. Lepiej będzie, jeśli sam wysłuchasz tego nagrania. To pilne! Chodź prędzej – przynagla przyjaciela.

– Puść tę taśmę – mówi do Wrony, gdy Ziętara

siada koło magnetofonu. Taśma zaczyna się kręcić. – Teraz, słuchaj – zwraca się do Ziętary.

Podczas nagrania nie spuszcza oczu z twarzy przełożonego. Obserwuje wrażenie.

Ziętara siedzi nieruchomo, jakby wrósł w krzesło. Teraz się rozgląda. Szuka papieru do rysowania

Bieżan podsuwa mu białą kartkę. Odgadł trafnie. Ziętara spuszcza głowę, wyciąga długopis i zaczyna coś kreślić.

Bieżan jest już pewny swego. Czeka niecierpliwie na koniec nagrania.

Rozdział XXXI

W mieszkaniu Kowalskiego pracuje ekipa specjalistów. Tym razem nie szukają na chybił trafił. Ich robotę ukierunkowały wyniki dotychczasowych ustaleń.

Jest ich sporo. Korcz ma już wreszcie pewność, niezbitą pewność, że Kowalski brał udział w porwaniu Ani Lityńskiej i wyłudzeniu okupu. Opinie ekspertów są jednoznaczne. Zabezpieczony w tym mieszkaniu „Consul” jest maszyną, na której zostały napisane anonimowe listy. Pozostawiony na wiślanym brzegu odlany w gipsie odcisk pletwy pasuje idealnie do jednej z pletw znalezionych, podobnie jak i kostium pletwonurka w mieszkaniu na Świętojerskiej. W kostiumie brak klamerki Jakąś klamerkę zabezpieczono nad brzegiem

Wisły. Z badań porównawczych wynika, że oberwała się ona od tego kostiumu.

Spec od fotometrii, po porównaniu zdjęcia wykonanego na cmentarzu ze zdjęciami Janusza Kowalskiego ściągniętymi z biura dowodów osobistych, stwierdził, że są to podobizny tego samego człowieka. A skoro tak, skoro to właśnie Kowalski odczytał wypisany na cmentarzu numer telefonu, można wyeliminować pozostałych. Zgromadzony z wielkim trudem materiał jest już nieprzydatny. Ale trud dał wyniki.

– Nasze założenia, że jeden ze sprawców przybędzie na cmentarz, żeby ten numer odczytać, okazały się trafne. Twój pomysł z ogłoszeniem konkursu w gazecie okazał się świetny – Korcz gratuluje Bieżanowi.

– Nie taki znów świetny. – Bieżan tę pochwałę przyjął ze skrzywieniem. – Kowalski się widać nastraszył. Jego współlnik czy mocodawca musiał się poczuć zagrożony. Bał się pewno, że w razie wpadki Kowalski nie potrafi utrzymać języka za zębami. W efekcie mamy nowego trupa. To tylko częściowy sukces. Wolalbym mieć za kratkami żywego Kowalskiego. A tak znów przecięta nic.

– Nie jest tak źle. Trzeba szukać tylko wśród kontaktów denata.

– Tylko – uśmiecha się Bieżan. – Jesteś optymistą.

Czy istotnie jestem optymistą? Korcz uważa się za realistę. Realnie ocenia sprawę. Zebrane dotychczas informacje o Januszu Kowalskim charakteryzują nie

tylko jego samego, ale i środowisko, w jakim się obracał. Środowisko bananowej młodzieży. Rodzice dobrze sytuowani dbali, aby ich jedynak miał wszystko. Bez najmniejszego wysiłku. Ich protekcja towarzyszyła mu w szkole podstawowej, średniej, na wyższej uczelni. Nie przemęczał się Znajomości rodziców zdecydowały o jego karierze sportowej. Nigdy nie osiągnął w sporcie rewelacyjnych wyników, ale częściej od tych, którzy je osiągnęli, bywał za granicą. Korzystając z okazji handlował, przemycił. „Dorabiał się”. Potem, gdy nudziły mu się treningi, uznał je za zbyt kłopotliwe i wymagające wyrzeczeń, rodzice zadbali, by urządzić go w klubie. Tak przekształcił się w etatowego klubowego działacza. Miał wygodną pozycję. Znów się nie przemęczał. Wyjeżdżał za granicę towarzysząc zawodnikom. Rodzinne koneksje zdecydowały o zatuszowaniu paru spraw o charakterze przemytniczym, paru burd wywołanych w stanie nietrzeźwym. Uważał więc, że mu wszystko wolno. Na wszystko było go stać.

Rodzice wyposażyli jedynaka we własnościowe mieszkanie, kupili mu samochód. Dawali pieniądze. W tym mieszkaniu organizował pijatyki, orgietki. Z dziewczynami. „Stale – stwierdzili sąsiedzi – kręciły się tu dziewczyny. Zakłócał spokój, ale – rozkładali ręce – nie było na niego siły. Baliśmy się, bo każdego straszły chodami. Od kilku miesięcy ustatkował się wreszcie”.

Skończyły się libacje i inwazja dziewczyn. Na placu została jedna. Szczupła, średniego wzrostu brunetka.

Sąsiedzi często widywali ich razem, często spotykali dziewczynę na klatce schodowej. Kim była? Wyjaśni się prędzej czy później.

Janik zbiera informacje. Ustala znajomości i kontakty Kowalskiego. Wiadomo, to musi potrwać. Ale krąg już się zacieśnia i będzie się zacieśniał dalej. Do chwili ujęcia sprawcy, który musi tkwić w tym kręgu.

Wśród ludzi, z którymi denat utrzymywał kontakty, trzeba znaleźć mężczyznę sprawnego fizycznie, dysponującego dużą siłą, byłego wojskowego lub człowieka o wyszkoleniu wojskowym, mieszkańca Warszawy, mającego co najmniej średnie wykształcenie. Taki krąg określiła ekspertyza językoznawcza i ustalenia dokonane przy analizowaniu sprawy zabójstwa Lityńskiego.

Takiej charakterystyce nie odpowiada Kowalski. Przeszkolenia typu wojskowego nie przechodził, wykręcił się od wojska dzięki staraniom rodziców. Nie jest też autorem anonimów. Wykluczyła to kolejna ekspertyza językoznawcza. Porównanie tekstów pisanych przez Kowalskiego z tekstami listów anonimowych wyeliminowało tę możliwość. Nie ten styl, nie ten język, nie te wyrażenia. Przepisywał anonimy na swojej maszynie bądź pisał je pod dyktando.

Kowalski, człowiek o raczej miernej inteligencji, nie mógł być inicjatorem i autorem precyzyjnie opracowanego i wykonanego planu porwania. Wykonawca – to była jego rola. Świadczy o tym fakt, że właśnie on znalazł się na cmentarzu, by odczytać numer, że to on „zorganizował” te dwa kajaki. 11 września – jak ustalili

jako koleś zajmującego się sprzętem pływającym pracownika został zaproszony na jego imieniny, obchodzone na przystani. Koło siedemnastej towarzystwo już się ululalo. Nietrudno było zabrać po cichu kajaki i popłynąć Wisłą do ustalonego z góry miejsca. Przywiązał je i czekał przebrany w kostium płetwonurka. Przewrócił kajak, wyłowił teczkę zawierającą pół miliona i popłynął w górę Wisły. Tu wyszedł na brzeg, pozostawiając odcisk płetwy, gumowego obcasa i oderwaną przypadkowo klamerkę. Tak to musiało być. Korcz jest tego pewny. Teczkę musiał zniszczyć, a banknoty...

Szukają właśnie tych banknotów we wszystkich zakamarkach. Jak dotąd bezowocnie. Pozostał jeszcze garaż.

Niski, długi budynek jest usytuowany w pobliżu domu. Składa się z dziesięciu boksów. Cięż prowadzić ich do boksu oznaczonego numerem dwa. Klucze pasują.

Pod ścianami, w głębi, bańki ze smarem, olejami. Szmaty. Na półkach jakieś narzędzia.

Korcz je ogląda. Obok któryś z funkcjonariuszy grzebie w puszcze ze smarem. Inny przelewa olej z bańki do bańki. Sprawdzają ich zawartość.

Dozorca przysiadł na skrzynce pod ścianą. Nudzi mu się. W duchu klnie nieboszczyka. Nie dość, że za życia były z nim kłopoty, jeszcze i teraz... Skaranie boskie z takim lokatorem. Jest zły. Właśnie kroić mu się „fucha”. Obiecał tym z drugiego piętra, że nad wieczorem

przyjdzie naprawić zlew. Zamożni ludzie, parę złotych by wpadło. A tak nie będą na niego czekać. Znajdzie się inny... Mało takich? Lekka praca, łatwy grosz. Każdy na to poleci. A on musi nawalić. Dopiero zaczęli, wiadomo, kiedy skończą? W nocy przecie nie będzie budzić ludzi. Nie miałby sumienia. Zajęty tymi rozmyślaniami nie widzi, jak milicjant grzebiący w puszcze ze smarem coś z niej wyciąga. Wyciąga i pokazuje Korczowi.

Otwierają razem metalowe pudełko. W środku – zwitek banknotów.

Korcz promienieje.

– Szukaj dalej – mówi.

I sam bierze się do roboty. Przerzuca stos szmat nasiąkniętych smarem. Pod spodem beton zapaskudzony olejem i błotem. Tu nie ma nic. Poszukam w innym kącie. Krok do przodu i nagle czuje, że sunie po śliskiej nawierzchni. Z trudem odzyskuje równowagę. Teraz już patrzy uważnie pod nogi. Nie ma chęci na nowy poślizg. Znów krok do przodu i nagle się cofa. Jego uwagę przyciąga ślad, który zostawił. Rysy ciągną się parę metrów. Pod zdartą warstwą błota beton. Czy mi się zdaje, czy w jednym miejscu jest jakby nieco jaśniejszy?

– Który ma latarkę? – zwraca się do członków swojej ekipy. Nikt nie zabrał ze sobą. – Niech pan przyniesie z domu, tylko prędko – poleca dozorczy.

Mężczyzna klnąc w duchu idzie do mieszkania. Z milicją trzeba żyć w zgodzie. Zawsze mogą się do czegoś przyczepić. A on nie lubi się przemęczać. Tylko

głupi tak tyra, jak oni w tym garażu.

Tymczasem kilku mężczyzn pucuje szmatami posadzkę. Widać już wyraźnie, nawet bez latarki, jaśniejszą plamę.

– Trzeba zedrzyć beton w tym miejscu – decyduje Korcz. – Potrzebny mi kilof, natychmiast – dozorca otrzymuje kolejne polecenie.

– Skąd wziąć kilof? – próbuje wykręcić się od kolejnej przechadzki. Ale zmarszczenie brwi kapitana działa jak argument.

Co mu się będą narażał. Jeszcze do dzielnicowego zadzwoni. Zwariował! Beton chce zdzierać! Co on tam mógł chować? Złoto albo dolary? – zastanawia się z nagłym przypiływem zainteresowania. Będzie o czym opowiadać lokatorom! Zważnieje w ich oczach.

Kilka uderzeń kilofem. Beton odskakuje. I nagle ten mdlący, słodki odór. Korcz nie ma wątpliwości. Ten zapach często towarzyszy mu nawet po pracy. Wsiąka w ubranie. Zwłoki! Czyjeż tu mogą być zwłoki?

Odpowiedź narzuca się sama.

Rozdział XXXII

Dzień jest pochmurny. Mgła osiada na oknach. Mimo wczesnej pory w gabinecie Ziętary pali się światło elektryczne. Zaostrza ono bruzdy na twarzy pułkownika, uwydatnia malujące się na niej zmęczenie, wydobywa srebrne nitki z ciemnych, gładko zaczesanych

włosów. Jak zwykle, lekko przygarbiony siedzi za biurkiem i stukając ołówkiem w stół przerywa nagle ożywną dyskusję, toczącą się między Bieżanem a Korczem.

Są tu obaj. Bieżan, nowo mianowany szef grupy operacyjnej, Korcz, jego zastępca, oddelegowany już oficjalnie. I na ich twarzach widać zmęczenie. Bieżanowi oczy wpadły głęboko, Korcz jest szary. Tempo ostatnich dni dało się im we znaki.

Bieżan jest w swoim żywiole. Nareszcie może działać pełną parą. Dyskutują z Korczem nad projektami nowych posunięć, które mają doprowadzić do sprawy. Stuk ołówka przywołuje ich do porządku. Milkną.

– Chciałbym, żebyś i ze mną podzielił się ocenami ustaleń i koncepcjami – w głosie Ziętary leciutka nutka ironii. – Proszę, zaczynaj – zwraca się do Bieżana. – Jest coś nowego?

– Nagrany przez Glora głos został przez naszych speców z Zakładu Kryminalistyki porównany z nagrany na taśmę przez Lityńskiego głosem szantażysty. Nie ulega wątpliwości. To ten sam człowiek. On właśnie, nazwijmy go X, jest, moim zdaniem, czołową postacią w tej sprawie. To on obmyślił i zrealizował cały plan. Tylko co chciał osiągnąć? – Bieżan patrzy przez chwilę w zamglone okno. – Po przeanalizowaniu tekstu nagranego na taśmę stało się jasne – ciągnie dalej – że nasz X porywając dziecko inżyniera chciał go zmusić do wypłukania „Vipro” z licencyjnej transakcji i do zastąpienia jej nowym kontrahentem, firmą „Timet”.

Wprawdzie ze sprawozdania Lityńskiego ten wniosek nie wypływa tak wprost, ale niektóre sformułowania wyraźnie to sugerują. Nasi elektronicy twierdzą, że chodzi o „Timet” Co to za firma? Nie wiem. Zbieramy o niej szczegółowe informacje. Za parę dni będziemy mieli pełniejszy obraz tej sprawy. Na oko wygląda więc, że przestępcze działanie zostało podyktowane walką konkurencyjną. Mówię na oko, bo zastanawia mnie jedno: podjęte przez naszego X środki wydają mi się niewspółmiernie drastyczne i ryzykowne w stosunku do celli. W sytuacji, gdy być może wystarczyłyby dewizowe łapówki...

– Przechyś sam sobie – przerywa mu Ziętara. – Skoro Lityński nie był przekupny, odpadła ta droga...

– I tak, i nie. W końcu nie tylko Lityński decydował o tej transakcji. Można było próbować dotrzeć do innych.

– Skąd wiesz, czy nie próbowali? Być może Lityński stał się ostatnią szansą? Przecież w efekcie decyzja zależała od niego. Więc trzeba było go zmusić. Dlatego porwano mu dziecko. A skoro się powiedziało „a”, trzeba powiedzieć i „b”. Nie uważacie? – Ziętara patrzy uważnie na Bieżana i Korcza.

– W grę wchodziło nie tylko porwanie, ale i uśmiercenie dziecka – wtrąca Korcz. – To zabójstwo zaplanowali z góry i natychmiast zrealizowali Świadczy o tym wynik sekcji. Zwłoki małej były wprawdzie w daleko posuniętym rozkładzie i dokładne określenie

czasu zgonu siłą rzeczy jest niemożliwe, ale lekarze stwierdzili, że śmierć nastąpiła około dwóch miesięcy temu, czyli w pierwszych dniach września. W tym samym mniej więcej czasie został położony w garażu nowy beton. Jeśli chodzi o okup, to dwieście pięćdziesiąt tysięcy złotych odzyskaliśmy. Były ukryte w bańce ze smarem, stojącej w garażu Kowalskiego. Wygląda na to, że wspólnicy podzielili się łupem. Ale nie sądzę, by chodziło im o pieniądze. Wymuszenie okupu było niejako dodatkowym środkiem przymusu zastosowanym w stosunku do Lityńskiego. Jako dowód, że dziecko jest w ich rękach, w Londynie wręczono mu zabawkę Ani. Takiego śmiesznego misia, którego zabrała ze sobą w krytycznym dniu. Znaleźliśmy tę zabawkę po śmierci Lityńskiego. W willi, w jego gabinecie zabezpieczyliśmy także notatki z pobytu w centrali „Vipro”. Przekazałem je majorowi Bieżanowi. Może wypowie się w tej materii? – Nasi specje przeprowadzili dokładną analizę tych papierów. Ich opinia jest jednoznaczna. Lityński nie miał żadnych zastrzeżeń do urzędzeń oferowanych przez „Vipro”. Gdyby nie ten przymus, w wyniku którego sfalszował sprawozdanie, transakcja na pewno doszłaby do skutku. Nasuwa się wniosek – Bieżan podnosi głowę i patrzy na Ziętarę – że Zwoliński forsując „Vipro” działał raczej bezinteresownie, że sugestie o przekazaniu sprawy pionowi przestępczości gospodarczej były raczej chybione. – W głosie ledwie słyszalna nutka triumfu.

Ziętara słyszy tę nutkę, uśmiecha się w duchu, ale udaje, że nie dociera do niego ukryty sens wypowiedzi.

– Czy uważasz także, że śmierć Glora, zaplanowana z góry, miała na celu wykreślenie „Vipro” z orbity zainteresowań naszego przemysłu?

– Nie, ten motyw traktowałbym jako uboczny. Pamiętasz to nagranie? Z wypowiedzi Glora wynika, że widział on pana X, i to raczej z bliska. Podał przecież dokładny rysopis. A jeśli on widział tamtego, to i X mógł zauważyć Glora. Nietrudno ustalić w recepcji, kto mieszka w pokoju obok Lityńskiego. A skoro mieszkał tuż obok, widział i zapamiętał twarz, mógł także usłyszeć część rozmowy. A nuż coś zanotował. Głor musiał zginąć. A sprawca, nasz X, wyflukłszy szybę w rozbitym samochodzie dokładnie obszukał zwłoki i zabrał papiery, które Głor miał przy sobie.

– Mówisz X jako sprawca? Równie dobrze mógł to być Kowalski, działający na czyjeś polecenie.

– Nie. – Bieżan jest pewny swego. – Podczas szczegółowych oględzin wozu spece z Zakładu Kryminalistyki zabezpieczyli mikrowłókiemko przyłączone do odłamków szkła. Kazałem przeprowadzić badania. Materiałem porównawczym były garnitury i palta Kowalskiego. Włókiemko nie pochodzi z żadnego z nich. Zatem Kowalski raczej odpada. To w końcu gówniarz. Wtajemniczać go w takie posunięcia?! Nasz X to człowiek przezorny. Mózg.

– Ten mózg musi tkwić w kręgu kontaktów

Kowalskiego – mówi wolno Ziętara – i chyba Lityńskiego. Bo inaczej skąd te dokładne informacje o Lityńskim, umożliwiające przeprowadzenie tego rodzaju planu? Albo też sam Kowalski znał Lityńskiego? Macie już jakieś rozeznanie?

– Częściowe – stwierdza Korcz. – Kowalski obracał się między różnymi ludźmi. Sportowcy, koledzy klubowi, działacze sportowi z kraju i zagranicy to jeden krąg jego znajomości. Inny? Bananowi młodzieńcy. Wychowani w luksusie, sfrustrowani, uważający, że im wszystko wolno, że świat należy tylko do nich, społeczeństwo zaś służy do zaspokajania ich potrzeb. W tej grupie odkryłem paru narkomanów. Kowalski miał także rozległe znajomości wśród badylarzy. Ich córki brały udział w urządzanych przez niego libacjach. Uczestniczyli w nich także moi podopieczni, zwykli kryminaliści. Taki Tolo Krak pseudo Słoń, trzykrotnie karany za włamanie, Jasio Tyr pseudo Mocny, Antoś Pyk pseudo Gruby i tak dalej. Żaden z tych kontaktów nie pasuje jednak do rysopisu ani do innych ustaleń. Kowalski znał również Lityńskiego. Inżynier był kiedyś na jakimś przyjęciu u jego rodziców, a potem zaprosił ich do siebie w ramach rewizyty. Uważam jednak, że nie była to droga przecieku informacji. Szukałem więc gdzie indziej. Nasz bananowy młodzian od kilku miesięcy żył z niejaką Wandą Rogalską. To sekretarka dyrektora komórki zajmującej się sprawami tej inwestycji. Lityński

stykał się z Rogalską na co dzień. Nietrudno jej było zdobyć o nim potrzebne informacje.

– To bardzo istotne ustalenie – stwierdza Ziętara. – Trzeba natychmiast zarządzić inwigilację Rogalskiej.

Rozdział XXXIII

Drugi dzień Bieżan waruje przy radiostacji. Ma tego dosyć. Nic się nie dzieje, a on nie znosi bezczynności. Obserwacja Rogalskiej nie przyniosła żadnych wyników. Akcja na lotnisku, wypytywanie obsługi, celników, taksówkarzy, może trwać całe miesiące. Rysopis, którym dysponują, jest za mało dokładny, aby na jego podstawie znaleźć sprawcę. To szukanie igły w stogu siana. Nie, trzeba koniecznie coś wymyślić. Ma nawet pewien pomysł, ale jak do niego ustosunkuje się Ziętara. Muszę go przekonać – postanawia.

Szef jest zajęty, ale kilka minut gotów jest poświęcić. Czego się nie robi dla przyjaciela. Słucha cierpliwie narzekań Bieżana, w końcu jednak przerywa tę jeremia-dę.

– Co proponujesz? – pyta dość oschle.

– Chcę zmusić go do działania. Posłuchaj, to chyba jest logiczne. Nasz X, zanim obmyślił plan i zabrał się do jego realizacji, musiał dysponować informacjami dotyczącymi nie tylko osoby Lityńskiego. Sam inżynier o tym, że wyjeżdża do Szwecji i Londynu, dowiedział się pierwszego września, czyli w dniu porwania córki.

Ile osób wiedziało o prowadzonych z „Vipro” negocjacjach, kto orientował się, że właśnie Lityński będzie zatwierdzony jako główny doradca, a jego zdanie zdecydowało o wyborze zagranicznego kontrahenta? Rzecz była otoczona tajemnicą. Znała ją tylko dwanaście osób.

– Rozumiem – mruknął Ziętara. – Chcesz dojść, w jaki sposób i przez kogo informacje przeciekły do sprawcy?

– Tak. Można założyć, że przeciekły one przez Rogalską do Kowalskiego, a przez Kowalskiego do sprawcy. Ta droga już nie istnieje, ślepy tor. Ale gdyby przyjąć, że Rogalska zna także sprawcę...

– Dlatego jest pod obserwacją – przerywa mu Ziętara. – Jeśli go zna i się z nim kontaktuje, to w końcu nas do niego doprowadzi.

– Możemy czekać długo. Jeśli moja hipoteza jest prawdziwa, to porwanie, szantaż i zabójstwa są wynikiem nie tyle walki konkurencyjnych firm, choć ta walka może i takie formy przybierać, ale dywersyjnego działania. Tego rodzaju inwestycja przyciąga uwagę jak magnes. Jeśli nastąpił przeciek, a nastąpił, i to już w pierwszej fazie podejmowanych działań, musieli stawać na głowie, żeby nie tylko zdobyć informacje, ale i możliwości wciśnięcia się głębiej, zabezpieczenia sobie stałego dostępu do ściśle chronionych tajemnic. Rogalska to tylko sekretarka. Ma wprowadzić trochę znajomości, ale nie w tej parafii. Z trudem zdała maturę. Dzięki znajomościom rodziców otrzymała pracę jako

sekretarka. Jej zainteresowania koncentrują się na ciuchach, zabawach i facetach. Zawiadomić o jakimś projekcie, planie, wyniuchać jakieś informacje o kimś konkretnym, to potrafi, ale ocenić, co jest ważnym, a co nieistotnym szczegółem, do tego się nie nadaje.

– Nie rozumiem, do czego zmierzasz?

– Uzasadniam po prostu, dlaczego sama obserwacja nie doprowadzi nas szybko do celu. Zakładam, że Rogalska kontaktuje się z facetem tylko wówczas, gdy ma mu coś ciekawego do przekazania. Nie można także wykluczyć, że informacje przekazał bądź przekazuje mu ktoś inny, ktoś z kręgu dwunastu wtajemniczonych.

– Wyduś już wreszcie, na czym twój pomysł polega – niecierpliwi się pułkownik.

– Na tym, by stworzyć sytuację, w której zaistnieje potrzeba szybkiego przekazania wiadomości. Na przykład wpłynie pismo, zawierające supertajne informacje, oczywista sfingowane przez nas... Wtedy, obserwując osoby, do których służbowo musi ono dotrzeć, będzie można wyłowić miejsce przecieku i sprawcę.

Ziętara zaaprobował ten pomysł. Pismo rozpoczęło wędrówkę z rąk do rąk. I znów trzeba czekać na rezultaty. Siedzą z Korczem na zmianę przy radiostacji, odbierają meldunki o każdym kroku obserwowanych.

Jak dotąd nic interesującego się nie dzieje. Normalne codzienne zajęcia, normalne codzienne kontakty. Te stałe kontakty obserwowanych zdołali już ustalić. Ale

nikt nie pasuje do rysopisu i cech charakterystycznych poszukiwanego człowieka.

Dochodzi szesnasta. Wszyscy obserwowani są w pracy. Urzęduje i Rogalska, która zwykle siedzi w sekretariacie aż do chwili, gdy szef wybierze się do domu.

Szesnasta. Szesnasta pięć, dziesięć, piętnaście... Nic.

– Obserwowana wyszła z gmachu. Idzie w stronę Alej Jerozolimskich...

– Weszła do fryzjera. Będzie się czesać. Zdjęła palto, usiadła koło aparatu do mycia głowy...

– Myje głowę...

– Dyrektor Zieliński jedzie służbową wołgą w kierunku domu – odzywa się inny radiowóz.

– Inżynier Jurewicz wszedł do kawiarni „Roksa-na”.

Gdyby Andrzej usłyszał o „Roksanie”, miałby złe skojarzenia –, myśli Bieżan. – Do dziś uważa, że spaprał tę akcję. Czy spaprał? Po prostu nie był w stanie przewidzieć jej ciągu...

– Inżynier Jan Koliński spotkał się z żoną w restauracji „Zdrowie” – napływa nowy meldunek.

– Grzegorz Waławski kupuje bilety do kina „Skarpa”. Jest sam.

– Wykupcie miejsca obok lub w sąsiednim rzędzie. Podjąć obserwację człowieka, z którym się spotka – wydaje polecenie. Kino może być miejscem umówionego z góry spotkania.

– Rogalska wyszła spod aparatu do suszenia włosów. Telefonuje. Numer nie ustalony. Czy są dalsze polecenia?

Bieżan jest wściekły. Jak mogli nie ustalić? Wiedzą, że nie wolno im spuścić jej z oka nawet na sekundę!

– Pilnujcie – poleca. – Nie tak, jak dotąd.

Nie ustalili! Spaprali robotę! – mówi głośno do siebie, zapominając wyłączyć klawisz.

Wywiadowca słyszy komentarz oficera. Jest mu wstyd. Tamten ma rację. Ale jak mogli przewidzieć? Telefon wisi na niewidocznej z ich punktu obserwacyjnego ścianie. Dostrzegli, że się połączyła dopiero wówczas, gdy stała już ze słuchawką w ręku.

Nie spuszcza jej z oka. Obserwują każdy krok, każdy gest. Wreszcie wychodzi. Idzie wolno. Wstępuje do drogerii. Stoi w kolejce. Kupuje jakieś drobiazgi Płaci

Znów ruszają za nią. Skręca w Kruczą. Ogląda wystawę u „Jubitera”, suknie w „Domu Mody”, teraz znów jakieś szkła! Musi mieć dużo czasu – konstatują, gdy znów przystaje przed jakąś wystawą.

Bieżan otrzymuje meldunki. Jest zdenerwowany. Niewypał? A może wybierze się jutro? Najgorsze to czekanie...

Z radością wita Wronę.

– Masz jakieś nowe informacje?

– Mam. O firmie „Timet”.

Aż podskakuje na krześle.

– Mów prędzej.

– Firma niemal nieznana. Żadnych poważnych kontraktów. Coś tam robią z dziedziny elektroniki, ale co i na jakim poziomie, nie wiadomo. Na rynku handlowym jako konkurent nie liczy się. Ma filie w Londynie, Nowym Jorku, Paryżu, we Frankfurcie. Centrala jest w Londynie. To spółka akcyjna. Wśród akcjonariuszy wyłowiłem paru facetów, o których wiemy, że współpracowali z wywiadem Gehlena. Paru innych akcjonariuszy to ludzie, którzy dorobili się majątku w Ameryce Południowej. Firma jest interesująca z naszego punktu widzenia.

– To potwierdza moją koncepcję – mówi Biezan trochę do siebie, a trochę do Jasia... – Licencja jako sposób infiltracji. Możliwe. Jeśli nie udało się wsadzić do „Vipro” swojego człowieka...

– O czym ty mówisz?

– Dzieli się z Jasiem swoją hipotezę. – Sprawdź i pod tym kątem – poleca.

Znów meldunek z eteru.

– Rogalska weszła do barku „Grand Hotelu”. Zajęła stolik. Przynęła do niego drugi stołek. Czeka.

– Sfotografować. Podjąć obserwację człowieka, z którym się spotka. Pamiętajcie: działać dyskretnie.

Znów to czekanie.

Tym razem nie trwa długo.

– Usiadł przy niej mężczyzna w tweedowym płaszczu. Średniego wzrostu, szczupły. Wysoko sklepione czoło. Wąskie usta. Ma około pięćdziesiątki. Ciemny blondyn.

– Sfotografować, podjąć obserwację. Przypominam o dyskrecji.

Ledwie może wytrzymać. Chciałby być tam, na miejscu. To nie nowicjusz. Boi się, że poszkapią.

Jego obawy okazują się uzasadnione.

– Wsiadł do ciemnozielonego BMW 2800. Zaczął krążyć po mieście. Zgubiliśmy go – meldują. – Mamy tylko numer samochodu: WS 21-63.

Rozdział XXXIV

Alarm na drogach trwa. Patrole drogowe, radiowozy oraz funkcjonariusze dysponują rysopisem ściganego i numerem rejestracyjnym ciemnozielonego BMW. Mają zatrzymać kierowcę pod byle jakim pretekstem. Zatrzymać, wylegitymować i przetransportować do warszawskiej komendy.

Nie ma innej rady – zdecydował Bieżan.

Mija godzina, dwie. I nic. Jak kamfora. Punkty i przejścia graniczne są również uprzedzone. Jak dotąd nie ma meldunków.

Nic nie wiadomo o poszukiwanym. Twarz bez nazwiska. Tylko ten numer rejestracyjny.

Samochód, ustalają natychmiast ludzie Bieżana, jest zarejestrowany na nazwisko niejakiego Zbigniewa Kirasa zamieszkałego przy ulicy Widok 23.

Błyskawicznie obstawiają dom. Dwóch ludzi idzie na górę. Kirasa nie ma w mieszkaniu.

– Mówił, że ma pilne sprawy do załatwienia i przed godziną wyszedł – informuje ich żona. – Powinien wrócić koło dwudziestej drugiej.

– Wyszedł czy wyjechał samochodem?

– Wyszedł.

– Samochód marki BMW 2800, ciemnozielony, należy do państwa?

– Tak.

– Gdzie jest wóz?

Kirasowa jest lekko zmieszana:

– Coś się stało? – pyta.

– Gdzie jest wóz? – powtarzają.

– Mąż pożyczył znajomemu.

– Imię, nazwisko i adres tego znajomego?

Znów jest zmieszana.

– Nie wiem – bezradnie rozkłada ręce.

– Jak to? Pani nie zna nazwiska? Taki drogi wóz oddaje się nieznajomemu?

– Mąż się orientuje. Wróci, wszystko wyjaśni. Proszę poczekać.

Czekają. Są bezradni.

Czeka i Bieżan na rezultaty alarmowych poczyńań. Czy dobrze zrobiłem, każąc go zatrzymać? A jeśli w ten sposób przecinam prowadzącą dalej nić? – bije się z myślami. Jak tu obserwować twarz bez nazwiska. Ucharakteryzuje się i po ptokach! Nie było innego wyjścia – przekonuje sam siebie. Oby go tylko dopadli! – wzdycha, aby się odnalazł.

Meldunek nadchodzi z Kielc. Jest! Jedzie krakowską

szosą w kierunku Jędrzejowa. Radiowóz siedzi mu na ogonie. Tyle że dychawiczna warszawa nie jest w stanie doścignąć BMW! Wezwali na pomoc inne radiowozy. Mają mu zajechać drogę od przodu. Zawiadomili Kraków. Na razie nic więcej nie można zrobić.

Imię i nazwisko. To najważniejsze. Biezan już wie, że Kirasa nie ma w domu, że pożyczył swój wóz. Jest jeszcze jeden sposób.

– Przywieźcie mi natychmiast tę Rogalską – poleca.

– Jest! – Napływa kolejny meldunek z Jędrzejowa.
– Postawił samochód pod restauracją, sam wszedł do środka. Siedzi przy stoliku.

– Zdjąć, jak będzie wychodził. Dyskretnie – poleca Biezan.

Radiowozy stoją w pobliżu restauracji. Dwaj funkcjonariusze są w środku, dwaj inni kręcą się koło drzwi wejściowych. Jeden pilnuje tylnego wyjścia. Ci, którzy są na zewnątrz, nie spuszczaają oczu z samochodu. Wszystko gra. Nie może umknąć. Są pewni.

Czekanie się przedłuża. Co też on robi tak długo? Do tej pory mógł zjeść parę obiadów. Ale nie przejmują się. Skoro wóz stoi, a nasi są w środku, wszystko jest w porządku.

Dwaj funkcjonariusze usiedli przy sąsiednim stoliku. Piją herbatę. Czekają, aż ich sąsiad skończy posiłek. Zdejmować go w restauracji – nieporęcznie. Kazali dyskretnie, to trzeba dyskretnie.

Obserwowany znowu coś zamówił. Kelnerka stawia

przed nim danie, on zabiera się do jedzenia. I nagle odchodzi od stolika. Idzie w kie-runku toalety. Nie ruszają się. Z ich miejsca widać drzwi Przez toaletę nie wyjdzie, musi wrócić na salę. Mija dziesięć, piętnaście, dwadzieścia minut. Nie wychodzi. Zasłabł? Możliwe. Jeden z nich podchodzi do oznakowanych trójkątem drzwi. Próbuje je otworzyć. Zamknięte. Dobija się. Bez skutku. Kiwa ręką na kolegę. Wywałamy – decyduje

Z rozpędem uderzają w drzwi. Zasuwa puszcza. Wpadają do środka. Toaleta jest pusta, okno otwarte. Tędy...

Wybiegają na dwór. Wóz! Ale samochód stoi w poprzednim miejscu. Nikogo nie ma w środku.

Porzucił go. To jasne. Urwał się na piechotę. W którą stronę?

Zaczynają sprawdzanie rozkładów jazdy kolei i autobusów. Pech! W ciągu ostatniej godziny ze stacji Jędrzejów odeszły pociągi do Warszawy, Kielc, Krakowa. W kilku różnych kierunkach odjechały również autobusy PKS. Wystarczy, żeby wysiadł w jakiejś wiosce. Mógł także zabrać się autostopem! Możliwości jest mnóstwo. Niewykluczone, że zapadł i gdzieś w Jędrzejowie. Patrole przeszukują ulice, ale co to za przeszukiwanie. Na rynku się nie kręci, wiadomo. A dalej ciemności egipskie. Na tyłach domów łączące się ze sobą ogrody. Są zrezygnowani. Meldunek płynie do Warszawy.

Bieżan otrzymuje tę informację jednocześnie z inną.

Wreszcie Kiras wrócił do domu. On także nie zna

nazwiska człowieka, któremu pożyczył samochód. To znajomy jego kuzynki, Wandy Rogalskiej. Cudzoziemiec. Zostawił jako kaucję trzy tysiące dolarów. Równowartość samochodu, więc nawet jeśli coś się stanie, są zabezpieczeni. Płacił dobrze. Bardzo dobrze. Dziennie dwa tysiące złotych. Kiras nie pytał o szczegóły. Skoro Rogalska...

- Przywieźliśmy Rogalską – meldują z dołu.
- Dawać ją tu!

Gdy w drzwiach staje ładna, smagła brunetka, Biegan wsiada na nią z góry. Nie ma czasu na ceregiele.

– Imię i nazwisko człowieka, z którym się pani spotkała w barku „Grand Hotelu”! – Patrzy na niego przerażonymi oczyma. Milczy. – Prędej.

– Co, dlaczego? Ja nic nie rozumiem – oponuje nieśmiało.

– Nie musi pani rozumieć. Powiedziałem, natychmiast nazwisko! Nazwisko i adres.

Jest oszołomiona nagłym atakiem. Przerażona, że nagle, nie wiadomo dlaczego i po co, zabrano ją z domu. Ostry, kategoryczny ton, jakim się zwraca do niej ten oficer, nie wróży nic dobrego. Decyduje się mówić.

- Nazywa się Hans Pleschke.
- Adres?
- Ma pokój w „Grand Hotelu” i wynajęte mieszkanie, pokój z kuchnią, na Rozbrat trzy. Nie jest melowany.

– Sprawdzimy, czy to prawda. – Bieżan wy chodzi z pokoju. – Natychmiast obstawić oba miejsca – poleca współpracownikom. – Do „Grand Hotelu” chyba nie zgłosi się więcej, ale na Rozbrat... Jeśli ma tam rzeczy... Zastawić pułapkę. Czekać na niego. Zebrać informacje o facecie – poleca innej grupie.

Wraca do dziewczyny.

– Jak dawno zna go pani?
– Dwa lata – odpowiada posłusznie.
– Kto go pani przedstawił?
– Janusz Kowalski, mój narzeczony. Oni poznali się za granicą. Podczas jakiejś imprezy czy zawodów.

– Co Pleschke robi w Polsce?
– Jest przedstawicielem biura turystycznego. Stale tu przyjeżdża.

– Czy widziała go pani w połowie października?
– Tak. Umówił się ze mną dziesiątego wieczór. Na

Rozbrat.

– Po co?
– Nie pamiętam.
– Po co? – Znów ten kategoryczny ton.
– Chciał, żeby Janusz zatelefonował do jakiegoś pensjonatu i zamówił pokój dla kogoś z jego znajomych!

– Chodziło o Lityńskiego?
– Chyba tak.
– Od jak dawna Pleschke jeździ pożyczonym BMW?

– Od kilku miesięcy. Szukał wozu. Naraiłam kuzyna. Dobrze płacił.

Dalsze przesłuchanie nie ma już sensu. Na razie.

– Odprowadzić! Niech czeka – wydaje polecenie funkcjonariuszowi.

– Liczę, że on wróci, że musi wrócić do Warszawy. Wyszedł wprost z kawiarni i prysnął, tak jak stał – melduje Ziętara. – Nie wiadomo, czy ma ze sobą paszport.

– Jeśli się zorientował, w czym rzecz, a musiał się zorientować, nie wróci. Coś ty! W tej sytuacji? Nie ryzykuje.

– Myślę, że wróci. Jest pewny, że nie znamy jego nazwiska. Przypuszcza, że jeśli nawet uda się nam je ustalić, trafimy, ale do „Grand Hotelu”. Tam jest meldowany. Trzyma tam pewnie jakąś walizeczkę. Liczy, że będziemy czekali w hotelu, a on tymczasem wpadnie na Rozbrat, weźmie rzeczy i wyjedzie. To jego jedyna szansa.

– Obyś miał rację – mówi Ziętara. – O której przychodzi do Warszawy pociąg z Jędrzejowa?

– Już przyszedł. Ale on na pewno nie przyjechał tym pociągiem. To zbyt niebezpieczne.

A jeśli Ziętara ma rację? Czas wlecze się w nieskończoność. Bieżan chodzi po pokoju tam i z powrotem.

O czwartej rano otrzymuje meldunek:

– Wpadł w pułapkę. Na Rozbrat.

Rozdział XXXV

Świta, gdy kończą przeszukiwanie. Hans Pleschke zrazu wybuchnął burzą protestów, ale po chwili umilkł. Siedzi na tapczanie obserwując kręcących się po mieszkaniu ludzi.

Owoc ich wysiłków: dwa długopisy-pistolety, szpakowata peruka, ciemne okulary i maszynopis – leży na stole.

– Jedziemy – rzuca Bieżan. – Zabierzcie do wozu ubrania i palta. Pan – zwraca się do zatrzymanego – pojedzie z nami. Chciałbym z panem pomówić.

Gwałtowny protest.

– Pan nie ma żadnego prawa! Jestem obcokrajowcem. Złożę skargę konsulowi. Mój czas jest drogi.

– Będzie pan mógł złożyć skargę. Potem. Na razie jedzie pan z nami. O tej porze – Bieżan ostentacyjnie patrzy na zegarek – raczej nie załatwia się firmowych interesów.

– Więc przymus. Skoro tak, nie mam wyjścia. – Bez słowa wsiada do wozu, a później w dalszym ciągu milcząc wchodzi do gabinetu Bieżana.

– Niech się pan rozgości – zaprasza major. – Poproszę o pański paszport. – Wychodzi z pokoju. – Sprawdźcie – poleca dyżurnemu oficerowi – co o nim wiemy. Czekam na tę informację. Wezwać fotografa! – rzuca już w drzwiach. – Proszę założyć palto, perukę,

okulary – zwraca się do zatrzymanego kategorycznym tonem. – O tak. Właśnie tak. Teraz jest dobrze.

Błyska flesz.

– Po co te zdjęcia? – w głosie zatrzymanego nutka niepokoju

– Utrwalam fakt, że udało mi się ubrać pana według reguł londyńskiej mody – rzuca lekko w odpowiedzi.

– Nie rozumiem, o co panu chodzi – Pleschke jak gdyby stracił na pewności.

Przeciągnął sygnał telefonu przerywa rozmowę. Bieżan podnosi słuchawkę.

– Dobrze. W tej chwili – mówi. – Do pana – podaje słuchawkę zatrzymanemu.

– Do mnie? – Pleschke jest zdumiony. Podchodzi do aparatu. – Słucham? Co takiego? O co panu właściwie chodzi? To jakieś nieporozumienie! – rzuca słuchawkę na widelki, patrząc pytająco na Bieżana.

Ten udaje, że nie słuchał rozmowy.

– Przynieście tutaj zaraz bańkę z olejem, pieniądze i protokół – wydaje kolejną dyspozycję.

Polecenie jest wykonane błyskawicznie. Bieżan podsuwa protokół przesłuchiwanemu.

– Proszę, niech pan się zapozna z tym dokumentem – mówi niedbale. – Został sporządzony po oględzinach ciemnozielonego BMW, porzuconego w Jędrzejowie.

Odchodzi od stołu. Odbiera od dyżurnego zapisaną kartkę. Rzuca na nią okiem. Hans Retzke. Przed wojną

mieszkał w Bydgoszczy. Powiązany ongiś z wywiadem Gehlena, z kołami odwetowców. Zajmował się sportem, aktualnie przyjeżdża do Polski jako reprezentant przedsiębiorstwa turystycznego. Jeden z akcjonariuszy firmy „Timet”.

– Co pan ma przeciwko firmie „Vipro”? – pada zaskakujące pytanie.

Pleschke robi zdumioną minę.

– O czym pan mówi? Co za „Vipro”?

– Szwedzka firma z branży elektronicznej – wyjaśnia uprzejmie Bieżan. – Produkują różne urządzenia, zespoły, podzespoły. Jedną z filii mają w Londynie.

– Nigdy nie słyszałem o tej firmie.

– A słyszał pan o firmie „Timet”?

– Nie wiem, o czym pan mówi. – Pleschke siedzi z kamienną twarzą.

– Nie zna, pan firmy „Vipro”, rozumiem. Nie musi pan znać wszystkich firm z tej branży. Ale trudno uwierzyć, że nigdy nie słyszał pan o firmie, której jest pan akcjonariuszem, panie Pleschke vel Retzke, bo i takie pan nosi nazwisko. – Strzał jest celny. Pleschke drgnął. – Zmiany papierów, nazwisk, skóry – ciągnie Bieżan dalej – to rzecz normalna w pańskiej profesji, prawda? Tak samo jak zmiana zajęć. Pańskie wizyty w Polsce nie są związane tylko z turystyką. Ta działalność jest niejako produktem ubocznym. Zasłoną dymną. Umie pan stwarzać pozory, stąd ta łatwość w pozorowaniu śmiertelnych wypadków, chociaż i tego nie robi pan najlepiej. – Bieżan mówi z gryzącą ironią. – Należy pan

do ludzi z byłego gehlenowskiego wywiadu, ludzi, którzy sądzą, że za pomocą jednej czy drugiej zbrodni można cofnąć bieg historii, zahamować rozwój kraju. Ale pan się przeliczył. Zresztą nie tylko pan, pańscy mocodawcy również. Od niejkiej Wandy Rogalskiej dowiedział się pan o projektowanej inwestycji. Usłyszał pan także, że w realizacji tego przedsięwzięcia będzie najprawdopodobniej uczestniczyć jako kooperant firma „Vipro”, z którą prowadzimy negocjacje. W ramach swoich „turystycznych” zainteresowań podzielił się pan tą informacją ze swoją centralą. Oczywiście nie chodzi mi o centralę „Timet”, sam pan rozumie – słowem Bieżana towarzyszy wymowne spojrzenie – i właśnie z centrali otrzymał pan dyspozycje storpedowania tych przedsięwzięć. Zadanie trudne, przerastające możliwości jednego człowieka. Bo jak tego dokonać? Wysadzić w powietrze przeznaczone na budowę materiały, wypędzać z niej ludzi?! Uznał pan, że skoro chcemy zakupić licencję od „Vipro”, to znaczy, że bez tej licencji nie potrafimy zrealizować tych zamierzeń. A więc, zdaniem pana, pozostało jedno wyjście: storpedować projektowaną transakcję. Od Rogalskiej, z którą pan utrzymywał przyjacielskie, a może nie tylko przyjacielskie stosunki, dowiedział się pan, że kandydatem na głównego konsultanta do spraw licencji ma być inżynier Lityński, który prawdopodobnie jako ostatni wypowie się w tej sprawie. Inni już się wypowiedzieli pozytywnie. Wówczas

powstał problem: jak go skłonić do wydania negatywnej opinii o produkcji „Vipro”. Zebrał pan o nim informacje. Okazało się, że nie jest biedny ani sprzedajny, a zatem podjęcie próby „pertraktacji” jest ryzykowne. Były już takie próby ze strony innych firm, przy innej okazji. Lityński zawiadomił o nich władze. I pan o tym wiedział. Więc trzeba było działać na pewniaka. Zmusić go do posłuszeństwa. Znaleźć słaby punkt. Opierając się na informacji Rogalskiej i obserwacji, którą pan osobiście, a może do spółki z Kowalskim, przeprowadził, ustalił pan, że żyjący samotnie inżynier ma córkę, która chodzi do szkoły. Tak powstał plan porwania. Jednego tylko nie jestem pewien, czy okup chciał pan podjąć naprawdę, czy też żądanie pieniędzy było tylko bluffem, mistyfikacją, mającą na celu wprowadzenie nas w błąd przez nadanie sprawie kryminalnego charakteru. Osobiście sądzę, że Kowalski wziął pieniądze na własną rękę, że była to jego prywatna niejako inicjatywa. Ale skąd w takim razie znalazła się w wypożyczonym przez pana samochodzie bańka z olejem, w której Kowalski ukrył połowę zagrabionej kwoty? – Pleschke milczy. Postawione przez majora pytanie pozostaje bez odpowiedzi.

– Zamordował pan dziecko w dniu porwania, nie wiem tylko, w jaki sposób skłonił pan Kowalskiego, by zgodził się je pogrzebać w swoim garażu? – Bieżan przystępuje do ataku. Wie, że ten spokój za chwilę przysnie. – To było pierwsze zabójstwo. Z premedytacją.

Potem – ciągnie dalej, biorąc do ręki jeden ze znalezionych w mieszkaniu Pleschkego długopisów – z takiego właśnie pistoletu strzelił pan do Glora. Nie rozumiem właściwie, po co pan to zrobił, skoro obrażenia, jakie Glor odniósł w wypadku, spowodowanym przez pana, były śmiertelne. Myślę, że ten szczegół później sobie wyjaśnimy. Następnym był Lityński. Swoją drogą z tą gałęzią to był głupi pomysł. Albo jest pan niedouczony, albo nas pan uważał za idiotów, których można nabrać na taki kawał. I w końcu Kowalski. Kiedy zobaczył pan jego zdjęcie w gazecie, zrozumiał pan, że pod cementarzem kręciliśmy film, a więc pozostał ślad. Zresztą stracił pan już do niego zaufanie. Był zbyt zachłanny. Mógł stać się niebezpieczny. Cieszę się, że nie zabrał pan laski z jego wozu. Miałbym większy kłopot z rozszyfrowaniem tego, nazwijmy to, wypadku. A laska wyjaśniła wszystko. Pod jakimś pretekstem pojechał pan z nim, jego wozem, na Gwiazdzistą. Gdy stanął we wskazanym przez pana miejscu, znanym sobie chwytem skręcił mu pan kark. Usadował pan nieboszczyka przy kierownicy w ten sposób, aby nogą wciskał gaz do dechy. To nie było trudne. Pan pozostał na zewnątrz. Ulica w tym miejscu ma lekki spadek. Laską, którą zabrał pan ze sobą, wcisnął pan sprzęgło. Zapewne silnik wył, gdy wrzucił pan trzeci bieg. Potem wolniutko zwalniał pan nacisk laski na sprzęgło, popychając jednocześnie wóz, by nabrał rozpędu. Być może biegł pan koło wozu.

Laska została w środku. Samochód nabrał rozpędu, nieboszczyk dusił gaz do dechy i rąbnął w słup. Miał szczęście. Fiat się rozbił, a on nie odniósł obrażeń. Gdyby nie ten skręcony kark, mógłby chłop żyć... Działał pan przezornie. Był pan pewien bezkarności. I dopiero podczas ostatniego spotkania z Rogalską tropnął się pan, że jest, niedobrze. Dostrzegł pan obserwację. Przykro mi, że popełniliśmy błąd. Ten numer z ucieczką przez okno sraczyka był nienajgłupszy. Straciliśmy sporo czasu. Ale w końcowym efekcie... Czy nic nie ominąłem, nie pokręciłem? – zwraca się Bieżan do, siedzącego nieruchomo człowieka.

Ten podnosi głowę.

– Może to i niegłupia historia, ale kto w nią uwierzy! To ciekawe, co pan mówi. Szlag trafił licencję z „Vipro”? Będziecie mieli sporo kłopotu – w głosie nuty ironii. – Cóż ja?! Nie mam z „Vipro” nic wspólnego. Kto pana poinformował o tych związkach?

– Chce pan posłuchać? – Bieżan naciska klawisz magnetofonu.

Pleschke słucha nagranej w Londynie rozmowy. W dalszym ciągu jest spokojny.

Po ostatnich słowach Lityńskiego Bieżan wyłącza magnetofon.

– Chciałbym pana poinformować – mówi dobitnie – że nasi eksperci zidentyfikowali ten głos z głosem człowieka, który dwukrotnie telefonował do Lityńskiego w sprawie porwania dziecka. A teraz porównają z tamtymi nagraniami pański głos. Przeprowadził pan

przed chwilą telefoniczną rozmowę...

– Spreparował pan to nagranie – Pleschke mówi twardo.

– Nie spreparowałem tej rozmowy – stwierdza Bieżan spokojnie. – Została ona nagrana w hotelu „Astoria” w Londynie.

– Zamierza się pan posłużyć dowodem, z którego wynika, że wasz wywiad nagrywa rozmowy w londyńskich hotelach?

Bieżan uśmiecha się łagodnie.

– Nasz wywiad nie nagrywa takich rozmów. Nagrania dokonał Glor, który po powrocie złożył nam taśmę i zeznanie. Podobnie jak Lityński.

– Gdyby tak było, to bylibyście przy nim w chwili... – urywa.

– W chwili morderstwa – kończy za niego Bieżan. – Glor złożył nam zeznanie, kiedy już było po wszystkim.

– Pan sobie ze mnie kpi! Zeznanie po śmierci?

– Niech pan posłucha – Bieżan puszcza taśmę ze słowami Glora.

– Na tej podstawie chce mi pan wmówić, że to ja jestem tym szpakowatym, szczupłym, średniego wzrostu facetem? Takich są tysiące...

– Ma pan rację. Ale dokonanie właściwej eliminacji umożliwił nam także pański paszport, zawierający pieczętki z datami wjazdu i wyjazdu. Wynika z nich, że odleciał pan z Londynu dziesiątego października rano, na dwa dni przed umówionym spotkaniem z Lityńskim.

Wieczorem tego samego dnia spotkał się pan z Rogalską. Jedenastego rano Kowalski zamówił dla inżyniera pokój w pensjonacie „Jutrzenka”. Na umówione spotkanie miał przywieźć kopię sprawozdania, dotyczącego współpracy z firmą „Vipro”. Kopię tę znaleźliśmy w pańskim mieszkaniu. Zestawiona z tą taśmą nie budzi chyba wątpliwości, co do istoty zawartej umowy. Przegrał pan. Transakcja licencyjna wprawdzie nie doszła do skutku, ale nasi naukowcy z Wojskowej. Akademii Technicznej opracowali w ostatnich dniach równie nowoczesne urządzenie. Licencja nie będzie potrzebna. Inwestycję zrealizujemy sami.

Pleschke nisko pochyła głowę.

– Przegrałem – mówi głuchym głosem. – Nie ma sensu wypierać się czegokolwiek.

Rozdział XXXVI

Siedzą we trzech w gabinecie Ziętary. Bieżan ma triumfującą minę.

– Dowodowo sprawa jest murowana – mówi do pułkownika. – Nie tylko głos Pleschkego został zidentyfikowany, ale i odkryte w wozie Glora mikrowłókienna. Nasi specje stwierdzili, że pochodzą one z tweedowego płaszcza Pleschke go. Miał go na sobie przy przeszukiwaniu ubrania Glora, którego dla pewności dostrzelił.

Metoda, jak wiesz, znana. Stosowana często podczas

okupacji. Pleschke, syn niemieckich osadników z Bydgoszczy, już jako osiemnastoletni chłopak brał udział w bydgoskiej masakrze. Dobrze się wtedy zasłużył, skoro wkrótce potem wzięto go na specjalne przeszkolenie. Tam nauczył się różnych chwytów, jeden z nich, ów cios w kark i skręcenie głowy, zaprezentował u nas w kraju. Jako agent Abwehry został przerzucony do Francji. Tu udało mu się przeniknąć do francuskiego ruchu oporu. Plonem jego działania były wsypy i egzekucje. Po wojnie, jak wielu innych, wyemigrował do Ameryki Południowej. Zmienił papiery, zmienił twarz, poddał się operacji plastycznej, i w nowym wydaniu, już jako akcjonariusz firmy „Timet”, infiltrowanej ongiś przez wywiad Gehlena, osiedlił się w Monachium. Zrazu zajmował się sportem, potem, w zależności od potrzeb swojej wywiadowczej centrali, działał jako reprezentant biura turystycznego. W Polsce był częstym gościem. Odnawiał nawiązane za granicą znajomości, tak jak w wypadku Kowalskiego, nawiązywał nowe, jak to się stało z Rogalską. Zorientował się szybko, że może mu się przydać. Wykorzystując jej zachłanność, zacieśniał stosunki. Żył z nią, o czym Kowalski nie wiedział, i płacił jej dobrze za dostarczane informacje. Wkrótce tropnęła się, jaką rolę pełni, ale musiała milczeć, gdyż sprawy zaszyły już za daleko. Kowalski, jak wynika z zeznań Pleschkego, nie orientował się, jakiego rodzaju działalność prowadzi jego starszy „przyjaciel”, który jeszcze za granicą pomógł mu w zrealizowaniu paru

przemytnicznych numerów. Nie wtajemniczał go w swoje sprawy, gdyż mu nie ufał. Jego zdaniem był zbyt zachłanny. Nie miał żadnych skrupułów, gdy chodziło o forszę. Jego chciwość zadecydowała, że zdecydował się wziąć udział w porwaniu dziecka. Licząc na pieniądze, gromadził informacje. Dowiedział się, do jakiej szkoły chodzi Ania, przyjrzał się małej dokładnie, a potem zwabił ją do swego wozu, tłumacząc, że przysłał go po nią tatuś. Razem z Pleschkem, który czekał w samochodzie, zawiózł ją do mieszkania na Świętojerską. Gdy mała, zaniepokojona zachowaniem mężczyzny, zaczęła krzyczeć, Pleschke ręką zasłonił jej usta, a potem skrzył kark. Kowalski bez trudu dał się przekonać, że był to nieszczęśliwy wypadek. Nocą wynieśli i zakopali zwłoki dziecka w garażu. Gdy Kowalski zorientował się, że współnikowi nie chodzi o zdobycie okupu, a tylko o mistyfikację dla zmylenia współdziałającej z Lityńskim milicji, rozpoczął działalność na własną rękę. Podczas kajakowej wyprawy, zaplanowanej jako dalszy ciąg tej mistyfikacji, zabrał ze sobą kostium płetwonurka i wyłowił pieniądze, które miała pochłonąć rzeka. Na upychaniu sfotografowanych banknotów w puszkę ze smarem i olejem zastał go współnik. I wówczas zabrał bańkę z pieniędzmi, którą znaleźliśmy później w bagażniku BMW, wozu, w którego wypożyczeniu pośredniczyła Rogalska.

– Czy Rogalska wie, jakie skutki przyniosły sprzedawane przez nią informacje? – pyta Ziętara.

– Powiedziałem jej o tym podczas przesłuchania – mówi twardo Korcz. – Dostała ataku hysterii. Ale w gruncie rzeczy najbardziej obchodzi ją jej własny los. To kobieta pozbawiona skrupułów. Jej zeznania nie wniosły nic nowego do sprawy. Potwierdziła tylko nasze ustalenia. Lityńskiego znała nie tylko z kontaktów służbowych. Jako sekretarka wpływowego szefa była zapraszana parokrotnie na przyjęcia do Lityńskich. Była więc zorientowana, na jakiej stopie żyją. Lityńska wspomniała jej kiedyś o mężowskich oszczędnościach. Do wymienionej przez nią kwoty trzystu tysięcy wystarczyło dodać premie i nagrodę...

– Co z Lityńską? Wróciła już z Londynu?

– Wraca za parę dni. Nie chciałbym być tym, który ją poinformuje o śmierci dziecka – zastrzega się Korcz z góry. – Z całą sprawą nie miała nic wspólnego. Należy jeszcze wspomnieć o Zwolińskim, którego uznałem za podejrzanego numer jeden w sprawie o zabójstwo Lityńskiego. Zwoliński drugiego września jechał Powązkowską do mieszkającej w tym rejonie dziewczyny, którą właśnie podrywał. W takim też celu urwał się w „Jutrzence” brydżystom w nocy z dwunastego na trzynastego października. Chciał wykorzystać nieobecność Barańskiej i zaliczyć nową zdobycz. Kobiety to jego pięta achillesowa. Dlatego tak chętnie korzysta z zapewniających dyskrecją usług pensjonatu „Jutrzenka”. Ten pensjonat poleciła mu kiedyś Rogalska, gdy rozmawiali o możliwościach zorganizowania wypoczynku. Rogalska również zawiozła do „Jutrzenki” Pleschkego

jeszcze w początkowym okresie ich znajomości. Spędzili tam kilka dni. Dlatego Pleschke, znając już teren, wybrał to miejsce na spotkanie z Lityńskim. Rogalska wyjaśniła i inny interesujący mnie szczegół. W jaki sposób ustalono adres i nazwisko Kwaśniewskiego? Kowalski miał znajomą telefonistkę w międzymiastowej. Ona to na jego prośbę ustaliła, do kogo należy wypisany na cmentarnym murze numer. Stąd te adresowane do Kwaśniewskiego listy.

– Który z nich je pisał?

– Pleschke. Korzystał z maszyny Kowalskiego. Nie musiał się krępować. Kowalski za pieniądze zarządziłby własnych rodziców.

– Rozmawiałem o Kowalskim z jego przełożonymi – przerywa Bieżan. – Niemal piali z zachwytem, opowiadając o posiadanych przez niego sportowych odznaczeniach. Wściekłem się słuchając tych panów, powiedziałem im prawdę i poradziłem, by na przyszłość potrafili odróżnić dźwięk odznaczeń od dźwięku srebrników.

– Porwanie, szantaż, mord to ogniwa tej samej zbrodni – mówi wolno Ziętara. – Miałeś nosa.